

# LUBLIN

20  
LAT

kultura i społeczeństwo

nr 7 (123) Rok XX  
numer specjalny 2023





# LUBLIN

kultura i społeczeństwo

tylko dla Ciebie  
od

20  
LAT

## credo

jesteś moim Bogiem milczenia  
wołam—  
nie odpowiadasz

jesteś moim Bogiem strachu  
uciekam się do ciebie  
kiedy się trwożę

jesteś moim Bogiem zemsty  
modłę się o odpłatę  
za moje krzywdy

jesteś moim Bogiem bólu  
zsyłasz na mnie plagi  
błagam cię o litość

jesteś moim Bogiem nienawiści  
do wszystkich—  
którzy mają innych Bogów

jesteś moim Bogiem śmierci  
prawdziwe życie obiecujesz  
na tamtym świecie

jesteś moim Bogiem  
innych nie mam

# Wojciech Pestka



**LUBLIN**  
**KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO**  
Dwumiesięcznik  
Środowisk Twórczych

**Wydawca:**  
Lubelski Oddział  
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich  
20-112 Lublin, Złota 3  
FUNDACJA Willa Polonia  
20-089 Lublin, Probostwo 26

**Redakcja:**  
Zbigniew Włodzimierz  
Fronczek  
(redaktor naczelny)  
Jan Kondrak  
Bernard Nowak  
**Wojciech Pestka**  
Henryk Radej  
Stanisław Żurek  
Stanisław Jan Królik  
(sekretarz redakcji)  
Krzysztof Wasilczyk  
(fotoreporter)  
Jadwiga Król  
(korekta)  
Michał P. Wójcik  
(redakcja techniczna)


**Adres redakcji:**  
20-882 Lublin,  
Organowa 1 m. 63  
tel. +48 (81) 741-63-57  
tel. kom. 607-222-193  
e-mail: froncze@wp.pl

**Skład, druk, oprawa:**  
Wydawnictwo Muzyczne  
Polihymnia Sp. z o.o.  
20-832 Lublin, Deszczowa 19  
tel./fax +48 (81) 746-97-17

**WWW.LUBLIN-CZASOPISMO.PL**

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń  
i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych  
materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do  
redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na okładce I:  
WOJCIECH PESTKA, *foto-  
grafika*, Danuta Szęga –  
*foto*, fujcik – *grafika*

 Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego



**Lubelskie**  
*Smakuj życie!*

**Lublin**  
MIASTO INSPIRACJI

## W numerze:

credo – Wojciech Pestka .....	4
Drodzy Czytelnicy– Zbigniew Włodzimierz Fronczek .....	7
Wiersze – Wojciech Pestka .....	8
O twórczości i życiu Wojciecha Pestki upartego studenta wszystkich fakultetów i poszukiwacza życiowej mądrości... – Wojciech Kajtoch .....	15
Moje początki z Wojtkiem Pestką – Bogdan Knop .....	35
Do zobaczenia, Wojtku – Krzysztof Rudy Sawicki .....	37
Wszystko zostało zatrzymane – Bożena Gorska .....	40
Czy to już ta pora? – Adrian Szary .....	43
O Wojtku słów parę... – Jacek Gwizdała .....	44
Tak pamiętam... – Tomasz Szwed-Stępkowski .....	45
Budowniczy wspólnoty – Marcin Kępa .....	46
Potrafił podzielić się z ludźmi. Moje wspomnienie – Wiesław Jaroszek .....	47
Pan Wojtek Pestka – Marek Wierzbicki .....	48
Przeciw niepamięci – ks. Janusz Smerda .....	50
Wojciech Pestka w Ostrogu – Petro Kraluk .....	52
Mój przyjaciel i przyjaciel Ukrainy – Wasyl Słapczuk .....	53
Wiersze – Wojciech Pestka .....	54
Inaczej przestaniesz być człowiekiem. Z Wojciechem Pestką rozmawia Olga A. Wiewióra .....	57
Wojciech Pestka laureatem Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Hryhorija Skoworody w 2012 roku – Zbigniew Włodzimierz Fronczek .....	71
Katyń i Chatyń – dwa oblicza historii – Wasyl Słapczuk .....	73
Prawo do życia – Serhij Dziuba .....	75
Jaki herb twój? (Wilhelm Kotarbiński 1848–1921) – Wojciech Pestka .....	77
Dwie kobiety w podeszłym wieku – Wojciech Pestka .....	85
Żywot Polaka poczciwego (w Krasławiu na Łotwie) – Wojciech Pestka .....	93
Wojna w Realu – Wojciech Pestka .....	99
Wiersze – Wojciech Pestka .....	107

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących  
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego,  
jak również ze środków finansowych Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

Wojciech Pestka na szczycie Kapuszczańskie Wierchu



Drodzy Czytelnicy, numer poświęcony Wojtkowi Pestce (1951–2023), wybitnemu poecie, znakomitemu prozaikowi, odważnemu reporterowi, publicyście, scenarzyście, członkowi naszej redakcji. Odszedł po ciężkiej chorobie 3 kwietnia. To wielka strata dla polskiej literatury.

W numerze przypominamy znakomite wiersze Wojtka, piękny szkic profesora Wojciecha Kajtocha o dokonaniach literackich naszego Przyjaciela, obszerną rozmowę z Olgą Wiewiórą o życiu pisarza, rodzinie, marzeniach, fascynacjach i planach. Wspominają Wojtka przyjaciele, znajomi, współpracownicy, redaktorzy, reżyser i duszpasterz – przyjaciel. Przypominamy poruszające reportaże naszego redakcyjnego Kolegi publikowane na łamach „Lublina”. W dniach wojny znalazł się na Ukrainie, trafiał na linię frontu, ocierał się o śmierć. Widział rozbite pojazdy, zrujnowane domy, pomagał rannym, odwiedzał ich w szpitalach. Jego relacje z wojny cieszyły się ogromną popularnością, bywały przedrukowane w prasie europejskiej. Wojtek miał znajomych kolegów, przyjaciół w wielu krajach, we dwójkę przejechaliśmy kawał świata. Każda nasza wyprawa była szczególna, spotykaliśmy niezwykłych ludzi, uczestniczyliśmy w zaskakujących sytuacjach i wydarzeniach, niejednokrotnie przytrafiały się o historie tajemnicze i fascynujące. W Słowacji, w roku 2018, w drodze powrotnej z Preszowa, zatrzymaliśmy się u podnóża Kapuszczańskie Wierchu, na którego szczycie piętrzyły się ruiny zamczyska. Lokalna legenda głosi, że stare mury skrywają skarb konfederatów. To w pobliskim Preszowie, 13 października 1770 roku konfederaci barscy ogłosili detronizację króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wsparcie konfederatom – obrońcom wiary katolickiej i niepodległości Rzeczypospolitej – udzieliła Turcja, tureckie złoto na wyposażenie sił konfederackich złożono

w okolicy zamku, może w jego podziemiach, może oficynach... Nie zdążono skorzystać z daru, konfederaci zostali pokonani, złota szukają do dzisiaj. Postawić stopę na ziemi skrywającej skarb, gratka nie lada. Ruszyliśmy na szczyt, siąpił październikowy deszcz, nie odstraszyła nas informacja, że przed nami 90 minut uciążliwej wspinaczki. Pięliśmy się mozolnie przez bukowy las, a z góry – co pewien czas – schodziły grupki Cyganów. Nie byli to poszukiwacze skarbowców lecz grzybiarze. Dźwigali kosze pełne jesiennych grzybów zwanych w Polsce opieńkami, a na Słowacji vaclavkami. Wymienialiśmy uprzejme pozdrowienia, jeden z grzybiarzy, najbardziej dociekliwy, rzucił pytanie: – Na grzyby czy w poszukiwaniu skarbu?

– Nie poszukujemy skarbu, jesteśmy jego strażnikami! – Wojtek znalazł taką odpowiedź.

Język słowacki nie jest trudny dla Polaka, podobnie polski dla Słowaków. Zrozumieliśmy pytanie ciekawskiego, on odpowiedź.

A smażone vaclavki smakują wybornie. Raczylimy się nimi w podgórskiej gospodzie po skończonej wspinaczce. Nie był to koniec niespodzianek. Szynkarz miał dla nas garść cygańskich i słowackich piosenek, ale także coś dla specjalnych gości: *Pieśń konfederatów barskich*. Wysłuchaliśmy w skupieniu.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach  
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi  
Bo u Chrystusa my na ordynansach  
Słudzy Maryi...

Kiedy wspominam tamte chwile, jeszcze dziś czuję ciarki na grzbiecie.

A Strażnik konfederackiego skarbu – to urząd, który może piastować osoba wielkiej wyobraźni i odwagi. Jeszcze jeden honorowy tytuł Wojtka.

ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ FRONCZEK



Jedlnia. Z wnukiem Jeremim



## prawa autorskie

spacer po linie nad przepaścią  
nie do naśladowania

lot Iłkara ku słońcu  
nie do naśladowania

zdradziecki cios Brutusa  
nie do naśladowania

miłość Romea i Julii  
nie do naśladowania

zamiana wody w wino  
nie do naśladowania

wskrzeszanie zmarłych  
nie do naśladowania

tylko ty i ja  
bez klauzuli  
nie do naśladowania

## utopia

dobro bez zła  
odwaga bez strachu  
prawda bez fałszu  
zdrowie bez choroby  
cnota bez grzechu  
piękno bez brzydoty  
miłość bez nienawiści  
białe bez czarnego  
nieśmiertelność bez śmierci

niebo bez piekła

## kategoria uniwersaliów

brońcie/nie brońcie...\*

(w miejsce kropek wstawić w odpowiednim przypadku:  
życie, prawdę, Boga, historię, środowisko naturalne, cywilizację)

nie obroni się/obroni się sam(a)\*

## przeznaczenie

zwykle jest gdzieś w pobliżu  
gra rolę natręta  
dobrego i złego policjanta:  
za plecami  
na wyciągnięcie ręki  
uchylenie kapelusza

plącze się pod nogami  
nie odpowiada na wezwania  
nie stosuje się do zaleceń  
drwi z przyjętych zwyczajów  
nie daje się oszukać  
zna ukryte zamiary

karmi się moim życiem  
jest  
dopóki jestem

## żelazna logika

dzień nastaje po nocy, a po dniu noc  
jest w tym żelazna logika

rodzimy się, żeby umrzeć  
jest w tym żelazna logika

z prawdy wynika prawda, nigdy fałsz  
jest w tym żelazna logika

białe jest białe, a czarne jest czarne  
jest w tym żelazna logika

po śmierci nikt nie wraca  
jest w tym żelazna logika

Bóg kocha tak samo wszystkich  
dobrych i złych  
jest glina, z której zostaliśmy ulepieni  
miedź i popiół

\*niepotrzebne skreślić



## chiński mur

datowanie w odniesieniu do zagadnień generalnych przewyższa trudności:

- czas od Wielkiego Wybuchu – 13,799 ( $\pm 0,021$  granica błędu) mld lat (choć wolę wierzyć, że Wszechświat jest wieczny i istniał zawsze)
- wiek najstarszej gwiazdy HD 140283 – 14,46 ( $\pm 0,8$  granica błędu) mld lat (gwiazdozbiór Wagi, nieoficjalnie „gwiazda Matuzalem”, ale czy od niej wszystko się zaczęło?)
- wiek Słońca – około 4,567 mld lat (jest jaśniejsze od 95% gwiazd Drogi Mlecznej)
- wiek Ziemi, trzeciej od Słońca planety układu – 4,54 ( $\pm 0,05$  granica błędu) mld lat
- pojawienie się człowieka – 2,8 mln lat temu (ssak z rodzaju naczelnych – Primates, intryguje mnie hipoteza wodnej małpy)
- przyjście Syna Boga, Jezusa Chrystusa, Mesjasza – 2024 ( $\pm 4$  granica błędu) lat temu
- człowiek na księżycu – 51 lat temu (20 lipca 1969)

problemy pojawiają się w odniesieniu do zagadnień szczegółowych:  
uczucie, punktów styczności, zmiany barw i przekonań...

próba dokładnego określenia w układzie współrzędnych  
napotyka na chiński mur  
czerwone prostopadłościany wypalanej gliny  
opór pamięci

## anarchia

zarządzenie:

pisarze do komputerów  
kochankowie do kochania  
chłopcy do zabawy w wojnę  
dziewczynki do gotowania zupy dla chłopców  
emeryci do modlitwy  
zakaz opuszczania miejsc pobytu (tymczasowego  
przez zmarłych

wśród umownych kar przewidzianych zarządzeniem  
pożary lasów, pławienie w wyschniętej rzece, trąby  
jerychońskie  
rozpylenie trucizny  
na usta pisarzy, kochanków  
dzieci bawiących się w wojnę i gotowanie zupy  
emerytów pogrążonych w modlitwie i innych  
niewymienionych przez ustawodawcę

w oczekiwaniu na dzień sądu  
anarchia  
zgodnym chórem  
pieją koguty, szczekają psy

## Wilk Jedno Oko

*Jurisowi Kronbergsowi*

w wierszu  
wilk ściga się ze śmiercią  
gonitwa kończy się o zmroku

biegnie wytrwale omijając pułapki  
unika podstępnych ciosów kosą  
traci jedno oko, mimo to gra fair play  
do ostatniej bramki  
z napisem koniec-meta

notatka w kalendarzu:  
5 lipca, księżyc w pełni, brak zdarzeń  
dotyczyła poprzedniego dnia, handlowej niedzieli  
kolejki do kasy, trucht między sklepami  
nie uwzględniała nagłych zwrotów akcji

jedno oko należy do Boga, przenika zasłonę  
żywołów suchych i mokrych, gorących i zimnych  
człowiek jest prototypem istoty  
posiędzie ziemię  
nie został stworzony na podobieństwo wilka

*(antydatowany na 6 lipca 2020)*

## pamięć absolutna

pięć postulatów:  
 żeby zdrowie było dla wszystkich  
 żeby młodość była dla wszystkich  
 żeby miłość była dla wszystkich  
 żeby szczęście było dla wszystkich  
 żeby nieśmiertelność była dla wszystkich  
 to wszystko już było

w raju  
 z którego uciekli Ewa i Adam

## paradoks

sztuka zwyciężania  
 nie polega na wygraniu wszystkich wojen

sztuka przegrywania  
 nie polega na podniesieniu do góry rąk

sztuka przetrwania  
 nie polega na unikaniu zwycięstw i porażek

## obsesja

światło  
 chce być najlepszą wersją jasności promiennej  
 odwrotnie otchłanie mroku –  
 ciemnością ciemności

niebo  
 najlepszą wersją firmamentu  
 dzielić wody dolne i górne  
 by się nie mieszały

ziemia  
 chce być najlepszą wersją miejsca nie do życia  
 jej dni są policzone  
 wciąż się jednak kręci

słońce, księżyc i gwiazdy  
 w iluminacji świątecznej  
 chcą być najlepszą wersją dekoracji  
 wessanej przez czarne dziury

człowiek  
 dźwignięty na wyżyny stworzenia  
 chce być najlepszą wersją kata dla samego siebie

Bóg nie zostaje w tyle –  
 chce być najlepszą wersją naszego Boga

## imperatyw

założenia zostały określone mało precyzyjnie  
 odnośnie rzeczy i pojęć, widoku za oknem  
 pozwalają na snucie domysłów i spekulacje  
 wychodzenie poza margines błędu  
 bez kary i natychmiastowych konsekwencji

w poszukiwaniu wiarygodności i precyzji  
 naruszano granice, puszczano wodze fantazji  
 czarne stawiano razem z szarym i białym  
 (kolory tęczy zarezerwowano dla LGBT)  
 prawdziwe z wymyślonym i pozornym

girlandy złociń, zasłona przykazań  
 odbija światło, ukrywa pogardę  
 jesteśmy jednym z zadań nie do rozwiązania  
 żyjemy po śmierci dla innych  
 umieramy za życia dla siebie

## paradygmat

człowiek jest podobny do kamienia  
 zamknięty w sobie  
 (ustępuje mu pod względem twardości  
 cechy przydatnej w niesprzyjających warunkach)

człowiek jest podobny do płynącej wody  
 zmienia się nieustannie  
 (nigdy nie jest tym, który zasypiał wczoraj  
 skrzy się jak promień słońca odbity od rzeki)

człowiek jest podobny do roślin  
 daje oddzielić się od podłoża  
 (przypowieść o żniwiarzach nie traci aktualności)

człowiek jest podobny do zwierząt  
 mieszka w świątyni białka  
 (jego podstawowa powinność to akt płciowy)

człowiek jest podobny do Boga  
 stworzony na wzór  
 ma wszystkie jego wady i zalety  
 (jak było na początku tak i na wieki wieków)

# Wojciech Pestka

## personalizacja

jeśli nie musisz, ale chcesz ale nie musisz\*

unikaj:

pychy

chciwości

nieczystości

zazdrości

nieumiarkowania w jedzeniu i piciu

gniewu

lenistwa

jeśli chcesz,

praktykuj:

pokorę

hojność

czystość

miłość

umiarkowanie

cierpliwość

gorliwość

i pracowitość

wybierz właściwie

jesteś grzesznikiem

musisz, nie chcesz, chcesz, nie musisz\*\*

pomóc sam sobie



\* zaznacz liczbami od jeden do siedem właściwą

dla siebie hierarchię zagrożeń i cnót,

pomóż nam stworzyć spersonalizowany, dopasowany

do twoich wymagań zbiór dogmatów i zasad wiary

\*\* niepotrzebne skreślić



## latarnia

jak małżeństwo igły i nitki

które źle wróży

bez względu na okoliczności

kolor osnowy i płec

związek jest wystarczająco trwały

niestraszne

najazdy Hunów, powracające plagi

charakter i relacje dają do myślenia

zawsze razem

przykładem stereotyp: Don Kichot i wiatrak

czysty obłęd – materia ożywiona podmuchem

powietrza

im ciemniej tym gorzej – ona

nie ma się jak ukryć

im jaśniej tym lepiej – on

nabiera odcieni szarości

pytanie źle postawione

ogon ważniejszy czy głowa

latarnia – cień latarni

## spotkanie na szczycie

tłuszcze 10 g\*

z tego wazelina 10 g

węglowodany 10 g

z tego cukry 9,7 g

błonnik 0 g

białko 0 g

kwas askorbinowy 12 mg\*\*

rozmowa nie była całkiem jałowa

obecność witaminy C nadawała jej cierpki smak

resztę stanowiła mętna woda:

zapewnienia, optymistyczne deklaracje, klepanie

po ramieniu, uśmiechy

oficjalny komunikat brzmiał:

przebiegała w atmosferze wzajemnego zrozumienia i poszanowania

do przyprawienia nie użyto soli ani pieprzu

\* zawartość w gramach na 100 ml

\*\* 38% referencyjnej wartości dziennego spożycia

Kraków A.D. 2020



Park w Romanowie, ławeczka Kraszewskiego. Fot. Zbigniew W. Fronczek

### \*\*\* (coś, co wiesz...)

coś, co wiesz  
czego powiedzieć nie możesz nikomu  
nawet pod przysięgą

coś, co masz  
jak drzwi do lasu  
zdolność jasnowidzenia

coś, czym jesteś  
o czym nie wiesz, czego nie masz

### być zawsze

próbuję rozgryźć siebie  
jak niedojrzałe jabłko  
z drzewa złych wiadomości  
pojąć powody  
ukryte przyczyny  
pójść o krok dalej  
rozerwać zastonę  
ciemnych żądz  
krwawych jatek

bez względu na okoliczności  
być sobie blisko  
teraz i na zawsze

## poczucie winy

nad twoim prawem rozmyślałam dniem i nocą  
im jestem starszy  
tym bardziej czuję się winny

grzeszyłem myślą  
łudząc się, że mogę po śmierci trafić do nieba  
grzeszyłem słowem  
twierdząc, że jesteś bezwzględny i niesprawiedliwy  
grzeszyłem przykładem  
biorąc wzór miłości z kochanków

zachowuję  
bezczelną wiarę w twoje miłosierdzie

## rachunek sumienia

agresja, arogancja  
mnie to nie dotyczy

bezwstyd i rozwiążność  
mnie to nie dotyczy

egoizm, pycha  
mnie to nie dotyczy

zachłanność, chciwość  
mnie to nie dotyczy

fanatyzm, pogarda  
mnie to nie dotyczy

bezczelność, tupet  
mnie to nie dotyczy

lenistwo, łatwowierność  
mnie to nie dotyczy

obłuda, kłamstwo  
mnie to nie dotyczy

niewymienione wyżej  
mnie to nie dotyczy

postanowienie poprawy  
mnie to nie dotyczy

moja wina, moja wielka wina  
mnie to nie dotyczy

## oczekiwanie

jeszcze jestem  
jeszcze jestem  
jeszcze

jedynie domyślałam się siebie  
jeszcze jestem

## wszystko

oddaj mi wiosnę  
wpatrzona w jutro oczy niezapominajek

oddaj mi lata kłujące rżysko

oddaj mi jesień  
warkocz gorzkiego dymu znad pól

oddaj mi zimy  
struchłą biel

oddaj mi wszystko  
co było moje

## prośba

dla siebie  
jestem za ledwie półprawdą  
nieuzupełnioną w porę  
staje się fałszem

dla obcych  
jestem za ledwie ćwierćprawdą  
moje ćwierćbrzmienie nie dźwięczy znajomo  
nie tworzy akordu z półprawdą  
w którą wierzą

dla ciebie  
mimo wrodzonych wad  
grzechów nie do wybaczenia  
zasługuję na miłość

zabierz mnie odchodząc

## O twórczości i życiu Wojciecha Pestki

upartego studenta wszystkich fakultetów i poszukiwacza życiowej mądrości, a także jedlniańskiego poety, prozaika, reportera, tłumacza, scenarzysty i dramaturga

„NIE MUSISZ BYĆ UCZCIWY WOBEC KOBIET, z którymi sympiasz, wobec mężczyzn, z którymi pijesz wódkę, nawet wobec księdza, któremu wyznajesz swoje grzechy – Bóg to zrozumie i ci wybaczy, ale musisz być uczciwy wobec tych, którzy umierają z głodu. Inaczej przestaniesz być człowiekiem” [PESTKA 2017a, s. 33–34] – to przesłanie zasłyszane od dziadka bohatera niniejszego szkicu, Wojciech Pestka wkłada w usta Adama, postaci odgrywającej główną rolę w powieści *Mój mąż frajer*. Pisarz przyszedł na świat 27.11.1951 w Pionkach, jako syn Władysława Pestki urodzonego w Trzemesznie i Zofii z domu Rojek z wsi Poświętne.

Rojkowie byli gospodarzami, a dziad pisarza – Antoni – uczestnikiem wojny rosyjsko-japońskiej, a później, w okresie międzywojennym, wiejskim kowalem. Dziadek ze strony ojca – Jan Pestka był przedwojennym przedsiębiorcą budowlanym ożenionym z Heleną z domu Odasz (uczestniczką strajku dzieci we Wrześni). W 1922 roku rodzina przeprowadziła się z Trzemeszna do Pionek, gdyż dziadek bohatera wygrał przetarg na prace ciesielskie na budowie Państwowej Wytwórni Prochu i Materiałów Kruszących.

Ojciec bohatera szkicu, Władysław w młodości terminował w zakładowym sklepie, a później, w okresie wojny zajmował się okupacyjnym drobnym handlem, wywieziono go na roboty, uciekł, w okolicach Kodnia walczył w AK-owskiej partyzantce, a potem został żołnierzem w 2 Armii WP. W bitwie pod Budziszynem był czołgistą, a w okresie powojennym pod dowództwem Świerczewskiego walczył z UPA. Po demobilizacji zatrudnił się jako cywilny pracownik Wojska Polskiego w 11. Przedstawicielstwie Wojskowym w Pionkach, w 1949 roku wzięli z Zofią ślub.

Ich syn, Wojciech Pestka był zatem dziedzicem co najmniej dwóch społeczno-zawodowych tradycji i związanych z nimi mentalności – miał szansę połączyć chłopską pracowitość i upór z elastycznością, wynalazczością i przedsiębiorczością, charakterystycznymi dla handlowców i klasy średniej. Z innej strony patrząc – rodzina łączyła także tradycje Kongresówki i Poznańskiego.

Pisarz wyniósł też z domu przekonanie o ważności spraw duchowych – dziadek Jan był „niepokorną owieczką”, ostatecznie popadł w konflikt z miejscowym proboszczem, co ważne – w imię religijnych wartości walcząc z hipokryzją<sup>1</sup>, a ponadto jeden z wujów – Antoni był zakonikiem i długoletnim proboszczem kodnieńskiej parafii.

Natomiast tą tradycją polską, którą Wojciech Pestka odkrył dla siebie już później, gdy w 1973 ożenił się z polonistką, Danutą Szegdą, była pamięć o represjach, które spotkały Polaków na Wschodzie<sup>2</sup>. Sam miał okazję zaobserwować działanie bardzo już zliberalizowanego, radzieckiego systemu w 1980 roku, kiedy to został z ZSRR w trybie nagłym deportowany<sup>3</sup>.

1 Pisarz tak wyjaśnia ten fragment rodzinnej historii: „Z natury dziadek był cholerykiem. Mimo że ze wszystkich sił wspierał budowę kościoła w Pionkach, [...] zadarł z władzami kościelnymi i proboszcz nie chciał pochować go na cmentarzu. Powodem zatargu był jego artykuł „Do kogo obraca się Matka Boska” opublikowany w komunistycznym „Robotniku” o niesprawiedliwościach i braku miłosierdzia w Kościele. [Pionkowski proboszcz odmówił pochówku samobójczyni, samotnej matce, która nie miała czym wykarcić swoich dzieci – dopóki żyła, prawo nie zezwalało na przyjęcie ich do przytułku, a w tym samym czasie z honorami pogrzebał oficera, który przegrał żonę w karty w kasynie i honorowo się zastrzelił, stojąc na kawiarnianym stoliku, ponoć, zwracając wzrok ku wiszącemu nad wejściem obrazkowi Matki Boskiej]” [K. – skrót oznacza, że cytat pochodzi z korespondencji między Wojciechem Pestką a autorem szkicu z okresu sierpień-wrzesień 2021, która jest zdeponowana w archiwum domowym WK].

2 Danuta Szegda jest córką sandomierskiego krawca, ale urodziła się w workucim łagrze: „Jej dziadek był polskim sołtysiem na Wołyniu, został wywieziony z rodziną na Syberię, moja teściowa przez dwa lata do osiągnięcia pełnoletniości przebywała w obozie przejściowym i dopiero jako osoba dorosła została skazana na 20 lat ciężkich robót i wysłana do kopalni węgla na Workucie. Tam poznała mojego teścia schwytanego z bronią we Lwowie i tam urodziła się moja żona. Ponieważ teść nie podpisał zgody na przyjęcie obywatelstwa ZSRR, został zakwalifikowany do repatriacji w 1957 wraz do Polski. W 1956, by nie zostawiać żony i dziecka, zawarł w obozie związek małżeński i odzyskał przebywającą w sierocińcu córkę” [K]. Tę historię rodzinną przedstawiają m.in. dwa reportaże Wojciecha Pestki: „My z Workuty” (ze zbioru *Do zobaczenia w piekle*) i „Która strona odwrotna” (z *Gdyby Polacy nie byli Polakami*).

3 Komentarz WP: „Sytuacja [związana] z wyjazdem do Moskwy miała miejsce chwilę przed olimpiadą, miesiąc albo dwa. Pojechałem prywatnie na zaproszenie prof. Borysa Gniedienki, światowej sławy matematyka zajmującego się teorią niezawodności. [...] Miałem od letniego semestru odbywać półroczny czy roczny [...] staż na Uniwersytecie Łomonosowa w katedrze profesora. Pojechałem do Moskwy z żoną pociągami Berlin-Moskwa. Profesor [...] przyjął mnie bardzo serdecznie, trochę czasu spędziliśmy na rozmowach. Uważał się za człowieka wierzącego (to wyszło przy jakiejś okazji), ale nie miał w domu Biblii. Przy stacji metra Pietrowka kupiłem od Gruzynów *Stary i Nowy Testament* po rosyjsku. Następnego dnia jego starszy syn pokazał mi zdjęcie jak kupuję

Zanim jednak ów splot rodzinnych tradycji w połączeniu doświadczeniami własnego życia miał okazję ujawnić się literacko, bohater szkicu był zwykłym chłopakiem ze stalinowskiego blokowiska, może tylko ujawniającym w szkole zdolności matematyczne i społeczno-dziennikarskie zacięcie (prowadził gazetkę szkolną).

\*\*\*

W 1969 roku świeżo upieczony maturzysta – absolwent liceum ogólnokształcącego w Pionkach rozpoczął studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Znalezienie się w prężnym ośrodku uniwersyteckim musiało być dla młodzieńca z prowincji nie lada wstrząsem – i szansą na rozwinięcie talentów. Od razu i z zapałem rozpoczął „studenckie życie” – towarzyskie, literackie, kulturalne. Musiał bardzo szybko dać się poznać jako niezły organizator i dobry kolega, skoro już około 1970 roku założył teatr studentów Uniwersytetu Wrocławskiego „Tremo”<sup>4</sup>.

W latach 1972–1974 Wojciech Pestka studiował na lubelskim UMCS, w 1974 był już programistą w sandomierskiej Hucie Szkła Okiennego, w 1975 został młodszym asystentem na Wydziale Mat.-Fiz.-Chem. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, ale lata siedemdziesiąte minęły Wojciechowi Pestce głównie pod znakiem uczestnictwa w tzw. kulturze studenckiej, czyli szeregu przedsięwzięć artystycznych, literackich, kulturalnych, które samorzutnie i amatorsko tworzyli studenci (a była to w czasach PRL elita młodej inteligencji), korzystając z organizacyjnego zaplecza budowanego przez wielką, ogólnopolską organizację studencką Zrzeszenie Studentów Polskich (a później Socjalistyczny Związek Studentów Polskich), wyższe uczelnie, lokalne władze. Jej treści i znaczenie, jak sądzę, celnie ujął Edward Chudziński: „była w PRL-u przestrzeń na swój sposób uprzywilejowaną, enklawą większej wolności twórczej, azylem dla niepokornych bądź zbuntowanych artystów, wreszcie miejscem artykulacji i cyrkulacji nowych idei i wartości, które najpełniejszy wyraz znalazły w światopoglądzie kontrkulturowym.

.....  
Biblię, wręczył nam paszporty z nakazem opuszczenia ZSRR w ciągu 24 godzin (albo 48) i bilety na pociąg” [K.]. Sam byłem w Moskwie w latach 1985–87 i także byłem świadkiem skutków prowadzenia przez władze ZSRR „walki z religią” – na szczęście swoją Biblię po rosyjsku przywiozłem z kraju i mogłem bezpiecznie ją podarować pewnej Rosjance.

4 Wiadomo, że w 1971 roku teatr przygotowywał premierę – mocno awangardowy spektakl „Wariant 3”, według tekstu „Spacer w łóżku” J. Abramowa [RUCHAŁOWSKI 2011, s. 394]. Komentarz WP: „w tamtym czasie Wrocław żył Grotowskim i nasz teatrzyk powstał z ludzi odrzuconych podczas naboru na warsztaty u niego. Wystąpiliśmy na przeglądzie teatrów studenckich, nasz występ został źle oceniony przez L. Flaszę i ostatecznie teatrzyk stracił status studenckiego, zanim został rozwiązany, jeszcze jakiś czas funkcjonował przy domu kultury na Biskupinie. Spektakl miał być metaforą ludzkiej egzystencji, na scenie zostało ustawione łóżko, do którego stała kolejka wchodzących (studenci wydziału), a każdy miał opracowaną swoją etiudę na dwuminutowy pobyt w łóżku, po której zajmował miejsce w kolejce odchodzących. Kolejka wstępujących, kolejka odchodzących, a towarzyszył temu odgłos pracującej w fabryce taśmy produkcyjnej” [K.].

Główny wyróżnik tej kultury, jej studencki status miał wartość swoistej nobilitacji i przesądzał o kwalifikacji do kultury wysokiej” [CHUDZIŃSKI 2011, s. 8].

Istniała od października 1956 roku, ale na początku lat siedemdziesiątych, w pierwszych latach rządów Edwarda Gierka, kiedy pragnął on uchodzić za reformatora i liberała zjawisko rozkwitło – to wtedy powstał krakowski teatr STU czy Teatr Ósmego Dnia, kilkanaście studenckich czasopism literacko-kulturalnych (np. krakowski „Student” – nieformalny organ poetyckiej grupy „Teraz” – m.in. Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego), odbywały się krajowe i światowe festiwale studenckiej kultury, studenckich teatrów, słynny festiwal kabaretów FAMA, liczne festiwale piosenki, a liczbę grup poetyckich, klubów jazzowych i filmowych, chórów, zespołów muzycznych i innych można było liczyć w dziesiątkach, a może i setkach. Ponieważ nie stawiano żadnych estetycznych wymagań (cenzura, bardzo w wypadku studenckich twórców liberalna, skupiała się na politycznych konkretach) serio można było mówić o wolności<sup>5</sup> twórczych poszukiwań.

.....  
5 O dziwo działo się tak w okresie, kiedy „dorosła” literatura wchodziła z władzą w coraz to ostrzejszy konflikt, co początkowo nie wywoływało jakiegos wyrażnego zaostrzenia kursu wobec studenckich twórców, jeśli – rzecz jasna – nie interesowali się otwarcie polityką. Jak pamiętam, wyraźne „dokręcenie śruby” nastąpiło dopiero po sprawie Pyjasa i powstaniu Studenckiego Komitetu Solidarności. Aby czytelnik zdał sobie sprawę z politycznej sytuacji w kulturze polskiej lat siedemdziesiątych, przytaczam fragmentaryczne kalendarium wydarzeń: \*1974 – poza cenzurą ukazuje się debiut poetycki J. Bieriezina; \*1974 – ukazuje się *Świat nieprzedstawiony* Kornhausera i Zagajewskiego, oraz słobunkowo liczne inne publikacje programowe poetów „pokolenia 68” lub też szkice krytycznoliterackie im poświęcone; \*Luty 1975 – odbywa się upominający się m.in. o wolność słowa Zjazd ZLP; po zjeździe z PZPR występuje Barańczak, co na razie jednak nie pociąga za sobą zakazu publikacji dla niego i „zapisu” cenzury na jego nazwisko; \*30.07-1.08.1975 – 3 sesja Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie; \*5.12.1975 Memoriał pięćdziesięciu dziesięciu sprzeciwiający się zapowiadany zmianom w Konstytucji PRL (podpisują m.in. S. Barańczak, J. Bieriezina, J. Kornhauser, R. Krynicki, A. Zagajewski); \*31.01.1976 – Memoriał 101 przeciw planowanym zmianom w Konstytucji i inne protesty. Zaczynają się konfiskaty tekstów m.in. Barańczaka, Kornhausera, Zagajewskiego; \*10.02.1976 – uchwalenie kontrowersyjnych zmian w Konstytucji PRL (zagwarantowanie rządów PZPR i sojuszu z ZSRR); \*26.02.1976 – zapowiedź wprowadzenia dziesięciolatki i nowego programu nauczania języka polskiego – znacznie ograniczającego tradycyjny szkolny kanon polskiej literatury; \*Maj 1976 – powstaje Polskie Porozumienie Niepodległościowe; \*25 czerwca 1976 – strajki i zamieszki w Radomiu, Ursusie, Płocku; \*Sierpień 1976 – list 13 przeciw wyrokom w procesach ursuskim i radomskim (podpisują m.in. Barańczak, Krynicki) i inne protesty; \*23.09.1976 – powstaje Komitet Obrony Robotników (wśród założycieli S. Barańczak); \*28.11.1976 – Apel stu siedemdziesięciu dwóch przeciw represjom wobec uczestników wydarzeń radomskich i członkom KOR (podpisał m.in. A. Zagajewski); \*Styczeń 1977 – ogłoszono Kartę 77 w Czechosłowacji, w prasie partyjnej ma miejsce ożywiona publicystyczna kontrofensywa przeciw działaniom polskiej opozycji. Ukazuje się pierwszy numer opozycyjnego „Zapisu”; \*1.02.1977 – odbywa się Zebranie Sprawozdawcze Warszawskiego Oddziału ZLP ostro krytykujące działalność cenzury, w tym „zapisy” na nazwiska; \*Luty 1977 – ma miejsce akcja zwalniania z pracy opozycjonistów (m.in. J. Bieriezina); \*25.03.1977 – powstaje Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela; \*Maj 1977 – wydano zakaz druku i zapisy na nazwiska m.in. S. Barańczaka, R. Krynickiego, A. Zagajewskiego; \*7.05-15.05.1977 – śmierć Stanisława Pyjasa, odbywają się demonstracje studenckie w Krakowie, powstaje SKS; \*Wrzesień 1977 – rozpoczęła działalność Niezależna Oficyna Wydawnicza [na podstawie: FIK 1989, CZAPLIŃSKI i in. 2003].





Zdjęcie rodzinne, od lewej dziadkowie: Helena Pestka (uczestniczka strajku dzieci we Wrześni, 1901 r.) i Józef Pestka (uczestnik bitwy pod Verdun, 1916 r.), rodzice: Zofia i Władysław Pestkowie, od lewej siostry Anna i Maria, z książką Wojciech (Pionki 1960)

Bohater mojego szkicu był bardzo aktywnym uczestnikiem i animatorem kultury studenckiej. Lista przedsięwzięć, które prowadził i w których uczestniczył – jeśliby ją zestawić – byłaby niezwykle długa. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na rzecz ważniejszą: ona ukształtowała go jako pisarza, pisał i wciąż pisze według jej zasad: wolności twórczej i szczególnie rozumianej apolityczności.

Wolność twórcza w wypadku tego zjawiska polegała na swobodnym korzystaniu z różnych środków stylistycznych i na transgresywności rozumianej jako poruszanie się na pograniczu różnych, czasem rzadko mogących współwystępować w ramach jednego dzieła schematów rodzajowych i gatunkowych, na ciągłym przekraczaniu granic rodzajów i gatunków literackich. Jeśli studencki twórca zajmował się satyrą – to poetycką, jeśli pisał opowiadania – to epicka historia współistniała na przykład z pierwiastkiem lirycznym i groteską równocześnie, a w zasadzie nie wiadomo było, czy to opowiadanie czy może ballada lub akt dramatu.

Apolityczność zaś polegała na wstrzymaniu się od konkretnej agitacji za taką lub inną ideą, skłonności do zagadnień ogólnych, unikaniu tematów źle widzianych przez władzę i zasadniczym, uniwersalnym, egzystencjalnym podejściu do tego, o czym się pisało. Studencki

twórca oceniał rzeczywistość niejako z punktu widzenia całej ludzkości. Główna osobliwość tej apolityczności polegała wszelako na jej formalnym charakterze. Piosenki, kabaretowe skecze, przedstawienia, liryka i proza wręcz naładowane były buntowniczymi treściami (bo socjalistyczna rzeczywistość tej młodzieży niezbyt się podobała), ale podanymi aluzyjnie, metaforycznie i do odczytania tylko w określonej sytuacji czy kontekście – odbiorcy świetnie umieli takie utwory odbierać.

To, co łączy twórczość Pestki w jedną całość i stanowi o jej oryginalności, to uparta pamięć o tych zasadach. Pisarz swobodnie porusza się po literackich konwencjach i unika wypowiedzania się wprost o politycznych kwestiach, a zwłaszcza jakiegokolwiek tendencyjności. Nawet jeśli pisze o tak politycznych tematach, jak np. radomski Czerwiec 1976, czy manipulacje radzieckiej propagandy (zniknęły cenzuralne ograniczenia, dziś można o wszystkim pisać, aczkolwiek nie bez prawnych i życiowych konsekwencji), z zasady stara się przedstawiać różne punkty widzenia, a o swoim informować za pomocą chwytów kompozycyjnych, budowy fabuły, metafor i innych środków stylistycznych. A w zasadzie to jego dzieła można w pełni odczytać tylko znając całą twórczość, a więc ich najbliższy kontekst.

Powróćmy jednak do opisu zasadniczych etapów życia Wojciecha Pestki, w które znacznie nieśmiało wkraczać poważniej traktowana literatura.

\*\*\*

Młodzieńcze wiersze (wedle dzisiejszego, młodoliterackiego nazewnictwa – „z rymami”) zaczął rozsyłać po redakcjach ok. 1970 roku, wtedy też nastąpiło ważne spotkanie i rozmowa o poezji z Tymoteuszem Karpowiczem<sup>6</sup> w redakcji „Odry”. Zadebiutował jednak dopiero w 1972 roku w lubelskiej „Kamieniu”, a dalszym krokiem ku poważnej literaturze, mocniejszym wejściem w lubelskie środowisko literackie, okazało się uczestnictwo w roku 1973 w niezbyt poważnym i ponoć głównie towarzyskim przedsięwzięciu – grupie poetyckiej „Samsara”, organizującej happeningi<sup>7</sup>, preferującej sztukę

6 Komentarz WP: „W redakcji rozmawialiśmy więcej niż pół godziny i ta rozmowa zmieniła mój sposób patrzenia na literaturę i patrzenia na świat. Jak widząc kroplę, wyobraźnią sięgnąć oceanu, przeniknąć jego właściwości – drogą dedukcji potwierdzić nie tylko sam fakt jego istnienia, lecz wnioskować o jego przymiotach: że będzie się burzył, że będzie niebezpieczny, o nieokielzanej naturze... I odwrotnie, widząc ocean, dostrzec i zastanowić się, czym jest jego najdrobniejsza cząstka, element pierwszy – kropla. Co musiało się stać, jaką drogę musiała przebyć, żeby trafić do oceanu. Ze trzeba wyjść poza te oczywistości, które podpowiada wyobraźnia i zmysły, pójść dalej, za ten pierwszy próg tajemnicy, jaką każda rzecz na świecie, kamień, roślina, człowiek są otoczone. Wtedy Karpowicz zwrócił mi uwagę na to, jakie niebezpieczeństwa niesie łatwość pisania wynikająca z romantycznego, emocjonalnego traktowania twórczości. I jak trudny jest proces docierania do istoty, wchodzenia w logikę rzeczy i zdarzeń, analityczne sposoby kreowania świata literatury, rozbierania na czynniki pierwsze i kontrolowania procesu syntezy” [K.].

7 Wojciech Pestka tak wspomina te czasy: „...Na małej, ręcznej drukarence złożyłem tekst „Pamiętka ze spotkania autorskiego Samsary” z datą. W sklepie z dewocjonaliami kupiliśmy święte obrazki i zrobiliśmy nadruk na ich odwrocie. Wszystkim, którzy przyszli, a było to wydarzenie znaczące w tamtym czasie i na wieczór stawił się tłum, wręczyliśmy te pamiętkę. Świętej pamięci Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, w trakcie spotkania ubrany w szlafmycę i nocną koszulę, chodził po sali ze świeczką, intonując cerkiewne psalmodie – miało to nawiązywać do *Mistrza i Małgorzaty*, szpitala wariatów. Kulminacją wieczoru była bitwa o literaturę. Przytaczaliśmy bezczkie kiszonych ogórków, zakładając, że posłużą jako ewentualna zakąska i ciskaliśmy nimi w publiczność. Kto miał wódkę, a większość doskonale wiedziała, czemu służą takie poetyckie starcia i odpowiednio się przygotowała, mógł wypić pod samsarowego ogórka. Kto nie miał wódki, walczą do upadłego. Wódki było dużo, była tania i dostępna na każdym kroku, jeśli był z czymś problem, to z ogórkami. Dłatego potraktowano je z właściwą powagą. Oczywiście, na wieczorze był cenzor. Był zniesmaczony naszym podejściem. Zarzucił nam odwoływanie się do religijnych elementów, dopatrywał się w spotkaniu prowokacji i naśmiewania się z realiów socjalizmu, sprowadzanie idei twórczości do absurdu” [K.]. Zacytuje także opinię Andrzeja K. Waśkiewicza: „Wystąpienia «Samsary» działy się, jak słusznie pisze jeden z jej członków (zob. *Poezja 1974*, nr 1) na pograniczu „happeningu” i groteski, wygłupu i całkowitej powagi” Warto może przytoczyć opis jednego z wieczorów grupy: „W rzeczy samej dzieło «Samsary» przeszło oczekiwania najbardziej zblazowanych konsumentów poetyckiej strawy, jako że poza elektromagnetycznym słowem posypały się na salę główki kapusty, publiczność żywo uczestniczyła w demonstracji” [WAŚKIEWICZ 1979, s. 10]. Owa praktyka zaopatrzona jednak była w poważnie brzmiące zaplecze teoretyczne: Według leksykonu Ewy Głębińskiej: *Grupy literackie w Polsce 1945–1989* (wyd. drugie, poszerzone, Warszawa 1993), kluczowe fragmenty wydrukowanego w „Kamieniu” manifestu (1970 nr 13) tak brzmiały: „współczesny czytelnik poezji „żąda od niej nie obrazu pojedynczych wzruszeń, lecz obrazu reprezentującego świadomość zbiorowości”, chodzi bowiem o stworzenie ponadindywidualnego, przez co bogatszego, obrazu świata [...] proces tworzenia powinien przebiegać poprzez „a) akceptację cudzego oglądu świata zawartego w wierszu; co umożliwi wdarcie się w świadomość indywidualnego autora, b) poetyckie wzbogacenie projektu wiersza o wizję reprezentatywną

ponadindywidualną i wieloautorską, co manifestowało się m.in. w podpisywaniu każdego wiersza czy programowego dokumentu nazwiskami wszystkich członków grupy.

W zasadzie historia Wojtka Pestki – dojrzałego poety – zaczyna się od wydania w 1976 roku dwóch skromnych poetyckich arkuszy zatytułowanych *Zwykła rozmowa* i *Miasto*. Pokazały one ten sposób rozumienia liryki, który – rzecz jasna udoskonalany – obowiązuje też w dalszych tomikach twórcy. Pestka tak rzecz opisywał:

„jako matematyk mam narzędzia, które przeniesione w inną przestrzeń tworzenia dają możliwości wydobycia innego tonu, sięgnięcia po inne odcienie, pozwalają mi się różnicować, mówić swoim głosem. Służy temu logika, te wszystkie matematyczne techniki dowodzenia czegoś, wnioskowania, tworzenia różnego rodzaju teoretycznych światów czy selekcjonowania cech istotnych dla jakiegoś obiektu, badania struktury” [K.].

Niestety nie jestem matematykiem, ale ze szkolnych czasów pamiętam, że można rozumieć matematykę (jak również logikę formalną) jako działalność poznawczą, swego rodzaju sztukę poszukiwania prawidłowości i równowagi<sup>8</sup> obecnych w realnym świecie, którego uproszczone modele w jakiś sposób są obecne w działaniach matematycznych<sup>9</sup>.

dla świadomości ogółu” [GŁĘBIŃSKA 2000, s. 353; por. także Waśkiewicz 1979, s. 9]. Wojciech Pestka do grupy dołączył w dwa lata później i raczej nie był to jego poetycki program. Po latach tak komentował: „Napisałem wspólnie kilka wierszy później opublikowanych wraz z manifestem w „Kamieniu”, w którym kwestionowaliśmy intymność, zindywidualizowany charakter aktu twórczego. Nasze wiersze podpisałem nazwiskami wszystkich członków grupy. Ton dialogu z systemem, z powracającą w pierwszym okresie „panowania” Edwarda Gierka, mimo złych doświadczeń lat pięćdziesiątych, ideą kolektywizacji życia społecznego, był prowokacyjny. Czemu koncepcji PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, które tak dobrze, według władz, sprawdziły się w tamtej rzeczywistości, nie przenieść na grunt literatury? Zakwestionowaliśmy istotę aktu poetyckiego. Potraktowano to bardzo serio jako oddolny, narodowo-socjalistyczny nurt poetów-komunardów. Zresztą, na naszej fotografii jesteśmy upozowani właśnie na komunardów z rewolucji francuskiej. Cenzura potraktowała to bardzo serio i... pozwoliła nas drukować. W tym miejscu kończył się wygłup, choć z literackim podtekstem, a zaczynało się spadanie” [K.]. Pełny skład grupy podaje Ewa Głębińska [GŁĘBIŃSKA 2000, s. 352], z nazwisk, które zostały się w literaturze oprócz W. Pestki zapamiętałem: Andrzeja W. Pawluczuka, Stanisława Rogalę, Zbigniewa Włodzimierza Fronczka.

8 Porównaj także wypowiedź Wojciecha Pestki: „Matematyka w moim odczuciu ma niewiele wspólnego z rachunkami, jest nauką o związkach pomiędzy obiektami należącymi do określonych zbiorów, rodzajem syntetycznego opisu, za pomocą matematycznych symboli i funkcji, relacji zachodzących w rzeczywistym świecie. Kluczowy dla tego zapisu jest znak równości symbolizujący harmonię, proporcjonalność, równowagę. Poszukiwanie harmonii i równowagi, dążenie do ideału jest też zadaniem sztuki: muzyki, malarstwa, rzeźby, architektury, poezji...” [PESTKA, SZEGDA 2017].

9 Spróbuję zatem „matematycznie” zinterpretować jeden z prostszych wierszy ze *Zwykłej rozmowy* – *Nad ranem* [PESTKA 2017b, s. 15]:

nad ranem  
pokój  
stygnie  
wypchany ciepłym piaskiem



W Łucku (rok 2016)

Jak sędzę, poezję Pestki należy traktować jako „lirykę czystą”, sztukę wynajdowania w rzeczywistości przejawów żywiołu poetyckiego i równocześnie oddawania przeżyć i nastrojów, które sprawiają, że takie, takie a nie inne przejawy poetyckości podmiot jest w stanie dostrzec w tym, co go otacza. Pisarz buduje w swoich wierszach sytuacje liryczne, poszukuje metaforycznych ekwiwalentów myśli i nastrojów, przy czym niekiedy emocje poetyckie stają się udziałem podmiotu lirycznego w okolicznościach dość codziennych. Spójrzmy, co się dzieje w duszy Poety, gdy jego Muza wchodzi do obuwniczego sklepu:

Grosz kupuje buty na zimę  
 Jej wrażliwość na zimno  
 Nie zależy od pory roku  
 Najbardziej boi się chłodu serca  
 Dlatego chce wybierać sama  
 Żeby później niczego nie żałować  
 [PESTKA 2017b, s. 52 – *Grosz kupuje buty*]

Ta sytuacja, jeszcze dająca się odczytywać dosłownie, rychło ulega metaforyzacji:

Nie oczekuje rad i odpowiedzi  
 Nie zamierza być praktyczna  
 Nie ceni sobie rzeczy uniwersalnych

.....

Jak sędzę, skromny ten liryk, przedstawiający nastrój podmiotu w określonej sytuacji, oparty jest na schemacie równania z jedną niewiadomą.

Podmiot (obserwacja emocjonalnie neutralna) + X1 = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany ciepłym piaskiem”.

Podmiot emocjonalnie neutralny jest w stanie orzec stan obiektywny: „nad ranem temperatura w pokoju zawsze obniża się”, rzecz jednak w tym, że opanowała go jakaś nieokreślona emocja (x1), o której możemy wnosić z użytej ukonkretniającej metafory „wypchany ciepłym piaskiem”. Jaką emocją jest x1? Po prostu taką, którą mógłby odczuć człowiek postrzegający pokój, w którym obudził się o świcie, jako coś „wypchane ciepłym piaskiem”. Pamiętajmy przy tym, że x może być nie tylko niewiadomą, ale i zmienną – o zmianach charakteru x i uwarunkowaniu tych zmian moglibyśmy wnosić z wprowadzania kolejnych metaforycznych określeń nastroju, gdyby wiersz był dłuższy i parę takich określeń zawierał. Na przykład, gdyby posiadał trzy zbudowane równoleżnikowo zwrotki, a jego podmiot denerwował się i bał coraz bardziej, moglibyśmy dostrzec szereg kolejnych „równań”:

Podmiot (obserw. emocjonalnie neutralna) + x2 = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany gorącym piaskiem”

Podmiot (obserw. emocjonalnie neutralna) + x3 = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany parzącym piaskiem”

W konsekwencji, ciąg wyrażań metaforycznych „pokój wypchany ciepłym piaskiem”, „pokój wypchany gorącym piaskiem”, „pokój wypchany parzącym piaskiem” gdyby rzeczywiście wystąpił w tym hipotetycznym trzywzrostkowym liryku, byłby informacją o narastającym natężeniu emocji podmiotu, według schematu:  $x1 < x2 < x3$ , którą od biedy można by zilustrować wykresem, gdyby różnicom między „ciepłym”, „gorącym”, „parzącym” (umieszczonym na osi rzędnych) przypisać jakieś wartości liczbowe, a na osi odciętych wskazać następstwo 3 zwrotek. Powstała w ten sposób funkcja ukazałaby korelację między następstwem zwrotek i wzrostem natężenia emocji podmiotu. Oczywiście powyższa interpretacja miała charakter głównie żartobliwy. →

One pasują do wszystkiego  
Woli ciepły brąz, słodki miód  
Albo karmelowy kolor marzeń [jak wyżej]

A pointa sugeruje w kolejnej strofie, że ktoś tu kogoś uwielbia ponad wszelką rozsądną miarę.

W takich butach można brodzić we mgle  
Mając za cały świat gwiazdną drogę

Buty są bytem zależnym  
Czasem pięciostrunnym czasem siedmiomilo-  
wym [jak wyżej]

Nie zacytowałem całego wiersza (czytelnik jeszcze się z nim zapozna), ale już widać jego semantyczny mechanizm: kobieta kupuje buty, przymierza je, martwi się tym, do czego będą pasowały, przy tym kompletnie nie interesują jej walory użytkowe (co jest niezrozumiałe dla towarzyszącej jej mężczyzny). Ale można się obejść bez rozumienia czegokolwiek, uznać tajemnicę kobiecych emocji, uwielbiać czarującą niekonsekwencję, uleganie emocjonalnym „impulsom”, a w końcu się ukorzyć przed tajemniczą kobiecością, dostrzec w niej siłę bajeczną, odwieczną, kosmiczną. Czy dobrze odczytałem poetycką strategię „Grosza kupującego buty” – nie wiem, ale akt zakupów tak jest tu opisywany, że moje wrażenia chyba nie obrażają intencji autora<sup>10</sup>.

Pobieżnie zanalizowany wiersz pochodzi z obsypanego nagrodami tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* z 2005 roku. Książka ta wraz z kolejnym tomikiem *Spacer po linie – Мандрівка ливною* napisanym wspólnie z ukraińską poetką Anną Bagrianą (wyd. 2008) świadczy o tym, że największe poetyckie osiągnięcia Wojciecha Pestki wiążą się z liryką miłosną, a do kontynuowanych przez niego poetyckich nurtów trzeba dodać tradycję Norwida, który, co w drugiej połowie XIX wieku było czymś niesłychanym, w otaczających go prozaicznych elementach życia dostrzegał tchnienie Wieczności.

Jeszcze wyraźniej widać nawiązanie do tej tradycji w niektórych utworach Pestki pomieszczonych w eksperymentalnym<sup>11</sup> tomie *Spacer po linie – Мандрівка ливною*, które przed paru laty charakteryzowałem:

„utwory rysują zwykłe, życiowe sytuacje i nadbudowują nad tymi codziennymi obrazami pewne ogólne, mniej lub bardziej symboliczne sensory, składające się w sumie na obraz stanu ducha

10 Przy okazji dodam, że ostatni wers utworu świadczy o pewnych wpływach poezji lingwistycznej.

11 Uzasadniam to określenie we włączonej do tego wyboru recenzji, której fragment tu przedrukowuję.

podmiotu. Sytuacje bywają nader prozaiczne: podróż pociągiem, autobusem, bufet dworcowy, robienie sobie pamiątkowego zdjęcia, na którym lepiej wyszło tło niż plan pierwszy. Wypełnione są prozaicznymi szczegółami, takimi jak walizka ciągniona na kółkach, chińska bawełniana koszulka, lampa świecąca nad biurkiem, hotelowy korytarz – i zostały dość starannie zarysowane (ich opis kończy się jednak zawsze ogólną, uczuciową czy filozoficzną pointą)” [KAJTOCH 2011, s. 430-431].

\*\*\*

Poetyckiej drogi Wojciecha Pestki nie można jeszcze podsumować. Ostatnio, w 2020 roku wydał tom wierszy *MONO #DRAM*, w którym zgromadził m.in. utwory mieszczące się w nurcie poezji lingwistycznej i tym samym nawiązujące do poezji Tymoteusza Karpowicza. Wspominałem o roli tego poety w życiu naszego bohatera i śmiało można by było mówić o „powrocie do korzeni”, nadaniu przez Pestkę jakiejś ramy swojej poetyckiej drodze, gdyby nie to, że dużej części jego dorobku po prostu nie znamy. Wciąż pozostają niewydane wiersze (i poematy?) tworzące tomy *Ruchome obrazy* i *Histeria*<sup>12</sup>.

Ale to, co o niej wiemy: fakt książkowego debiutu w 1976 roku oraz bardzo osobisty charakter tej liryki pozwalają w miarę ściśle umieścić Pisarza na pokoleniowej mapie rozwoju literatury PRL. Do połowy dekady panowała w młodej literaturze Nowa Fala (Barańczak, Bie- riezyn, Kornhauser, Krynicki, Zagajewski, L. Szaruga, L. Herbst) – poeci urodzeni na ogół około połowy lat czterdziestych, którzy przeżyli wstrząs 1968 roku, lecz po Grudniu 1970 uznali, że sytuacja w kraju musi ulec poprawie, że po tragedii na Wybrzeżu nastąpią gospodarcze reformy i demokratyzacja. Postanowili się przyłączyć do partyjnych reformatorów, budzić obywatelskie postawy, piętnować zło, które przeszkadzało tym zmianom (np. gierkowską propagandę z jej denerwującą nowomową) i srodze się zawiedli: jak tylko zakończyła się KBWE i wybuchły protesty w sprawie upokarzających Polaków zmian w konstytucji – obłożono tych pisarzy cenzuralnymi zakazami i (na szczęście tylko przejściowo, ale to okazało się po dwudziestu latach) usunięto z szeregów uprzywilejowanej, kulturalnej elity.

Poddanie starszych kolegów różnorakim represjom skutecznie przekonało tych młodszych, urodzonych ok. 1950 roku, a zwykle debiutujących mniej więcej w pierwszej połowie dekady (na ogół między 1970 a 1976 rokiem) pisarzy, że trzeba przycichnąć, skupić się na poezji czystej, unikać konfliktów z cenzurą, bo zarówno współpraca, jak

12 Chodzi o osobny tom, a nie o wybór wierszy Pestki wydany pod tymże tytułem w 2017 roku w Krakowie.



Grupa poetycka „Samsara”, od lewej Wojciech Pestka, Stanisław Jan Królik, Marek Kusiba, Zbigniew Włodzimierz Fronczek (z arch. Z.W. Fronczka)

i sprzeciw wobec polityki Gierkowskiej PZPR na pewno skończą się dla nich źle – to zabawa tylko dla ludzi naprawdę mocnych i dobrze ustosunkowanych. Nazwano ich<sup>13</sup> „Nowymi Rocznikami”, a ich twórczą metodę „Nową Prywatnością”<sup>14</sup>.

13 Można wymienić: Macieja Chrzanowskiego, Andrzeja Kaliszewskiego, Krzysztofa Lisowskiego, Andrzeja Dróżdza, Jana Krzysztofa Adamkiewicza, Urszulę Małgorzatę Benkę, Bronisława Maję, Antoniego Pawłaka, Jana Rybowicza, Sergiusza Sternę-Wachowiaka, Andrzeja Szubę itd. Niektórzy z nich zradyzalizowali się politycznie w 1980 roku.

14 Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (najpierw powołując się na Stefana Chwińna, a potem z nim polemizując) tak ją scharakteryzował: „nowa prywatność” [...] ma „stworzyć szansę na uchwycenie sensu całości życia. Dokona tego być może przez pełne odsłonięcie życia prywatnego; człowiek się będzie mógł rozpoznać w najbardziej osobistych problemach, pytaniach, niepokojach innego. Otóż wypowiedzenie tego wszystkiego z punktu widzenia najgłębiej pojmowanych potrzeb zbiorowych wydaje się nie tylko potrzebne, ale i konieczne [...] pisarz swoją prywatną próbę nadania sensu egzystencji proponuje innym”. Tak pojęta literatura stwarzałaaby z jednej strony wzorce przeżywania świata, wносиła wartości w świadomość odbiorców, z drugiej zaś strony byłaby narzędziem diagnozowania rzeczywistości, to co „prywatne”, ulega „socjalizacji”, jest bowiem wyrazem rzeczywistych społecznych nastawień. Wydaje się wszakże, iż aby ukazać rzeczywistość, nie zaś potencjalną realizację „nowej prywatności”, należy ją rozpatrywać nie w kategoriach postawy osiągniętej, ale raczej pewnej konieczności. Myślenia nie „kategorią całości życia”, ale raczej „kategorią azylu”. To co „prywatne”, sytuowało się bowiem w opozycji do tego, co oficjalne i zinstytucjonalizowane. „Mit artysty” sytuował się w opozycji do preferowanej przez Nową Falę funkcji „eksperta moralnego i aksjologicznego”. Co więcej, indywidualizm ten był, zapewne nie uświadomioną, koniecznością. Wyłączenie z obiegu realizacji nowofalowych dowodnie przekonywało młodych, iż ten sposób ingerencji w rzeczywistość skazany jest na nieistnienie bądź funkcjonowanie pod powierzchnią życia literackiego” [WAŚKIEWICZ 1987, s. 393–394].

Właśnie wśród „Nowych Roczników” uprawiających „nową prywatność” widzę miejsce Wojciecha Pestki w polskiej literaturze lat siedemdziesiątych XX wieku. Choć z racji wieku mógłby być jednym z młodszych „nowofalowców”, to osobisty charakter jego liryki i zaangażowanie w dość apolityczne uprawianie „kultury studenckiej” każą mi go postrzegać jako starszego wiekiem uczestnika poetyckiego pokolenia grupującego następców Nowej Fali.

\*\*\*

Gdy patrzę dzisiaj na Wojciecha Pestkę z lat siedemdziesiątych, wyobrażam go sobie jako człowieka, który mógł czuć się w miarę spełniony. Miał żonę i dzieci, pracował naukowo (wówczas prestiż naukowców był o wiele większy niż dzisiaj) i to w prawdziwie apolitycznej dziedzinie, pisał wiersze i działał na ulubionym polu „studenckiej kultury”. Od polityki trzymał się z daleka („nie byłem walczącym z komuną radykałem, raczej zdroworozsądkowym liberałem” [K.]). Szczęśliwym trafem nawet radomski Czerwiec 1976’ tej równowagi nie naruszył („Ojciec [...] w piątek 25 czerwca na wieść o strajkach pojechał do Radomia, żeby przyłączyć się do robotników. Wrócił zdruzgotany, miał powiedzieć: to nie robotnicy, to kryminaliści, którzy palą i rabują sklepy” [K.]). Oczywiście →

sielanki nie było – zapewne jak wszyscy młodzi ludzie nie miał mieszkania ani pensji starczącej do pierwszego, a działalność kulturalna wymagała gotowości do kompromisów z cenzurą i władzami, dość uciążliwej, bo musiał wiedzieć, że sytuacja w kraju, zwłaszcza na polach literatury, gospodarki i sposobu sprawowania władzy pozostawia wiele do życzenia. Pewnie, jak i cała polska inteligencja (poza może najbardziej wpływową lub dzierżącą władzę częścią partyjnego aparatu) rządzących nie lubił, wiedział, że wszystkich swoich marzeń nie spełni – ale ja-koś żyć się dało.

I oto nagle nastąpiła dramatyczna katastrofa: młody poeta znalazł się „po drugiej stronie rzeczywistości”, tej w miarę możliwości ukrywanej przed obywatelami, gdzie panowały: „prawo pięści”, samowola władzy i stosunkowo lekkie – ale jednak represje. Pestka w 1980 roku w trybie nagłym został zmuszony do zwolnienia się z pracy. Wykorzystując wspomnienia pisarza można dokonać następującej rekonstrukcji:

„o tym, że mam się stawić w kadrach poinformowała mnie kierownik instytutu, przy rozmowie był obecny sekretarz uczelnianej POP [...] otrzymałem propozycję nie do odrzucenia: albo zostaną zwolniony dyscyplinarnie z „wilczym biletem” [...] albo zwolnię się sam (bez negatywnych konsekwencji) i dwa dni na podjęcie decyzji [...]. Wybrałem to drugie (żona w tym czasie dostała przydział na mieszkanie i propozycję awansu) i wróciłem do domu rodziców w Pionkach” [K.].

Nie tylko go zaszantażowano, ale i podwójnie oszukano. Po pierwsze, bez formalnego, kryminalnego albo dyscyplinarnego pretekstu nie tak łatwo było w 1980 roku zwolnić w Polsce naukowego pracownika – weryfikacje i zwolnienia nastąpiły dopiero w stanie wojennym, po 13 grudnia 1981 (choć oczywiście można było nie dać mieszkania jego żonie). Po drugie, negatywne konsekwencje jednak były: Pestkę zaczęło „odwiedzać” SB, a przede wszystkim zadziałał nieformalny mechanizm „wilczego biletu”. „Ostrzegano” przed nim ewentualnych pracodawców, miał zostać bezrobotnym inteligentem. To, co wiem o peerelowskiej rzeczywistości, każe mi uznać (zdaję sobie sprawę, że w tym momencie piszę powieść, a nie naukowe opracowanie), że przeciw poecie spryskiwały się siły o wiele potężniejsze niż uczelniana PZPR...

Zwykle w takiej sytuacji poddany represjom delikwent musiałby w końcu poddać się, kornie poprosić o wybaczenie niepopelnionych błędów i pójść na wiadomy kompromis. Ale Pestka okazał się o wiele twardszy niż sądzono, można metaforycznie powiedzieć, że zagrała w nim krew przodków – chłopów i żołnierzy. Nie uległ i zdecydował się na krok wówczas bezprecedensowy:

„Kiedy okazało się, że nie mogę dostać pracy w szkole jako nauczyciel matematyki (brak kwalifikacji) ani nigdzie indziej (wrogi stosunek do socjalistycznej rzeczywistości)<sup>15</sup>, otrzymałem od gminy propozycję przejścia gospodarstwa dziadków (pod warunkiem zdobycia rolniczych kwalifikacji). Ukończyłem zaocznie kurs rolniczy, zdałem egzamin i zostałem właścicielem ziemskiej posiadłości<sup>16</sup> (łąka i ziemia orna o łącznej powierzchni 4,34 ha, drewniany dom wsparty na dębowych przyciesiach z chlebowym piecem i stodoła kryta słomą)” [K.].

\*\*\*

Gdy młody asystent, poeta i animator osiadł na gospodarce pozostałej w Poświętnem<sup>17</sup> po dziadku-kowalu – chyba był w rozpaczy: pisząc czy opowiadając o tym wydarzeniu powtarza: „wydawało mi się, że świat się dla mnie skończył” [K.], „myślałem, że mój świat się zawalił” [K], „wydawało mi się, że runął cały mój świat” [PESTKA, SZEGDA 2017]. I nie było w tym przesady, bo trudno o większy kontrast między środowiskami niż ten pomiędzy światem studencko-młodoliteracko-asystenckim, zamieszkałym przez „dzieci we mgle” nieceniące (przynajmniej oficjalnie) dóbr materialnych, posiadające w tamtych czasach

.....  
15 Jak w praktyce działał „wilczy bilet” może przybliżyć następujący fragment powieści *Mój mąż, frajer*: „O tym, że nie dostanie posady dyrektora szkoły podstawowej w Borach, dowiedział się ostatniego dnia sierpnia z listu od pani kurator. – Ograli pana – listonosz z dziwnym, ni to drwiącym, ni to współczującym uśmiechem podsunął mu pokwitowanie – cała wieś już o tym mówi, wie. – Co wie? – nie bardzo zrozumiał, czego dotyczy jego uwaga, zajęty układaniem przemówienia na inaugurację roku szkolnego. – Wszystko. Przyjeżdżali z województwa, pytali, ostrzegali ludzi. Ale ja tam nic nie wiem, niczego nie będę powtarzał – zastrzegł na wszelki wypadek, zanim zamknął za sobą drzwi. List był krótki i wymowny w swej treści: „W związku z brakiem kwalifikacji pedagogicznych podanie o pracę w szkole zostało rozpatrzone odmownie”. Tyle, tylko tyle. Tylko tyle, chociaż wszystkie załączone dokumenty zaświadczały o czymś wręcz odwrotnym, nadmiarze kwalifikacji, który mógł być równie kłopotliwy i niewygodny jak ich brak. To jakaś absurdalna, kosmiczna wprost pomyłka – pomyślał – albo władza zagrała mi na nosie. Muszę to wyjaśnić, zadzwonić do kuratorium. Pan mnie oszukał, nadużył mojego zaufania – w głosie pani kurator słychać było autentyczne oburzenie – jest pan jednostką społeczną, niepewną ideologicznie, nie można takim jak wy powierzać wychowania młodzieży – z tego wzburzenia zmieniła formę, przeszła na „wy”. – Jesteście wicherzycielem i bankrutem politycznym, pospolitym przestępcą i malwersantem, podżegaczem, zagrożeniem dla socjalistycznego systemu wychowywania młodzieży – widać żadne kolejne oskarżenie nie przyszło jej do głowy, bo odłożyła słuchawkę. – Niech się wynosi z naszej wsi – kierowniczką poczty popatrzyła na niego z wyrzutem, zanim spuściła oczy. – Bo tu mu żyć nie damy. – To się jeszcze zobaczy! – wyrzucił z siebie, zanim trzasnął z całej siły drzwiami poczty – to się jeszcze zobaczy!” [PESTKA 2017a, s. 212–213]. List pani kurator – dodam – też chwycił się formalnego pretekstu, bo w przepisach rzeczywiście istniało zastrzeżenie, że do pracy z młodzieżą można dopuścić tylko wykształconych merytorycznie i pedagogicznie, a matematyk-programista mógł nie mieć takiego papierka. Nie słyszałem jednak, żeby z takiego powodu kogoś realnie nie przyjęto do pracy w szkole. Nikt się do niej nie pchał, absolwenci studiów wyższych unikali jej, jak tylko mogli – jeśli więc znalazł się chętny, zwłaszcza na pracę na wsi, to przyrzymano oko.

16 Powierzchnię 4,35 ha w owych czasach miało już dość zasobne chłopskie gospodarstwo.

17 Nie wiem, jak wygląda teraz stan administracyjno-prawny, ale zwykle się uważa, że Poświętne są częścią Jedlni, przysiółkiem ongiś powstałym po parcelacji kościelnego majątku.

sporo wolnego czasu, przejmujące się głównie kwestiami literatury, ideologii i sztuki – a światem chłopskim, do bólu pragmatycznym, zaciętym, pracującym naprawdę ciężko i bez żadnych urlopów, ceniącym swój honor, ale i pieniądze. W dodatku Pestka niewiele wiedział o rolnictwie, jako człowiek niepewny i skonfliktowany z władzą był dla gromady niebezpieczny, musiano przyjmować go jako „miastowego frajera”, albo w ogóle nie wiadomo kogo. I choć z drugiej strony był z miejscowej rodziny i trafił też na ludzi przychylnych – np. naczelnika gminy, który umożliwił mu objęcie gospodarstwa, czy miejscowego proboszcza, to początki gospodarzenia musiały być niezwykle trudne, w dodatku takie przeprowadzki z reguły powodują komplikacje rodzinne.

Z innej jednak strony były i korzyści, więc bilans dwudziestoletniego gospodarzenia na roli okazał się zdecydowanie pozytywny. Pisarz dziś stwierdza: „Wtedy myślałem, że mój świat się zawalił, dziś jestem wdzięczny Bogu i partii” [K.], a ja mogę hipotetycznie owe pozytyw określić i je wymienić. W punktach:

- pisarz przezwyciężył uprzedzenia i zyskał w nowym środowisku trwałe poważanie<sup>18</sup>,

.....  
18 Świadczy o tym na przykład to, że jest prezesem Stowarzyszenia Jedlnia. Można znaleźć o nim takie informacje: „zostało powołane na zabranie założycielskim w dniu 10.12.2006 roku. Liczy 48 członków zwyczajnych. Obejmuje swym działaniem tereny polany położonej w obrębie Puszczy Kozienickiej, na której znajdują się Jedlnia i wsie okoliczne, w granicach jakie parafia Jedlnia miała w czasach króla Jagiełły, od Siczek po Mąkosy, od Janusza po Kozłów. Lista członków Stowarzyszenia jest otwarta, wciąż mogą do niego przystępować kolejni zainteresowani, którzy emocjonalnie czują się związani z tymi okolicami i z nimi sympatyzują. Nie ma znaczenia miejsce zamieszkania ani wiek, zamieszkanie, miejsce zatrudnienia, stanowisko ani opcja polityczna, podstawowym kryterium jest zainteresowanie rozwojem lokalnej społeczności, działanie na rzecz poprawy warunków życia, praca na rzecz zachowania pamięci o historii i zabytkach. Główne cele działalności statutowej to: 1. Zachowywanie materialnej i niematerialnej spuścizny historycznej, pamiątek i zabytków związanych z Jedlnią, miejscowościami okolicznymi położonymi na terenie zakreślonym historycznymi granicami parafii Jedlni oraz terenami Puszczy Kozienickiej i miejscowościami na terenie puszczy położonymi. 2. Działania o charakterze promocji tych miejsc, historii i kultury z nią związanych w kraju i poza jego granicami, w tym tworzenie miejsc pamięci, prowadzenie działań związanych z zbieraniem informacji o przeszłości regionu i ochrona miejsc historycznych, działalność informacyjna. 3. Działalność wydawnicza, związana z promowaniem lokalnej historii, lokalnych twórców, społeczności terenów wymienionych w punkcie 1. 4. Poznawanie kultur, obyczajów, tradycji, krajoznawstwa polski i innych krajów, wymiana kulturalna. 5. Aktywne promowanie kultury, sztuki i nauki polskiej oraz ochrona dziedzictwa kulturowego. 6. Współpraca zagraniczna oraz prowadzenie działań na rzecz integracji europejskiej, rozwijanie kontaktów i współpracy między społecznościami. 7. Organizowanie imprez o charakterze rekreacyjno-wypoczynkowym, imprez turystycznych, sportowych, wycieczek tematycznych na terenie kraju i poza granicami Polski. 8. Organizacja i prowadzenie wolontariatu oraz popieranie i promocja różnych działań związanych z rozwojem osobowym. 9. Kształtowanie kreatywności lokalnych społeczności w tym także młodego pokolenia wobec zmieniającego się świata. 10. Działalność edukacyjna szkolna i pozaszkolna, szkoleniowa oraz edukacja nieformalna, w tym promowanie zachowań prozdrowotnych związanych ze zdrowym trybem życia, promowanie sportu, organizacja i udział w różnego rodzaju imprezach sportowych, wspieranie działań związanych ze sportem. 11. Rozwój technologii informacyjnej i komunikacyjnej w środowisku lokalnym, w tym prowadzenie informacyjnej strony internetowej. 12. Działalność na rzecz osób niepełnosprawnych. 13. Promocja przedsiębiorczości, wspieranie lokalnych inicjatyw [www.gmina-pionki.pl].

– przekonawszy się o swej sile musiał uwierzyć w siebie,

– posiadał umiejętność pracy na roli i zyskał doświadczenie ekonomiczne, a więc zyskał realną, życiową wolność<sup>19</sup>,

– uniknął fali irracjonalizmu i politycznej hysterii lat osiemdziesiątych,

– na własnej skórze nauczył się cenić to, co ważne i szanować tych, którzy na szacunek zasługują – unikać zaś tego, co naprawdę niebezpieczne i nie dać się zwodzić pozorom,

– generalnie zwyciężył w „walce ze wsią, przyrodą, [...] wyobrażeniami o sobie” [K.].

Gdy więc Wojciech Pestka około roku 2000 znów poważniej<sup>20</sup> zajął się literaturą i (już na drugim miejscu) kulturalną działalnością, to – nie zatracając ideałów, w których wyrósł i w które wierzył jako człowiek młody – stał się innym Wojciechem Pestką, innym pisarzem. Obok liryki mógł uprawiać prawdziwą, psychologiczną i społeczną, realistyczną, a nawet dokumentarną prozę. Sięgając po tematy najważniejsze.

A przede wszystkim z tego swoistego czyścica wyszedł jako pisarz wolny, który nie musi przed nikim się usprawiedliwiać, nie musi nikomu (w tym i sobie samemu) ani niczemu służyć – żadnym mecenasom, konwencjom, formom czy ideologiom, nie musi z niczego się tłumaczyć. Kierując się tym najważniejszym ustaleniem, Jego (niepoetycką, prozatorską) twórczość ostatnich lat dwudziestu rozpatrzę nie historycznie (diachronicznie), a jako zespół nieomal synchronicznie powstałych rodzajowych i gatunkowych bloków.

\*\*\*

Powrót do pisania, rozpoczęty około 1990 roku, Pestka tak wspomina:

„Śmierć ojca [11.04.1990], który pomagał mi i towarzyszył w mojej walce ze wsią, przyrodą, moimi wyobrażeniami o sobie była jak uderzenie prądem elektrycznym. Zrozumiałem, że lepiej ułożyć się ze sobą i światem niż z nim walczyć. Wtedy zaczęły powstawać opowiadania ze zbioru *Ballada o żyłtce*, były próbą określenia

.....  
19 Po raz kolejny zyskał zaś wolność wtedy, gdy jego gospodarstwo nie wytrzymało tzw. „transformacji” i około 1990 roku zbankrutowało. Tym samym uwolnił się od wielu obowiązków związanych z gospodarzeniem i mógł poważniej zająć się literaturą.

20 Pracując na roli nie miał wiele czasu na pisanie i drukowanie. Na pewno w ramach hobby pisał wiersze, szkicował opowiadania („Pisanie było przez ten czas ze mną, ale wstydliwie, niczego nie zapisywałem, jedynie zaznaczałem tematy na przyszłość, czekałem na impuls, który zmusi mnie do pracy” [K.]), ale nie było mowy o większych formach literackich. No i brak było jakiegokolwiek środowiskowego i czytelnickiego →

swojego miejsca w świecie pomiędzy przeszłością i przyszłością, śmiercią i życiem, tym co w środku i na zewnątrz, mitologizacją rzeczywistości. Za tym poszły nieśmiałe próby publikowania: «Twórczość», «Odra», «Lublin»<sup>21</sup> [K].

W istocie wydany w 2009 roku zbiór opowiadań świadczył o chęci podsumowania, chęci udzielenia sobie wstępnej odpowiedzi na pytanie, „co było w moim dotychczasowym życiu najważniejsze”. Sęk jednak w tym, że nigdy nie poznamy konkretnych odpowiedzi, gdyż pisarz na ogół nie wspominał, a pisał literackie fikcje, dające jedynie pośrednie i ogólne odpowiedzi (powstaje sytuacja niczym w spowiedzi powszechnej – człowiek wyznaje, że „ciężko zgrzeszył”, co jest skądinąd prawdą oczywistą), jak również prezentujące wiedzę pisarza o świecie niekoniecznie z własnych doświadczeń czerpaną. A jeśli już wspominał, to przecież oficjalnie o tym nie powiadał.

Więc jaką ogólną o życiu wiedzę prezentują te najczęściej ascetyczne w formie, krótkie utwory? Na przykład, że jakże przykro się zakochać w kobiecie oziębłej, niezdolnej do prawdziwej miłości (*Pies z czapką w pysku*), ale też, że taka kobieta jest bardzo nieszczęśliwa (Etiuda na zadany temat (to tylko sen), zaś miłość, nieważne czy prawdziwa, czy wymyślona daje szczęście nawet w chwili śmierci (*Ballada o praniu (z odroczonym terminem*<sup>22</sup>). Albo na przykład, że kobiecie piękno bywa zwodnicze, a dziewczyny amoralne – przy czym w tę pułapkę wpadnie każdy – i młodzieniec (*Ballada... tu mów radio*), i mężczyzna dojrzały (*Romeo i Julia. Krótka (nie bajka) o miłości*<sup>23</sup>). Biorąc pod uwagę, że zawiedzenie się na kobiecie jest wynikiem szczególnego rodzaju samookłamywania się, ten ostatni motyw zapowiada problematykę *Mojego męża frajera*. Pisarz interesował się nie tylko fenomenem miłości, także np. myśli samobójczych (*Przepis na śmieszne ciasteczka w ramach promocji, Etiuda na zadany temat to tylko sen*). Ponadto znajdujemy opowiadania najprawdopodobniej oparte na wspomnieniach *Stróża (inaczej nocna straż)*, oraz swojego rodzaju relacje z bieżącej, reporterskiej działalności (opowiadania czasem zawierają opisy podróży na Ukrainę, lub jakieś napomknięcia o tych podróżach).

21 Dokładne dane czytelnik tej książki znajdzie w bibliografii.

22 W opowiadaniu tym pojawia się Muza poety z tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza*.

23 Kończący to opowiadanie motyw bandyckiego napadu, uderzenia bohatera metalowym przedmiotem w głowę będzie pointą także powieści *Mój mąż, frajer*. W tekst tej powieści wejść także inne motywy z opowiadań z *Żyletki* – np. niektóre fragmenty wspomnień z dzieciństwa w Pionkach (*Ballada... tu mów radio*), motyw szczególnie rozumianego Raju (*Skazany za niewinność*), rodzinne, okupacyjne i starsze wspomnienia o rodzicach i dziadkach narratora opowiadań (*Ballada... tu mów radio, Miasto. (Nie)prawdy o budowaniu miasta*).

Osobiście jednak najbardziej cenię duch literackiego eksperymentu w tych opowiadaniach obecny. Pestka swobodnie operuje w nich różnymi literackimi konwencjami, miesza je w ramach danego utworu, uzyskując znaczące, a czasem zupełnie niespodziewane efekty. Tym sposobem np. *Ballada o żyletce*, formalnie będąca opisem żyletki i jej zastosowań staje się metaforyczną „definicją” męskości, *Dziewczyna (z Dęblina)* jest nie tyle opowiadaniem, co poematem prozą o erotycznym marzeniu, pięknie zakończonym aluzją do znanej ballady Leśmiana. Jako amatora kultury popularnej najbardziej rozbawiła mnie gra z gatunkowością obecna w *Sennej opowieści* kiedy na całkiem prozaiczny motyw brania w sanatorium borowiny nakłada się akcja fantastycznego horroru. Za ciekawą uznałem także uwspółcześioną trawestację historii o Mistrzu Twardowskim (*Buziaczki – inaczej ślina na druty. Nie(bajka o dorastaniu do nie)prawdy*).

Natomiast za opowiadanie w sposób szczególnie udany ukazujące, jak pisarz zafascynował się ludźmi zza naszej wschodniej granicy, sprawami ich krajów i kultur uważam „Lublin. Podróż na wschód”. Sytuacja banalna, przejazd autobusem za polsko-ukraińską granicę, realistycznie, szczegółowo a nawet naturalistycznie opisany, staje się podróżą fantastyczną, można rzec, że podróżą „w górę”, w regiony dostępne raczej mistykom. Przy czym relacja z „ziemskiej” podróży opisana jest tak, by naśladować schemat konstrukcyjny reportażu, a ta druga podróż – zasadniczo jest tylko zasugerowana. W rezultacie gatunek tego tekstu można określić jako transgresyjny „reportaż mistyczny”.

Pragnienie podsumowania swego dotychczasowego życia, dostrzeżenia w nim jakichś prawidłowości domagało się jednak pełnej, powieściowej realizacji. W 2017 roku Pestka wydał więc powieść *Mój mąż frajer* przynoszącą zarysy takiego podsumowania. Autor określał ją jako „współczesną wersję [...] powieści sowizdrzałskiej, dla której tłem stają się realia naszej teraźniejszości” [K.] (miał na myśli zapewne tzw. romans łotrzykowski), ale historia „frajera”-Adama mało przypominała przygody włóczęgów i kombinatorów, przebiegłych złodziejasków czy kurtyzan z *Przygód Moll Flanders, Przypadków Idziego Blasa, Żywota Łazika z Tormesu* itd. Zawiera najwyżej jakieś luźne do nich odniesienia. Adam nie jest kombinatorem, ale najwyżej romantycznym kobieciarzem, nie jest spryciarzem, a raczej naiwniakiem, nie przeżywa przygód, lecz konsekwencje przypadkowych życiowych wyborów i nie ma w jego historii ani krzty komizmu. No, może jedna okoliczność przypominała wymieniony romans – jego bohater na końcu przechodził zwykle umoralniającą czytelnika przemianę, i Adam – zostając rolnikiem – też miał okazję zilustrować czytelnikowi tę prawdę, że





Fotos z filmu *Klecha*, aktorzy Mirosław Baka i Janusz Chabior, z tyłu Wojciech Pestka

śniąc na jawie, żyjąc złudzeniami, niekiedy musimy się zbudzić. A jeśli tego nie zrobimy, możemy źle skończyć (w ostatniej scenie tekstu bohater, który stracił czujność, dostrzegając w zaczepiającej go galeriance jakieś cechy ukochanej kobiety – ostatecznie pada od uderzenia łomem w głowę, co również jest sprzeczne ze zwykle szczęśliwymi zakończeniami pikarejskich romansów).

Ponadto konstrukcja powieści nie przypominała nieskomplikowanego schematu fabularnego łotrzykowskiego romansu, gdzie bohater najczęściej po prostu wspominał przygodę po przygodzie.

Powieść Pestki jest połączeniem czterech relacji:

- opowieści o działaniach dwóch dziadków głównego bohatera – Adama, tj. Jana i Antoniego<sup>24</sup>,
- manuskryptu Wiktorii – córki Adama, rekonstruującego przeżycia i przemyślenia jej ojca w dniu fatalnego wypadku, manuskryptu, z którego pomocą Adam mógłby odzyskać straconą po uderzeniu pamięć – jej dzieło jest niejako

24 Pisarz tak streszcza wątek: to „absurdalne zachowania Jana i Antoniego, jego (Adama) nieżyjących dziadków, mieszkańców surrealistycznego raju. Z miłości do prawnuczki Wiktorii, córki Adama, podejmują desperacką próbę ingerencji w doczesne sprawy realnego świata” [K.]. Dodam, że raj to także państwo policyjne, więc dziadkowie, przypadkowo dokonujący zniszczenia posągu Michała Archanioła skazani zostaną na rozdzielenie (pobyt w osobnych kwaterek w raju, ale przy tym „sąd rozważył możliwość przywrócenia do pamięci osobnika, z powodu którego dopuścili się występku” [PESTKA 2017a, s. 236].

apokryfem, zapisem hipotetycznych wspomnień Adama<sup>25</sup>,

- relacji Wiktorii z tego, co jej się przytrafia w okresie pisania swego „lecniczego” tekstu, a przygody ma różne (zaznaczają się w ich toku działania opiekujących się nią pradziadków),
- listu, w którym matka Wiktorii, porzucona żona Adama, dokonuje jego charakterystyki i oceny.

Ta<sup>26</sup> ocena Adama wypada surowo:

25 Ciąg dalszy autorskiego streszczenia: „Jest Wielka Sobota, główny bohater zgodnie z tradycją przygotowuje koszyk z pokarmami do święcenia i rusza, bez świadomości, że to ostatni spacer w jego życiu, na wędrowną po mieście. Wydarzenia, w których bierze udział, rozgrywają się pomiędzy malowaniem pisanek a wieczornym przypadkowym spotkaniem w galerii handlowej „Kraina Marzeń” [K.] – nie jest do końca pewne, czy od uderzenia w głowę zginął, czy nie zginął, gdyż zwrot „przywrócenie do pamięci” może raczej wskazywać na to, że umarł, lecz dzięki relacji Wiktorii będzie trwać pamięć o nim, a nie na to, że odzyskał pamięć i wyzdrowiał.

26 Streszczając powieść, sam autor ocenił go tak: „Sens istnienia tytułowemu „frajerowi” nadają kobiety: bez nich nie potrafi żyć, jego wiara w miłość jest tak duża, że wydaje się infantylna, podobnie jak upór w poszukiwaniu kobiecego ideału” [K.] i dalej: „Cały kodeks moralny Adama sprowadza się do słów, które w dzieciństwie usłyszał od dziadka: „Nie musisz być uczciwy wobec kobiet, z którymi sypiasz, wobec mężczyzn, z którymi pijesz wódkę, nawet wobec księdza, któremu wyznajesz swoje grzechy – Bóg to zrozumie i ci wybaczy, ale musisz być uczciwy wobec tych, którzy umierają z głodu. Inaczej przestaniesz być człowiekiem” [K.]. Zważywszy, że Adam nigdy nie miał okazji ich spotkać można chyba stwierdzić, że w świetle tej oceny Adam jest amoralny. →

Adam, mój mąż, jest (bo przecież wciąż jesteście mężem i żoną) książkowym przykładem frajera, który bierze swoje wyobrażenia o świecie za rzeczywistość. Jeśli chce w coś wierzyć, to bezgranicznie, jeśli walczyć, to na śmierć i życie, jeśli pić, to do upadłego... Taki domorosły Don Kichot, który rusza każdego dnia na wiatraki. Od innych frajerów różni się tym, że nie oczekuje oklasków: wierzy, nienawidzi, pije, kocha, bo jego przykazaniem i wewnętrznym imperatywem jest wierność sobie. To jest głupie, ale imponuje [PESTKA 2017a, s. 229].

W dodatku nie potrafi dobrze pisać:

Jego literackie sukcesy nie są oszałamiające, to prawda, ale pisaniu oddał się w takim samym stopniu jak miłości. Uczył się pisania z uporem, desperacją, uczeplił się tego. Nie nauczył się pisać, ale udało mu się wydać kilka książek, dostał, zasłużył albo nie, kilka nagród. Nie przebił się do czołówki, był zbyt mało oryginalny i zbyt stary – żadne wydawnictwo nie chciało zainwestować w jego promocję. Jego pisanie było zbyt tradycyjne dla młodych, niezrozumiałe dla starych, nie umiał zdefiniować dla siebie odbiorcy. Mimo że potrafił zabiegać o różne sprawy, nie zdołał wejść do środowiska literackiego<sup>27</sup>, traktowano go tam z pogardą. Pewnie gdyby miał pieniądze, szacunek do niego byłby większy [MM, s. 231-232].

Z drugiej strony jednak słowa o wierności samemu sobie są wskazaniem na wartość, którą zazwyczaj cenimy.

Pisarz umieścił w tej powieści liczne odniesienia do własnego życiorysu i historii rodziny, zachęcając w ten sposób czytelnika do wzięcia udziału w autobiograficznej grze: zgadnij, kiedy piszę, a kiedy nie piszę o sobie. Osobiście mam wrażenie, że utwór przedstawia pewną, na szczęście niespełnioną wersję życiorysu, wg schematu: „kim w sumie byłbym, gdybym umarł wtedy i wtedy”, więc na przykład nie zdołałbym napisać swoich najważniejszych książek (w tym *Mojego męża frajera*).

\*\*\*

Tak spektakularny powrót do literatury nie miałby jednak większego sensu, gdyby miał tylko zaowocować osobistymi rozliczeniami, próbą podsumowania dotychczasowego życiowego doświadczenia, nie przynosząc zainteresowań i umiejętności nowych. Nie chodzi tylko o uważniejsze spojrzenie w przeszłość rodziny (choć

musiało mieć ono kluczowe znaczenie), chodzi także o postawienie pytań o determinowanie losu jednostki przez historyczne wydarzenia, o opanowanie sztuki badania i analizy tychże wydarzeń nie tylko na podstawie relacji, ale i dokumentów oraz innego materiału. Na podstawie relacji świadków spisuje historię współczesności poważny dziennikarz, a historyk musi umieć odnajdować, interpretować i wydawać dokumenty.

Pestka nauczył się takiego myślenia i pracy w zasadzie przez przypadek. Zainteresował go pewien opuszczony grób. Tak odpowiedział na moje pytanie o książkę *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* (Radom 2012), która na tle jego twórczości wydała mi się bardzo nietypowa:

Jeśli chodzi o ks. Gackiego, jego zaniedbaną mogiłę zaraz na początku mojego „pobytu” na wsi znalazłem na starym cmentarzu (przechodząc przez żeliwny płot :-)), który graniczy z moją posesją. I z tym naszym spotkaniem długo się nosiłem próbując się czegoś dowiedzieć od przedstawicieli lokalnej administracji i duchownych diecezjalnych – a ponieważ zbywano mnie jakimś ogólnikami, tym większą irytację i ciekawość budziła we mnie postać byłego proboszcza. Dlatego postanowiłem napisać rodzaj zarysu biograficznego skierowanego do młodzieży, żeby spopularyzować życie i zasługi księdza [K.].

W istocie powstała publikacja, zawierająca ok. 100 stron życiorysu nasyconego cytatami z dokumentów oraz wybór materiałów źródłowych, indeks nazwisk itd., pisana prostym językiem i mająca cechy popularnonaukowe, przynosząca informację o postaci zapomnianej, acz nietuzinkowej (zasłużony dla polskiej oświaty pijar, w okresie powstania listopadowego ważny działacz Towarzystwa Patriotycznego i kapelan w korpusie Dwernickiego, działacz patriotyczny w dobie powstania styczniowego, zwolennik „pracy u podstaw”, historyk regionu, długoletni proboszcz Jedlni), o człowieku, który nie poddawał się i – choć historia była przeciw niemu – z powodzeniem „robił swoje”.

Pisarz zapewne odczuł pewne analogie swojej i Gackiego drogi życiowej, dał swojej „małej ojczyźnie” patrona, a przede wszystkim zyskał umiejętności historyka, które wykorzystał w kolejnych reportażach i kolejnej powieści, którymi – jak uważał – spłacał „życiowe długi”.

\*\*\*

B bohater mojego szkicu tak wspomina genezę powieści *Powiedzcie swoim... (powieść polityczna)* (Kraków 2013), utworu który czytałem, nie ukrywam, z wielkim zainteresowaniem i estetycznym ukontentowaniem.

<sup>27</sup> Prawdziwy Wojciech Pestka w odróżnieniu od Adama niewątpliwie należy do środowiska literackiego – od 2007 roku jest członkiem Lubelskiego Oddziału SPP.

splacałem dług wobec swojego ojca, miasta, które nie potrafiło zmierzyć się z wydarzeniami 76: pacyfikacją protestów, prześladowaniami uczestników, wszechobecną traumą – naiwnie próbowałem zdjąć z miasta klątwę i pokazać, jak bardzo zmanipulowany był przekaz dotyczący robotniczych strajków. Dla mnie była to książka o nieuczciwości i uczciwości – cyniczny i pozbawiony emocji bohater ma bardzo wyraźnie określone zasady, szuka dla siebie godnego przeciwnika i okazuje szacunek jedynie tym, którzy potrafili mu się oprzeć [K.].

Na czym polegał „dług wobec ojca”? Rozumowanie Wojciecha Pestki wyobrażam sobie mniej więcej tak: ojciec, jak i większość Polaków w sprawie Radomia został oszukany<sup>28</sup>. Umarł jednak zbyt wcześnie, aby mieć szansę poznać prawdę – ja to uczynię zamiast niego... Natomiast to, co zostało wyżej powiedziane o Radomiu i naiwnej nadziei autora pozwala mi popuścić wodze fantazji. Jasne że radomianie po stłumieniu buntu musieli w swej części uwierzyć propagandzie (jak na swoje czasy była ona wystarczająco fachowa, a milicja i SB sprawnie fabrykowała dowody na jej prawdziwość), ale przecież już ponad dwadzieścia lat minęło od 1989 roku, więc prawda już dawno powinna do wszystkich dotrzeć. Tak się jednak nie stało, co więcej – wcale jej nie ustalono i dopiero teraz jest szansa na jej odkrycie. Dlaczego nie ustalono? – tu już całkowicie zdejmę wyobraźni wędzidło – może dlatego, że nikt jej nie poszukiwał, bo wygodniej było jeden przekaz propagandowy zastąpić drugim. Po zmianie ustroju radomianie, po czerwcu 1976 obwołani diabłami, stali się aniołami – a tu nadal *veritas est in puteo*.

Nie wiem, czy pisarz tak rozumował, ale naprawdę wiele zrobił, by ustalić prawdę obiektywną, wkładając w usta narratora czy różnych bohaterów i politologiczną analizę skutków reformy administracyjnej zwiększającej w Polsce ilość województw, i różne interpretacje samych zamieszek, kreśląc różne scenariusze tego, co zaszło czy też zająć mogło, przytaczając dokumenty archiwalne, lub świadectwa świadków – a z drugiej strony przykłady partyjnej propagandy szerzonej w mediach. Nie wiem, czy miał poczucie wygranej, ale na pewno na końcu

28 Powtórzę raz jeszcze już cytowane słowa, ale tym razem bez skrótów: „Ojciec był od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych członkiem PZPR, ale w piątek 25 czerwca na wieść o strajkach pojechał do Radomia, żeby przyłączyć się do robotników. Wrócił zdruzgotany, miał powiedzieć: to nie robotnicy, to kryminaliści, którzy palą i rabują sklepy. Z zachowanego stenogramu rozmów Mozgawy, komendanta wojewódzkiego MO, wynika, że kazał wystawiać ze sklepów monopolowych na chodniki skrzynki z wódką, więc nic dziwnego w tej obserwacji Ojca nie było. Inna sprawa, że od lat 70-tych bardzo krytycznie oceniał partię, ale ciągle miał nadzieję, że nastąpi jakieś oczyszczenie i sytuacja się zmieni” [K.].

z siebie zażartował. *Powiedzcie swoim...* z pewnością nie jest powieścią polityczną. Utwór w tym gatunku wzywa do zajęcia wyrazistego stanowiska, wręcz zmusza do posłuszeństwa jakiejś idei, agituje za nią – i jedynie mniej lub bardziej fortunnie to ukrywa. Powieść Pestki jest raczej „powieścią antypolityczną”, bo w sposób wyważony przedstawia rację różnych stron<sup>29</sup> i widzi w radomskim buncie wiele płaszczyzn<sup>30</sup>.

Podobnie i konstrukcja powieści jest wielopłaszczyznowa: natłok wypowiedzi, świadectw, informacji sprawia wrażenie chaosu – przypomina mi się termin „powieść-worek”, którym przed laty Włodzimierz Bolecki

29 Pisarz musi mieć wielką cywilną odwagę, skoro w dzisiejszych czasach zauważał coś pozytywnego nawet w ówczesnych działaniach SB: „O jakich zagrożeniach mówimy? Że spalą kilka samochodów, że zdemolują kilka sklepów? A niech im będzie, niech spalą, niech zdemolują. No, z tym paleniem komitetu to była oczywiście lekka przesada. Ale niech im i to. Człowieku, zaoarana ziemia, czy masz pojęcie, przecież w „Walterze” produkowano, no, kurwa, o czym mówimy, broń: pistolety maszynowe, automatyczne karabiny szturmowe typu Kałasznikow, pistolety P-64. Magazyny fabryki były pełne broni. Wyobrażasz sobie, co by się stało?! Kurwa, nawet nie chcę o tym myśleć! Krwawe jatki, mielone mięso na kotlety! To, właśnie to było prawdziwym zagrożeniem. Obie strony zdawały sobie sprawę, o co toczy się gra. I jak może się skończyć. Temu trzeba było zapobiec w pierwszym rzędzie. Więc kiedy tłum krzyczał: „Idziemy po broń!”, my odwracaliśmy uwagę, krzyczeliśmy ze wszystkich sił: „Idźmy na więzienie!”, „Rozbić więzienie!”, „Skopać dupę klawiszom!”. I, kurwa, się udało. – Wiadomo było, że ktoś wcześniej albo później nie wytrzyma, że jakiś desperat pociągnie innych na magazyny, chcąc albo nie chcąc, ktoś, może nawet ten wspomniany „element”, zdecyduje się jednak na ten krok. Żeby więc nie przeciągać struny, w godzinach popołudniowych skierowano do ochrony magazynów z bronią pododdział słuchaczy WSO. Około godziny osiemnastej zapadła decyzja o wywiezieniu broni i amunicji z „Waltera” [PESTKA 2013, s.233 – słowa Mistrza]. Należy zdać sobie sprawę z tego, że gdyby strajkujący opanowali fabryczne magazyny broni to i tak by przegrali, ale przy właściwym PRL-wi poziomie wojskowych umiejętności społeczeństwa – zabitych liczono by w tysiącach.

30 Na przykład pokazał i przejawy irracjonalnego, złowrogiego, buntowniczego karnawału: – Korrida, kolego, taniec z szablami. Nasze „suki”, przedpotopowe, dostawcze nyski, z korbą do ręcznego rozruchu zimą, kontra wózki akumulatorowe z Suchedniowa, główka o główkę, zakład o stówkę, stuk-puk, morda w mordę, pojedynki gladiatorów. Są w protokołach, na zdjęciach zrobionych z zakrytych punktów. Ikona Czerwca! – Oblęd zaczynał się o krok dalej. Na zdjęciach są ludzie przewiązani pętami kielbasy, z laurowymi wieńcami serdelków na głowie, obwieszani łańcuchami parówek, rozdeptujący butami obwarzanki z pasztetowej, jak gracze kopiący szynkę niczym piłkę do bramki. Sam wielki Salvador Dali by tego nie wymyślił, co można było zobaczyć po wejściu tłumy do Zakładów Mięśnych przy Wernera. Ludzie jakby oszaleli, ta odwaga uderzyła im do głowy, odreagowywali swoją krzywdę, swoje poniżenia na kielbasie. – Zrodzone z desperacji pogranicza surrealizmu. Ciemna strona wyobraźni wystawionej na przeciążenie. Weź pianino. Zobacz to tak: tło – płonąca budynek komitetu, kłęby czarnego dymu, wózek akumulatorowy przemierzający się ulicami poranionego miasta, na platformie wózka pianino, na stołku człowiek uderzający w klawisze i pijący szampana, lzy, wygrzający oczy gaz. – Co to jest? – Kurwa, płonąca żyrafa, totalny oblęd” [PESTKA 2013, s. 254 – słowa Mistrza]; „I poszliśmy w kierunku rzeźni. [...] Tam są szynki, te szynki idą do Ruskich. Wzięli łom i tą kłódkę oderwali, otworzyli, to ja zdążyłem wypalić papierosa jednego, magazyn pusty. Ludzie wynieśli normalnie, mówili: „To my głodujemy, a tu się trzyma w piwnicach”. [...] Tam to się naprawdę działa heca. Ja w życiu nie wiem, kto mi założył trzy kilo kielbasy serdelowej – o taki miałem wieńiec na głowie, serdelki takie malutkie. I z tym wyjechałem. Tam nikt nie miał prawa odmówić. No nie wiem, kto to zrobił, może ludzie znerwicowani, może ze złości, że tak się dzieje, tego, no, całe połówki świń to w rynsztokach pływały... Jedziemy, proszę pana, ludzie krzyczą, drą się: „Precz z komuną!”, ale, a tam... aj, no, to wszystko wrzało normalnie, tego, to wszystko zdenerwowane jakieś, jak dziki, a to są ludzie, to są robotnicy” [PESTKA 2013, s. 254-255 – relacja świadka].

określił np. powieści Witkacego<sup>31</sup>: styl wypowiedzi bohaterów nasuwa na myśl utwory ekspresjonistyczne, niektóre epizody (jak np. pobicie przyjeźdnego mężczyzny przez oficerski patrol) świadczą o dramatycznym talencie do tworzenia scen i o umiejętności mieszania kontrastowych estetycznych jakości (komizmu i grozy), a więc posługiwania się groteską; inne znowu – jak przygoda narratora z „gnomem gównojadem” są gotowymi nowelami. Wrażenia chaosu dopełniają miłosne wynurzenia z teczki „Różowe majteczki”. A nad wszystkim góruje diaboliczna postać Ferdynanda Świdra – zwanego „Mistrzo”, wysokiego oficera SB, ongiś biorącego czynny udział w tłumieniu radomskich protestów i w akcjach SB przeciw Kościołowi, znawcy mechanizmów państwa policyjnego i autorytarnego, a teraz, w czasach współczesnych (tj. mniej więcej po roku 2000) dożywającego swoich dni w szpitalu dla umyślowo chorych. Mistrzo zdaje się być kapłanem powieściowego chaosu. Dodać jeszcze należy, że jego monologi często przybierają formę tzw. „monologu wypowiedzianego”, a całość utworu – obszernego, artystycznego reportażu, bo – formalnie rzecz biorąc – jest to opowieść o zdobywaniu informacji o wydarzeniach w trakcie rozmów z ich uczestnikami, połączony z prezentacją dokumentarnego materiału, uzyskanego w trakcie kwerendy w IPN i gdzie indziej.

Chaos ten jest jednak pozorny, bo ujęty jest w karby powieści sensacyjnej, fabuła ujęta jest w schemat gry, którą toczy prowadzący śledztwo (narrator poszukujący prawdy o radomskich zamieszkach) i przesłuchiwany (Mistrzo). Przesłuchiwany umiejętnie kusi i zniechęca „śledczego” i rychło zyskuje przewagę. W zakończeniu okazuje się, że narrator w ogóle nie zdawał sobie sprawy, z jakimi siłami zadarł i jakiemu celowi służą spotkania. W rezultacie albo ułatwił Mistrzowi samobójstwo (co jest bardziej prawdopodobne), albo pomógł go zabić.

Warto przy okazji dodać, że Pestka w ogóle ma talent do budowania suspensów. Widać to w niektórych opowiadaniach, widać w *Moim mężu frajerze*, gdzie poznajemy fakty wedle zasady odwróconej chronologii, jak w kryminale: o napadzie na Adama i utracie przez niego pamięci dowiadujemy się pod koniec utworu, a trzeba pamiętać, że właśnie ten fakt stał się przyczyną działań Wiktorii, a jej działania z kolei uruchomiły starania przebywających w Niebie dziadków itd<sup>32</sup>.

\*\*\*

31 Zob. rozdział „Powieść werek (Miciński, Jaworski, Witkacy)”, w: Włodzimirz Bolecki: Poetycki model prozy w dwudziestolecu międzywojennym, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław 1982.

32 Podobnie w kryminale. Relacjonowanie śledztwa i ciągu wydarzeń nim spowodowanych kończy się na wyjaśnieniu okoliczności zabójstwa, a więc na opisie sytuacji, która w czasie chronologicznym spowodowała późniejsze śledztwo.

Największym jednak novum i największym osiągnięciem „powracającego z niebytu” pisarza okazały się jego reportaże, które zebrał w trzy tomy wydane między 2009 a 2020 rokiem (od mniej więcej 2005 liczne z nich ukazywały się też w prasie).

Mysłowy proces, który zrodził Pestkę – reportera uruchomiła śmierć Teścia pisarza – Mikołaja Szegdy – pierwszego sierpnia 1998 roku. Pisarz wspominał:

Nasze odkładane na później rozmowy o obozie, Workucie, Wschodzie, nagle zawisły w próżni. Pojechałem na Ukrainę spłacić dług, dałem się zaskoczyć, to byli zupełnie inni od moich wyobrażeń ludzie: Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Rosjanie, powstała książka reportażu *Do zobaczenia w piekle*. Miałem wrażenie, że moi rozmówcy całe życie czekali na mnie (to nie pycha mówi przeze mnie) i potrzebowali tej rozmowy ze mną, żeby wyrzucić z siebie ból i oczyścić pamięć, zamknąć swoje życie z czystą kartą [Pestka, Kłymentko 2013].

Jak się zdaje, tym razem „spłata długu” miała polegać przede wszystkim na przywróceniu pamięci wojennych i powojennych losów, a także na próbie zrozumienia sensu tego, co działo się z Polakami (i nie tylko z Polakami) na Wschodzie – zapewne sensu nie tyle ideologicznego, co moralnego; polegać więc na próbie skonstruowania swego rodzaju teodycei, na zrozumieniu, co pomogło im przeżyć i czy istnieje jakaś racja uzasadniająca ich cierpienie<sup>33</sup>. Tak przynajmniej rozumiem pierwszą i dwie ostatnie zwrotki wiersza „*Na tym zdjęciu...*” z niewydanego tomu *Ruchome obrazy...*:

Nic nie jest czytelne w wymowie i jednoznaczne  
Namiot nieokreślonego miejsca  
Naczynie, z którego wyciekł czas  
W rybim oku soczewki  
Tylko mgła historii, pleśń niepamięci  
Falowanie obrazu, jakie przynosi oddalenie  
[...]

W twarzach zamiast oczu  
Gęstniejące w powadze czarne plamy oślepionego  
atramentu

33 W jednym z wywiadów, na pytanie dziennikarza o genezę *Do zobaczenia w piekle* Pestka odpowiedział tak: „To naturalna, zwykła potrzeba spłacenia długu wobec pokolenia skazanego na piekło wojny i zapomnienia. Realia polityczne w powojennej Europie, zwłaszcza na Wschodzie sprawiły, że starano się ich losy albo zaanektować na potrzeby ideologii, albo o nich zapomnieć, zakłamać ich, obrzucić błotem. Wywierano na nich ogromną presję zmuszając do odstąpienia od wyznawanych wartości i zasad, wiary, języka, które kształtowały ich świat, zsyłano do obozów, rozstrzeliwano, torturowano, manipulowano ich świadomością, zmuszano do walki między sobą. Nie chciałem nikogo sądzić, nie wiem, jak każdy z nas reagowałby w tamtych warunkach poddany podobnym przeciężeniom” [Pestka, Kłymentko 2013].

Syberia wypolerowana do kości i nieczuła oglądana pod lupą

Obozowa kompozycja na pięć postaci i młodą parę Szukającą ocalenia w miłości

W zbliżeniu, jakie daje tamta szklana wypukłość

Nie wiadomo, która strona

Odwrotna

Która

Należy do zbawionych [Pestka 2017b, s. 25]

Pisarz po śmierci Teścia zdał sobie sprawę, że już nikt mu tych spraw nie wyjaśni, że musi dowiedzieć się samemu, jak było – szukając odpowiedzi zaczął jeździć na Ukrainę i przez lata kontynuował te podróże.

Efektom były trzy zbiory artystycznych reportaży o powtarzającym się podtytuł *Kresowa Apokalipsa: Reportaże i perory* lub *Kresowa Apokalipsa: Reportaże: Do zobaczenia w piekle. Kresowa Apokalipsa* (2009, II wyd. 2019), *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (2019)<sup>37</sup>, *Diabelska maszyna do szycia* (2020). Owa powtarzalność podtytułu uprawnia, jak sądzę, do traktowania tych tomów jako jednej całości liczącej 55 reportaży zajmujących z górą 950 stron druku, których wspólnym mianownikiem jest zainteresowanie wydarzeniami ważnymi dla krajów za naszą wschodnią granicą: Ukrainy, Litwy, Łotwy, Białorusi, Rosji oraz tym, co w połowie XX wieku Polacy przeżywali na Kresach.

Aby spróbować dokonać charakterystyki tego imponującego wielkością reportażowego dzieła, powstałego na przestrzeni co najmniej 15 lat, spróbuję pokazać jego rozwój, powiększanie się, sięgając do twardych danych:

Pierwsza książka o Kresowej Apokalipsie zawiera 15 reportaży – rozmów z bohaterami wspominającymi własne życie lub życie znaczących dla kresowych okolic postaci. Te postacie to: Bruno Schulz, Stanisław Vincenz, Stefan Weigl<sup>34</sup>. Współrozmówców będących głównymi bohaterami reportaży jest piętnastu: sześciu Polaków i Polek, którzy zaznali przesiedleń, deportacji, syberyjskich łagrów (w tym dwoje szczególnie prześladowanych przez UPA), jeden Polak z Rygi – radziecki dziennikarz i dysydent, kolejny Polak – współczesny działacz Związku Polaków na Białorusi. W sumie ośmiu Polaków: sześciu ze starszego, wojennego pokolenia, a dwóch nieco młodszych. Mamy następnie trzy Ukrainki więzione za czasów radzieckich za niepodległościową działalność na rzecz Ukrainy<sup>35</sup>, dwóch współczesnych białoruskich pisarzy – opozycyjnych wobec Alaksandra Łukaszenki

34 Twórca szczepionki na tyfus, produkował ją w okupowanym Lwowie.

35 W tym Daria Husiak, łączniczka jednego z przywódców OUN odpowiedzialnych za Rzeź Wołyńską – Romana Szuchewicza.

i Knutsa Skujenieksa – znanego poetę łotewskiego przez prawie dekadę od początku lat sześćdziesiątych XX wieku więzionego w łagrach. Pod względem geograficznym rozmowy dotyczą Drohobycza (2 rozmowy), Borysławia, Huculszczyzny, Buczacza, okolic Tarnopola, Lwowa (2...), Kamieńca, Łucka, Mińska (3...), Chatynia pod Mińskiem, Rygi (2...), przewijają się tematy: Uzbekistanu, Kołomy, Workuty, Mordowii. Jak widać, Pestka przebywał przede wszystkim na Ukrainie, Białorusi, Łotwie (+ wypad do Rosji), interesował się zwłaszcza wojennymi i powojennymi życiorysami kresowych Polaków, ale także losami Ukraińców i bieżącą sytuacją na Białorusi.

Sięgnął także po tematy będące w Polsce nieomal tabu, pokazując, że UPA i OUN z ukraińskiego punktu widzenia były organizacjami patriotycznymi. Nic więc dziwnego, że nie tylko w Polsce znaleźli się niechętni krytycy<sup>36</sup>, ale także na Ukrainie. Przy okazji pisarz uświadomił im te fakty, o których albo wiedzieli mało, albo – w swej większości – nic. To znaczy, że Polacy w czasie wojny nie kolaborowali z Niemcami<sup>37</sup>, lecz w dużej swej części byli – tak samo jak i Ukraińcy – ofiarami Rosjan, którzy w czasie i w wyniku wojny zajęli ziemie i polskie, i ukraińskie zarazem.

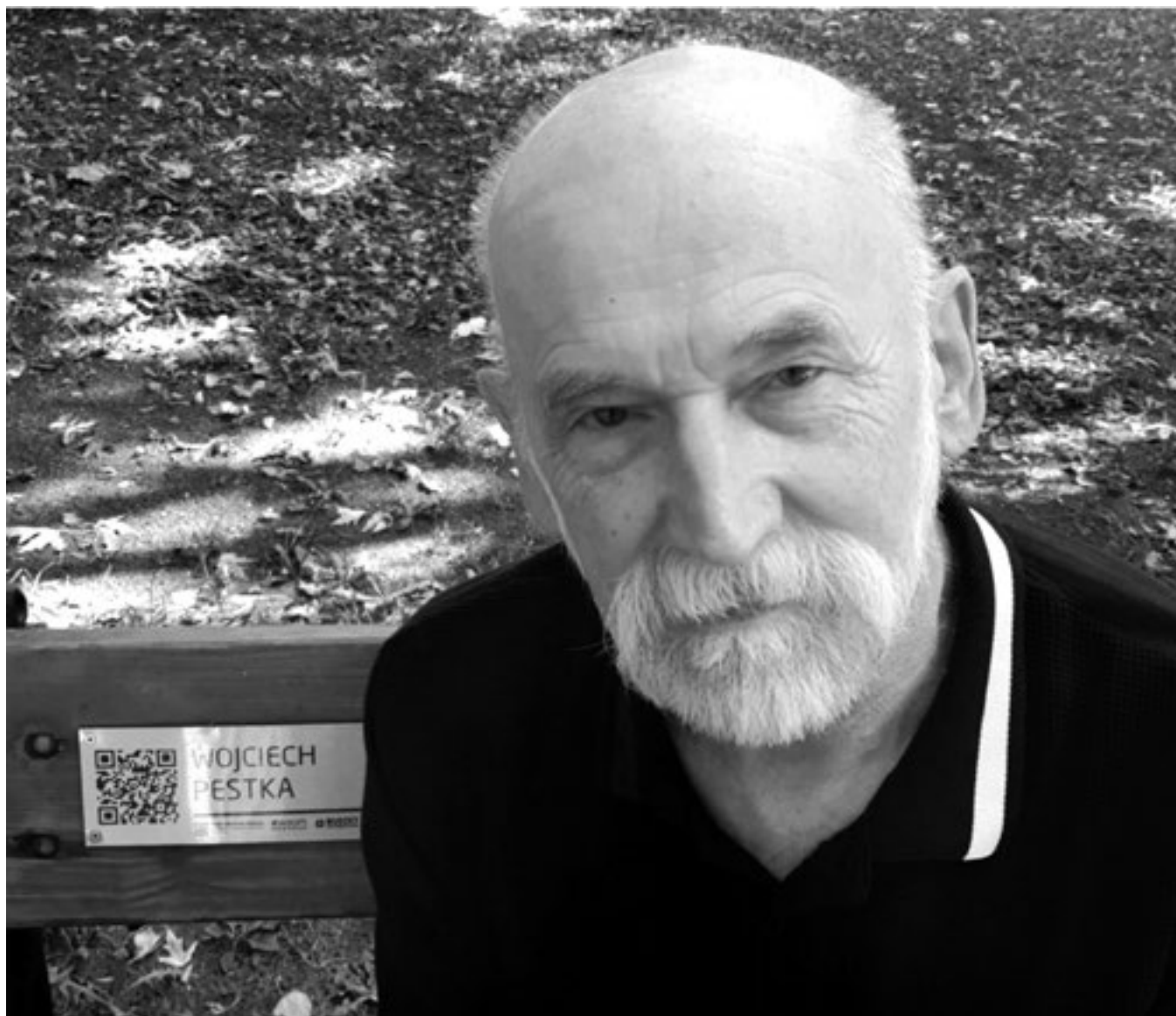
Kolejny tom, *Gdyby Polacy nie byli Polakami* ma wszelkie cechy „dalszego ciągu”, ale i wskazuje, że zainteresowania pisarza i jego poznawcza strategia – zmieniały się. W przeciwieństwie do poprzedniego<sup>38</sup>, ma więc charakter bardziej zróżnicowany. Cztery reportaże są niejako uzupełnieniami<sup>39</sup> do poprzedniego zbioru. Mamy też ogólniejszy szkic o Czesławie Miłoszu, analogiczny do szkicu

36 Pisarz tak się o nich wypowiedział: „Wiem, że reakcja na książkę w Polsce nie była jednoznaczna... Nie miałem zamiaru napisania książki, która by była „za czymś albo przeciw komuś”, chciałem zachować się uczciwie wobec moich rozmówców, a także wobec siebie. Nie miałem zamiaru dostarczać argumentów politykom albo innego rodzaju ugrupowaniom społecznym czy wyznaniowym, wpisywać się w ideologiczne manipulacje. Nie potępiałem, nie oskarżałem, nie przyznawałem racji. To wywołało krytykę, zarzuty, nawet agresję w mediach reprezentujących różne środowiska. Udało mi się sprowokować zgodne sądy zwalczających się na co dzień ugrupowań z lewej i z prawej strony sceny politycznej. Wręcz powiem, że nie byłem w stanie ogarnąć tego procesu, przeczytać wszystkich recenzji, wysłuchać wszystkich audycji, uczestniczyć we wszystkich dyskusjach, jakie wywołała książka. Wciąż uważam, że ostateczny sąd nad historią, którą przywołuję, należy nie do mnie, a do czytelnika, to on powinien to uczynić w zgodzie ze swoim sumieniem i swoją wiedzą.” [Pestka, Kłymenko 2013]

37 Tak wojenne losy Polaków na ogół pokazywały radzieckie (rosyjskie i białoruskie) filmy [por. Kajtoch 2015]. Na uwagę zasługują także rozważania na temat możliwych propagandowych manipulacji radzieckich opartych na podobieństwie nazw Katyn i Chatyn (nazwy brzmią tak samo, ale chodzi o dwie różne miejscowości). Prowadząca jest także historia Drażna – białoruskiej wsi, którą białoruscy „policajcy” obronili przed komunistyczną partyzantką.

38 Większości tekstów z *Do zobaczenia w piekle...* przynosiła wspomnienia m.in. radzieckich zsyłek, represji, więzień.

39 „But nawet w Paryżu pozostanie butem” to relacja z drugiego spotkania z Knutem Skujenieksiem, „Która strona odwrotna (tropem niedopowiedzianego reportażu)” to druga rozmowa z Magdaleną Szegdą o Workucie, „Widziałem wszystko” i „Ostatni krąg piekła, Stalag 307...” uzupełniają wizerunek wojennych koszmarów o opis niemieckiego obozu dla radzieckich jeńców, urządzanego w Dęblinie. Z kolei „Wiara, nadzieja, Miłosz?” to kolejna z sylwetek



Na swojej ławeczce literackiej w Radomiu (2022)

o Vincenzie oraz klasyczny w formie reportaży o podróży do Rapperswilu i zwiedzaniu tam, wspomnienia polskich pamiątek. Natomiast pozostałych 13 szkiców przynosi tematyczne i formalne nowości. Tematyczne generalnie w tym się zawierają, że Pestka rozmawia tu zasadniczo z ludźmi swojego pokolenia, opisuje wydarzenia aktualne, z lat nieco tylko poprzedzających wydanie książki. W tych 13 tekstach rozmówcami lub narratorami są: 1 Łotysz, 2 Polaków (rozmowy dotyczą łotewskiej Polonii), 2 Białorusinów, 2 Rosjan, 5 Ukraińców i jedna ich grupa. Jak na dłoni widać, na którym kraju pisarz zaczyna się koncentrować.

Największą jednak nowością był podział na „reportaże i perory”. Pestka tak go komentuje:

.....  
wielkich polskich pisarzy związanych z Kresami (zbudowana na tle relacji z uczestnictwa w festiwalu poetyckim w Wilnie w 2011 roku).

„to wynik eksperymentowania z „cudzym głosem”, poszukiwania formy łączącej w pewien specyficzny sposób wywiad i reportaż, ale eliminującej autora: podnoszący wiarygodność i ekspresję monolog. Raz czy dwa (w ramach rozpoznania przedpola bojem) pozwoliłem sobie na stworzenie perory z mojej relacji z przebiegu wydarzeń do której włączyłem wypowiedzi rozmówcy („But nawet w Paryżu pozostanie butem”). W „Tygodniku Powszechnym” ta forma wzbudziła zastrzeżenia i opatrzone perorę „Wojna – to MY” komentarzem<sup>40</sup>: „Gdyby

.....  
<sup>40</sup> Pisarz tę uwagę przyjął i w książce przedrukował, ale jednak ostatecznie zaliczył „Wojnę – to MY” do reportaży, i ma rację. Świadczy o tym następujący fragment tekstu, jedyny, w którym autor ujawnia okoliczności powstania reportażu (tekst jest relacją z odwiedzin reportera u pisarza i rozmowy między nimi, a więc spełnia kryteria reportażu, choć z drugiej strony to, co mówił reporter usunięto i inne odniesienia do sytuacji są nieobecne – pozostawiono przy głosie tylko bohatera reportażu, co czyni z niego „perorę”): „Byłem dumny, że doczekałem wojny. – Poruszając dłońmi zaciśniętymi na obręczach kół, Wasyl

Wasył Słapczuk – ukraiński poeta i prozaik – miał opowiedzieć o sobie, a także o wydarzeniach sprzed ponad 30 lat, które znacząco wpłynęły na jego dalsze życie, autorski monolog mógłby wyglądać właśnie tak” [K.].

Z mojego punktu widzenia sprawa wygląda tak: czym jest reportaż wiadomo (czytelnik może to sobie sprawdzić w licznych encyklopediach, słownikach, Wikipedii itd.). Natomiast Pestkowa perora jest dobrze osadzonym w realiach apokryfem, stworzonym z autentycznych wypowiedzi, które padły podczas rozmowy bohaterów z autorem tekstu. Przybiera formę jednolitego monologu, niekiedy zbliżającego się do tzw. monologu wypowiedzianego<sup>41</sup>, a innym razem przypominającego bardziej mowę (stąd nazwa perora). To forma jednak artystyczna, choć dokumentarna, przypominająca trochę tzw. biografię upowieściowaną<sup>42</sup>, a więc jeden z rodzajów powieści biograficznej.

Między reportażem a „perorą” jest też ta różnica, że reportaże najczęściej opowiadają o zwykłych postaciach, jak np. uczestnicy ukraińsko-rosyjskich starć w Donbasie, a perory wypowiadają członkowie dzisiejszych elit. W omawianym tu tomie są to: Andris Vilks, dyrektor Biblioteki Narodowej w Rydze, Andrij Pawłyszyn – ukraiński dziennikarz, tłumacz, poeta; Jurij Andruchowicz – ukraiński pisarz, Aleksandr – metropolita Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego, znany postmodernistyczny pisarz rosyjski Wiktor

.....  
wprawia swój wózek inwalidzki w rytmiczny ruch w lewo i prawo przypominający dyskotekowy taniec. – Całe moje pokolenie wyrosło w cieniu weteranów wojny ojczyźnianej [...]. Uginających się pod ciężarem medali. Heroiczna śmierć za ojczyznę była marzeniem każdego chłopaka” [Pestka 2019a, s. 114].

41 „Monolog wypowiedziany (fr. monologue enonce) — forma narracji występująca w prozie współczesnej, po raz pierwszy użyta przez F. Dostojewskiego w pierwszej części *Notatek z podziemia* (1864), rozwinięta przez A. Camusa w powieści *Upadek* (1956), częsta w lit. polskiej po r. 1956 (m.in. utwory J. Iwaszkiewicza, A. Słonimskiego, K. Brandysa). W monologu wypowiedzianym narracja kształtowana jest na wzór wypowiedzi ustnej, dużą rolę grają w niej więc takie czynniki, jak zwroty do rozmówcy, gesty foniczne, powtórzenia i inne, mające naśladować nieład potocznego opowiadania. Monolog wypowiedziany nawiązuje tak do gawędy i skazu, jak do tradycji retorycznych. Ma on zazwyczaj charakter spowiedzi, jest rozrachunkiem ze światem, polemiką z systemem przyjętych wartości” [mg 2000, s. 323].

42 Maria Jasińska pisze: „Gatunek następny — biografia upowieściowana — to *Dzieci słońca* A. Maurois (o Shelleyu), Parandowskiego *Król życia*, Dobraczyńskiego *Listy Nikodema*, książki Świdorskiej, Pauszer-Klonowskiej, Warnerńskiej. Stara się on godzić możliwie daleko posuniętą wierność wobec źródeł, również w odniesieniu do szczegółów, z techniką kompozycji i narracji wyraźnie już powieściową. Chwiejna równowaga zespolenia się tych często walczących ze sobą dwu tendencji — jako przejaw swoistej proporcji w koegzystencji funkcji informacyjnej i przedstawiającej znajduje swoje odzwierciedlenie w nazwie biografii upowieściowanej” [Jasińska 1967, s. 15]. Pisanie w tym gatunku w swojej skrajnej postaci polega na składaniu tekstu powieści z urywków wspomnień czy listów bohatera biografii. Wojciech Pestka z autentycznych, zapisanych przez siebie wypowiedzi (niewykluczone, że czasem uzupełnianych o fragmenty wypowiedzi opublikowanych?) tworzy długie monologi, których jednak nigdy realnie nie wypowiedziano. To czyni z niego, kiedy pisze perory twórcę literackiej fikcji — pisarza, a nie reportera. Inna rzecz, że takie „fikcje z ułamków autentyku” tworzyli Wańkowicz, Kapuściński i wielu pomniejszych.

Jerofiejew, równie znany rosyjski filozof — Władimir Kantor, Władimir Niaklajew — znaczący białoruski opozycjonista, Andrej Chadanowicz — prezes białoruskiego PEN-klubu. Mają oni sporo do powiedzenia na temat sytuacji politycznej, literatury i kultury swoich krajów, umieją postawić tezy i uogólnić wnioski, pouczyć. Stąd nazwa perora poniekąd staje się określeniem wiarygodnym, aczkolwiek pisarz używa tego słowa nawiązując raczej do dawnej tradycji retorycznej<sup>43</sup>, niż do znaczeń słowa perora wyszczególnianych w słownikach języka polskiego.

Generalnie, lektura *Gdyby Polacy...* przynosi wrażenie, że pomiędzy 2009 a 2018 rokiem Wojciech Pestka nieco zmodyfikował sposób i kąt patrzenia na naszych wschodnich sąsiadów (z martyrologicznego na aktualny), dostrzegł w tych krajach to, co współcześnie ważne i interesujące, zobaczył w nich byty samoistne, z własną historią i problemami, a na Ukrainie zyskał nawet znaczącą pozycję literacką (jak wskazuje bibliografia, po wydaniu *Do zobaczenia w piekle...*, zaczął być tam tłumaczony i wydawany) i towarzyską — wszak spotykał się i rozmawiał z nie byle kim.

Trzeci tom reportaży, to już praktycznie skoncentrowana na jednym temacie<sup>44</sup> opowieść o najnowszych dziejach Ukrainy — bieżącej sytuacji politycznej<sup>45</sup> i jej genezie<sup>46</sup>,

.....  
43 Łacińskie peroratio znaczyło tyle, co zakończenie, lub epilog. Mirosław Korolko tak rzecz definiuje: „Zakończenie, gr. epilogos, łac. peroratio. Jest to ostatnia część wypowiedzi, zawierająca treściową i emocjonalną rekapitulację mowy. Teoretycy retoryki przykładali do stosownej konstrukcji zakończenia bodaj największe znaczenie, ponieważ decyduje ono o ostatecznym celu przekonywania i umiejętnościach mówcy. Według Arystotelesa każdy epilog winien zawierać następujące części: życzliwe nastroszenie słuchacza, powiększenie lub pomniejszenie głównej myśli dyskursu, wywołanie odpowiedniego do treści wzruszenia odbiorcy oraz odświeżenie i uwydatnienie głównych argumentów perswazji”. [Korolko 1990, s. 95]. To były ważne fragmenty: zwracały uwagę na to, co było w mowie najważniejsze, dobitne wyciągały wnioski i wskazywały na ich znaczenie — np. moralne czy poznawcze. Pisarzowi chyba o to chodziło, bo przecież nie byłoby sensu zapisywać wypowiedzi nudnych, banalnych, konwencjonalnych. Natomiast właśnie taka, nudna, banalna, konwencjonalna jest perora dla współczesnego użytkownika polszczyzny. *Słownik Wyrazów Obcych* PWN jako znaczenie aktualne podaje: ‘rozwekłe, nudne, upominanie, pouczanie, reprimenda, a jako przestarzałe (aczkolwiek jeszcze spotykane): ‘uroczysta przemowa, oracja’ [Sobol 2002].

44 Gwoli dokładności: tom zawiera także dwie sylwetki znanych, a związanych z Rosją, Ukrainą i Kresami Polaków: Józefa Łobodowskiego (1909–1988) — poety, pisarza i publicysty, zwolennika pojednania polsko-ukraińskiego; Wilhelma Kotarbińskiego (1848–1921) — malarza, Polaka mieszkającego w Rosji, ale i związanego z Ukrainą, a także reportaży relacjonujący rozmowę z wnukiem Tadeusza Kotarbińskiego o historii rodziny i dziadka — filozofa oraz reportaży z pobytu w Armenii.

45 Skupiają się na niej: „Cerkiew bez Putina” — popularno-naukowy szkic tłumaczący współczesne problemy ukraińskiego prawosławia, napisany w 2019 roku; w tymże roku napisana perora Wasilija Słapczuka z 2019 r — m.in. o sytuacji po wyborze Wołodymira Zełenskiego na prezydenta Ukrainy; relacja z cyklu przeprowadzanych w różnych latach rozmów z byłą aktywistką Majdanu (2014–2017), Olhą Sało — później działaczką młodzieżową.

46 Wcześniejszą, bardziej oddaloną, dalszą genezę opisuje perora Serhija Borszczewskiego, przedstawiciela starszego pokolenia, dziennikarza, poety, tłumacza Mroźka; zastępcy prezesa Związku Pisarzy Ukraińskich; byłego ukraińskiego dyplomaty na Kubie, a bliższą — „Petro Samozwaniec” — rozmowa z byłym uczestnikiem Majdanu, dowódcą straży pilnującej przed grabieżą opuszczoną



Prof. Wojciech Kajtoch i Wojciech Pestka (Kraków 2021)

o kwestiach literatury, o krymskim konflikcie z Rosją<sup>47</sup> i o wojnie z donieckimi separatystami.

Temu ostatniemu tematowi poświęconych jest osiem tekstów składających się na w miarę całościową panoramę donieckiego konfliktu. Aby ją zestawić, Pestka dotarł do niebanalnych postaci Ukraińców zaangażowanych w konflikt, np. do kijowskiego multimilionera i posła, który nie ograniczył się do finansowania ukraińskich, ochotniczych oddziałów, ale i sam pojechał na front, do pracownika naukowego, który najpierw działał w Samoobronie Majdanu, a teraz jest dowódcą kompanii w batalionie Ajdar, do snajpera z tego batalionu, do skrajnie prawicowego polityka, ukraińskiego patrioty walczącego z Rosją od lat dziewięćdziesiątych w różnych konfliktach i oczywiście w Doniecku. Dążąc do obrazu obiektywnego rozmawiał także z Ukraińcami uchylającymi się od służby w ukraińskiej armii i bardziej pechowymi żołnierzami,

np. z tymi, którzy przeszli niewolę u separatystów. Ich relacje pokazują „wstydlivą stronę” zwłaszcza początków konfliktu, kiedy to ukraińska armia regularna okazała się całkowicie do niego nieprzygotowana.

Dopełniają obraz rozmowy z cywilami: prorektorem ukraińskiej uczelni ewakuowanej z opanowanego przez separatystów Ługańska oraz z mieszkańcem strefy granicznej, którego rodzinę rozdzieliła wojna, żyjącym między żołnierzami ukraińskimi a separatystami, pół-rosjaninem, pół-ukraińcem, chcącym jakoś przebiedować na swojej przeciwziemi.

Oczywiście że obiektywnie i w całej swej różnorodności przedstawiona jest tylko strona ukraińska, aby uzskać wizję konfliktu w pełni obiektywną należałoby oddać też głos separatystom, trudno jednak wymagać od pisarza podjęcia ryzyka kontaktu z nimi, bo – jak się zdaje – są trochę nieobliczalni. Czym mogą się skończyć próby dotarcia do nich pokazuje reportaż pod znamienym tytułem *Wojna nie zna się na żartach* – o tym, jak młody ukraiński dziennikarz postanowił zrobić reportaż wcielony, więc „zaciągnął się na ochotnika do donieckich

.....  
rezydencji Wiktora Janukowicza. Rozmowa ta jest dobrą okazją do charakterystyki obalonego w 2014 roku prezydenta i jego polityki.

47 Reportaż o rozmowach z Andrijem Szczekunem i Petro Wolwaczem przynosi informacje o powojennej historii Krymu i o przebiegu jego aneksji przez Rosję, widzianego oczami proukraińskich, krymskich działaczy. Natomiast bohaterem „Na froncie (dez)informacji” jest Oleksander Galin, oficer prasowy polsko-litewsko-ukraińskiej brygady stacjonującej w Polsce, który dzieli się wiedzą o rosyjskiej, antyukraińskiej propagandzie i jej mechanizmach.



separów<sup>48</sup> [Pestka 2020, s. 7] i jakie żałosne dla niego skutki miała ta decyzja.

\*\*\*

Zasada pełnego obiektywizmu w sferze ujęcia tematu nie mogła być utrzymana – mam na myśli nie tylko *Diabelską maszynę do szycia*, ale i omawiane pierwsze dwa tomy reportaży, bo autor z oczywistych względów nie miał szans rozmowy np. z tymi, którzy kierowali wojennymi represjami wobec polskiej ludności Kresów a także wykonawcami ich rozkazów – w większości nie żyli, a ci jeszcze żyjący nie chcieliby się ujawniać. Natomiast zasady obiektywizmu swojej relacji ze spotkania czy rozmowy Wojciech Pestka przestrzegał konsekwentnie we wszystkich tomach. Oddawał głos współrozmówcom, samemu najwyżej zarysowując sytuację rozmowy, dobierając relacje innych osób, czy cytując jakiś dokument.

Publicystyczny komentarz praktycznie się nie zdarza – a jeśli trzeba jakoś powiadomić o osobistych wrażeniach, to reporter zdobywa się na jakieś pośrednie wskazanie na swoje odczucia, czy „komentowanie” opowiedzianego poprzez ogólne stwierdzenia albo metaforyczne obrazy. Na przykład:

– „odsłuchuję relację z dyktafonu i myślę, że historia jest pozbawiona litości, dobro i zło dla niej jednakowo waży, nie czyni różnicy, miele na proch bogobojnych i zachowujących przykazania boskie, tak samo jak i występnych: każdy może trafić w jej tryby” [Pestka 2020, s. 249],

– „Przepisuję z wydawanej w rosyjskim języku codziennej łotewskiej gazety („Sowietskaja Wenta”, poniedziałek 23 lutego 1981 roku, cena 2 kopiejki, wychodzi od 29 czerwca 1940 roku) znalezionej w kącie gościnnego pokoju na czwartym piętrze tego upiornego blokowiska wiersz z tytułowej strony: Partii zadanie – / Naród / Do zwycięstwa prowadzić, / Ogień, zapalony przez Lenina, / Z pokolenia na pokolenie, / Jak sztafeta nieść. [...]. Uczucie, jakbym dotknął rozkładającego się trupa.” [Pestka 2019b, s. 13],

– „Dwa dni wcześniej byłem w Chatyniu. W nocy spadł śnieg. Zimą śnieg nie budzi zdziwienia. Teraz powoli topniał: biały, niezdeptany całun jeszcze okrywał śródleśną polanę. Nadawał temu miejscu dostojność i powagę, sprowadzał postrzeżenie do kadru z dokumentalnego filmu. Pomiędzy biel i czerń, radość narodzin i ciemną rozpacz śmierci – jakby nie było pośrednich odcieni, innych uczuć. Jedyne takie ostateczne rozstrzygnięcia.” [Pestka 2019a, s. 24]<sup>49</sup>.

48 Czyli separatystów, niezłuczliwie określanych tym zgrubieniem.

49 Mogą to być też uwagi autotematyczne: „Jechałem, żeby zebrać materiał do reportażu z Wołynia. Tekst zamierzałem napisać językiem urzędowym

Bywa, że lakoniczne i dramatyczne podsumowanie własnego losu pada z ust rozmówcy: „Co mam robić? Żyję sama, daleko od ludzi. Żyję”. [Pestka 2019a, s. 197], albo: ”Więc żyjemy, jak kto może, i tak o nas napisz, bez szans na ucieczkę i lepszy świat – ścisnął mi mocno dłoń – powoli przywykamy do okopów, do żołnierzy, do strzałów. Gdyby nie to wszystko, ten bałagan, pewnie byśmy się nie poznali, trzeba znajdować dobre strony nawet w takiej – uśmiechnął się przekornie – sytuacji, napisz więc, że żyjemy tu... bez gwarancji na życie” [Pestka 2020, s. 284].

\*\*\*

Wojciech Pestka nie zakończył swojej twórczej drogi, a zatem i ten szkic musi pozostać nieskończony. To, co można powiedzieć o perspektywach jego twórczości ogranicza się jedynie do półintuicyjnego stwierdzenia, że chyba przyszedł czas na powrót do zainteresowań dramatem. Nic w tym dziwnego, bo doskonalący sztukę zapisu monologów-peror reportażysta w 2020 roku zdecydował się taką „perorę” wymyślić, więc stworzyć monodram całkowicie fikcyjny, dający nie tylko opis myślenia postaci, ale i budujący pewien zarys fabuły.

Chodzi mi o *Syrop z kocimiętki* (zasłony i żywioly: monodram) z 2020 roku. Autor tak go streścił: jest to „historia starego krawca szyjącego sutanny, który z nostalgią wspomina czasy świetności sprzed transformacji ustrojowej. Jego postać przypomina mojego teścia. Zepchnięty na margines, cynicznie wykorzystany przez funkcjonariuszy SB, porzucony przez klientów, którym oddał całe swoje życie, szuka sprawiedliwości. Wierne pozostają jedynie manekiny, wokół nich buduje swój świat biorąc przykład od Stworzyciela, którego uważa za praojca krawiectwa” [K]. Trzeba jednak dodać, że jest to także historia zemsty tego krawca na funkcjonariuszu SB, który przed laty zniszczył mu życie wciągając do współpracy, a teraz zmienił front.

Kolejnym krokiem było współautorstwo scenariusza fabularnego filmu *Klecha* w reżyserii Jacka Gwizdały, opartego na motywach<sup>50</sup> *Powiedzcie swoim...*, gdzie grają

.....  
dokumentów – zwięzłe, sucho, ograniczając się do potwierdzonych dat, faktów, cytatów rozmów i dokumentów. Zapis historii człowieka jest zawsze swego rodzaju nadinterpretacją jego losów, a ja chciałem uniknąć tych dwuznaczności, ograniczyć emocje do minimum. Pojechać tam, napić się wódki i porozmawiać (w tej kolejności, bo inaczej nie ma rozmowy), zrobić zdjęcia, odwiedzić cmentarz, zapukać do najbliższego archiwum... Później sięść przy biurku, rozwiązać teckę z kserokopiami, wystukać na klawiaturze: urodzona w Czeknie 27 kwietnia 1925 roku córka Eufrozyny i Macieja Szlichtów. Łatwe, proste”. [Pestka 2019b, s. 315].

50 Streszczenie autora: „Tematem filmu fabularnego *Klecha* są: wywołane zapowiedzią podwyżek cen żywności radomskie protesty czerwca '76 roku i zakończona śmiercią, walka ks. Romana w obronie godności strajkujących robotników. W tej walce istotną rolę odgrywa utworzona 19 listopada 1973 roku przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kowalczyka działająca ponad prawem grupa „D” do walki z Kościołem. Pobicia, uprowadzenia, szantaże,

znani aktorzy: Mirosław Baka – występuje w roli księdza Romana; Piotr Fronczewski – to „Mistrzo”, Artur Żmijewski gra Stefana – sekretarza PZPR, a Danuta Stenka – jego partnerkę.

Dokąd ta odnoga twórczej ścieżki doprowadzi Wojciecha Pestkę – jeszcze zobaczymy.

Kraków. 30.08.2021

### Literatura cytowana:

- Chudziński E. (2011), *Wprowadzenie*, w: tegoż (red.), *Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje*, Kraków, s. 7–9.
- Czaplinski P., Leciński M., Szybowski E., Warkocki B. (2003): *Kalendarium życia literackiego 1976–2000. Wydarzenia – dyskusje – bilanse*, Kraków, Wydawnictwo Literackie.
- Fik M. (1989), *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944–1981*, Polonia Book Found, London.
- Głębińska E. (2000), *Leksykon. Grupy literackie w Polsce 1945–1989*. Wydanie II poszerzone, Wiedza Powszechna, Warszawa.
- Jasińska M. (1967), *Typologia zbeletryzowanej biografii*, „Roczniki Humanistyczne”, t. XV, z. 1, s. 5–17.
- Kajtoch W. (2011), *O sztuce poetyckiej rozmowy, w tegoż: O prozie i poezji. Wybór szkiców i esejów z lat 1980–2010*, Wydawnictwo Literackie „Li-Twa”, Częstochowa, s. 427–431.
- Kajtoch W. (2015), *Odkrycie wroga. O niektórych współczesnych „polskich” fabularnych filmach i serialach rosyjskich oraz białoruskich, poświęconych II wojnie światowej*, w tegoż: „Szkice polonistyczno-rusycystyczne”, Centrum Badań Europy Wschodniej

napady rabunkowe, podpalenia, prowokacje, narkotyki i fałszerstwa dokumentów to standardowe metody pracy funkcjonariuszy oddziału, którym dowodzi Mistrzo. Jego ofiarą staje się ks. Roman, domagający się w kazaniach szacunku dla człowieka i jego pracy, powstrzymania sprawców brutalnych pacyfikacji protestów i represji wobec robotników. 25 czerwca 1976 ze schodów kościoła Świętej Trójcy błogosławi strajkujących, a niespełna dwa miesiące później, wielokrotnie pobity przez „nieznanych sprawców” – funkcjonariuszy, którymi dowodzi Mistrzo, umiera w szpitalu w niewyjaśnionych okolicznościach. W filmie współczesność przeplata się z wątkami retrospektywnymi. Do szpitala psychiatrycznego na prowincji, w którym na specjalnych prawach rezyduje Mistrzo, przybywa Postulator zbierający materiały do procesu beatyfikacyjnego ks. Romana. Rozmowa, przybierająca momentami formę filozoficznej dysputy o człowieku i jego kondycji, metodach manipulacji, roli religii i Kościoła, odbywa się w specjalnie zaaranżowanym na potrzeby Mistrza, zapewniającym mu pełny komfort szpitalnym oddziale. W jej trakcie pojawiają się wątki z przeszłości związane z metodami pracy funkcjonariuszy grupy „D” przeciw pielgrzymom, inwigilacją ks. Romana, próbami uwikłania go w romans, zmuszenia szantażem i biciem do współpracy. W poczuciu bezkarności Mistrzo w rozmowie z Postulatorem pozwala sobie na szczerość, nadaje jej charakter spowiedzi, ale milczeniem odpowiada na propozycję zeznań przed komisją kościelną. Filmowa narracja nawiązuje do biblijnej przypowieści o walce Dawida z Goliatem. Ks. Roman, pozbawiony wsparcia ze strony duchowieństwa, które w jego działaniach widzi nie wierność misji Kościoła, ale zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa, skazany na przegraną, samotnie staje do walki z niesprawiedliwością, pogardą dla człowieka, brutalnością władzy. Osiąga więcej niż mógłby się spodziewać – szacunek i podziw ze strony swego przeciwnika, pozbawionego skrupułów i cynicznie manipulującego ludźmi Mistrza. Tytułem filmu stał się kryptonim akt operacyjnych komórki „D” Służby Bezpieczeństwa PRL-u. Pierwowzorem postaci kapłana jest autentyczna postać księdza Romana Kotlarza z podradomskiego Pelagowa” [K.].

Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Olsztyn, s. 109–136.

- Korolko M. (1990), *Sztuka retoryki. Przewodnik encyklopedyczny*, Wiedza Powszechna, Warszawa.
- mg (2000), w: Głowiński, M., Kostkiewiczowa T., Okopień-Sławińska A., Sławiński J., *Słownik terminów literackich pod redakcją J. Sławińskiego*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław – Warszawa – Kraków, s. 323.
- Pestka W. (2009), *Ballada o żyletce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa.
- Pestka W. (2013), *Powiedzcie swoim... (powieść polityczna)*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2017a), *Mój mąż frajer*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2017b), *Histeria*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2019a), *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa. Reportaże*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2019b), *Gdyby Polacy nie byli Polakami. Kresowa apokalipsa. Reportaże i perory*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2020), *Diabelska maszyna do szycia. Kresowa apokalipsa. Reportaże i perory*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W., Kłymentko O. (2013), *Письменник існує у невеликому просторі своєї мови... [Pisarz istnieje w małej przestrzeni swojego języka]* – rozmawiał Oł. Kłymentko, „Zołota Pektoral” 2013, nr 3 (24); <https://supraphon.livejournal.com/23988.html>, dostęp: 07.09.2021.
- Pestka W., Szegda D. (2017), *Nie bać się życia* (z Wojciechem Pestką – pisarzem, tłumaczem, dziennikarzem rozmawia Danuta Szegda 18.09.2017); [https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad\\_z\\_wojciechem\\_pestka\\_nie\\_bac\\_sie.html](https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad_z_wojciechem_pestka_nie_bac_sie.html), dostęp: 07.09.2021.
- Ruchałowski A. (2011), *Kalendarium kultury studenckiej 1950–1989*, w: Chudziński E. (red.), *Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje*, Fundacja STU, Kraków, s. 374–423.
- Sobol E. (2002) (red.), *Słownik wyrazów obcych PWN*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Waśkiewicz Andrzej K. (1979), *Sposób bycia. O grupach poetyckich młodych*, w: Koperski-Leszyn J., Waśkiewicz Andrzej K. (red.), *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze \* manifesty \* samookreślenia*, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa, s. 5–16.
- Waśkiewicz Andrzej K. (1987), *Notatki o światopoglądzie*, w: Chrzanowski M., Jerzyna Z., Koperski J. (red.), *Poeta jest jak dziecko. Nowe Roczniki, antologia*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, s. 385–403.

# Moje początki z Wojtkiem Pestką

LOS ZETKNAŁ MNIE Z WOJTKIEM PESTKĄ w drugiej połowie lat 70. ubiegłego stulecia. I choć w sposób naturalny mogłaby nas połączyć matematyka – on od roku był asystentem w Instytucie Matematyki WSP (dziś UJD) w Częstochowie, a ja studentem pierwszego roku matematyki w tej samej uczelni, to jednak połączył nas teatr! Dwóch młodych asystentów wydziału Matematyczno-Przyrodniczego WSP w Częstochowie – Wojtek Pestka oraz chemik Jacek Koziół (późniejszy profesor w tej dziedzinie) postanowili założyć teatr studencki i ogłosili do niego nabór. Teatr nazywał się „Teatr, który wciąż tylko kłamie”, a jego adeptami stali się głównie studenci różnych roczników matematyki, fizyki i chemii. Pierwszym (i jedynym) spektaklem była adaptacja prozy Brunona Schulza zatytułowanej *Ptaki*. Próby teatru i jego pierwsze przedstawienia odbywały się w Klubie Studenckim „Tunel” przy ul. Zawadzkiego (dziś Armii Krajowej). Zaś klub mieścił się w piwnicach Domu Studenckiego „Desygnat”, w którym wbrew nazwie mieszkali chyba wyłącznie asystenci i inni pracownicy uczelni. Obaj asystenci-mentorzy nie bardzo się zgadzali co do koncepcji teatru, ponieważ Wojtek zmierzał w kierunku Grotowskiego, a doświadczenie studenckie Jacka Koziółka związane było z teatrem STU w Krakowie. Kłótni nie było, ale trzaskanie drzwiami – i owszem. Teatr przetrwał niecałe dwa lata, zdążył pokazać się na krajowym przeglądzie teatrów studenckich w Kielcach (bodajże w 1977 r.), po czym, jak to bywa z teatrami amatorskimi, rozpadł się, a niedługo potem, zaliczywszy jeszcze kierowanie klubem studenckim „Tunel” (o czym za chwilę) Wojtek zrezygnował z pracy na uczelni (dobrowolnie czy z przymusu – tego nie wiem) i wyjechał do Jedlni Kościelnej, na ojcowiznę. Mieszkał tam, aż do śmierci.

Zainteresowanie teatrem, jak wszystko u Wojtka, miało rys twórczy. Reżyserowanie owszem pociągało go, ale tylko jako realizacja nowoczesnych technik aktorskich – Stanisławski, Grotowski. Jednak bardziej napędzało go pisanie dla teatru (a później filmu). Adaptacja prozy Schulza, która nosiła tytuł *Ptaki* zawierała duże fragmenty napisane przez Wojtka, a właściwie to fragmenty



Wrocław 1972. Czas studenckie

prozy Schulza były wmontowane w oryginalny tekst Pestki. Poetycki charakter sztuki nie wróżył ówczesnie sukcesów, to był czas teatrów zaangażowanych, politycznych, kontestacyjnych. Wtedy rozbłysła gwiazda „Biura podróży”, a mianem kultowego określano „Teatr ósmego dnia” Na przeglądzie krajowym w Kielcach (jako ciekawostka – szefem przeglądu był Waldemar Dąbrowski, późniejszy minister i dyrektor Teatru Wielkiego) sztuka →

została brutalnie schlastana przez Lecha Racza, który za jedną z największych jej wad uznał paralelę z Dylanem Thomasem. Pod koniec lat 70. Wojtek napisał kilkuaktową sztukę teatralną, która jak sądzę zaginęła, jej tytuł brzmiał (o ile dobrze pamiętam) *Apokalipsa wg Antoniego Rojka*, byłem jednym z nielicznych jej czytelników. Do twórczości teatralnej powrócił pod sam koniec życia znakomitym monodramem *Syrop z kocimiętki*. Co ciekawe powracając również do rekwizytów z „Ptaków” – manekinów.

Wojtek bardzo interesował się teatrem, przyjaźnił się z wrocławskimi aktorami, tymi od Grotowskiego, jak i ze Współczesnego, fascynowała go *Apocalipsis cum figuris*, a jednak w najlepszych swoich latach nie zajął się twórczością sceniczną, sądząc po *Syropie z kocimiętki* ze szkodą dla sceny teatralnej. W ramach teatralnej integracji odbyliśmy podróż pociągiem do Wrocławia, by spotkać się z przyjacielem Wojtka – aktorem Teatru Współczesnego Zbigniewem Górskim oraz uczestniczyć w próbie spektaklu w reżyserii Zbigniewa Cynkutisa *Matka Courage* Bertolda Brechta. Wszystko się udało, pozostały po wyprawie fotografie, ze wspomnień ogromne zmęczenie podróży i wielkie przeżycia w wielkim mieście.

To pierwsze doświadczenie teatralne bardzo szybko przerodziło się w doświadczenie poetyckie. Wojtek był erudytą, smakoszem poezji. Dla mnie – ówczesnie nawet nie dwudziestolatka, otwierały się regiony poezji zupełnie nie znane: Herbert, Grochowiak, Śliwiak i Śliwnik, Tadeusz Nowak, a z poezji obcej przede wszystkim Elliot, ale przecież też Edgar Lee Masters. Otwierały się, bo w studenckim klubie „Tunel” Wojtek organizował czytania poezji, czasem jako „zaduszki poetyckie”, a czasem po prostu czytania. Gdy w pewnym momencie został kierownikiem klubu ujawniły się jego niezwykle zdolności organizacyjne. To już nie były tylko zaduszki poetyckie, ale pełnowymiarowy festiwal poetycki zwany Konfrontacjami Poetyckimi (chyba pod patronatem Władysława Sebyły), z udziałem wybitnych poetów (pamiętam Lecha Śliwonika) z poważnym jury (pod kierownictwem Mieczysława Orskiego), z pełną salą, gorącą atmosferą, koncertami jazzowymi (Janusz Muniak)

Bo światem najbliższym, a i najintymniejszym była dla Pestki poezja. Twierdzę, że w tym świecie Wojtek Pestka czuł się najlepiej, choć bardzo się starał, by poetą zaledwie bywać, bo bycie mogłoby zniszczyć tę delikatną powłokę odświętności, intymności, szczerości, którą żywi się prawdziwa poezja.

Pierwszy arkusz poetycki (bo trudno go nazwać tomem) *Zwykła rozmowa* wydany został jeszcze za

„częstochowskich” czasów, w 1978 roku, zaraz za nią poszedł poemat *Miasto* ilustrowany fotografiami Wojciecha Prażmowskiego i bardzo mocno inspirowany ulubionym poematem Wojtka – *Ziemią jałową* T.S. Elliota. To była zapowiedź, która dała znać o sobie – Mieczysław Orski, krytyk już wówczas prominentny zwrócił uwagę na pozycję Pestki, co zresztą ułatwiło Wojtkowi odnowienie znajomości z redaktorem naczelnym „Odry” po latach i w innych okolicznościach.

Intensywność ówczesnego życia nieustannie łączyła się z jego absurdami. Jako teatr jeździliśmy nie tylko do Kielc, ale i do słowackiej (wtedy czechosłowackiej) Trnawy, ale te wyjazdy finansował SZSP, którego szef (chyba w ramach rewanżu) swoje wesele zorganizował w klubie „Tunel”. Występowaliśmy w klubach studenckich, a Wojtek swoje wspomniane wyżej tomiki wydawał jako druki ulotne, bo tylko wtedy nie kładła na nich łapy cenzura (przekonałem się o tym w 1978 r., gdy swoją sztukę zachciało mi się wystawić w częstochowskim Teatrze im. Adama Mickiewicza).

Wojtek był mistrzem organizacji. Co potwierdziło się wiele lat później. Miał dojsca, organizował, zdobywał fundusze i nieustannie konfabulował w szczególnie sposób – otóż nigdy nie zmyślał na swój temat, natomiast na temat innych – jak najbardziej, ale zawsze wyolbrzymiając ich znaczenie, możliwości, zasoby, nigdy nie ściągając nikogo w dół. Trudno się było zorientować, czy wuj wiceminister istniał, czy nie (z tego co wiem, istniał) i jakie miał wpływy, ale to imponowało sekretarzom, rektorom, działaczom. Pomagała też niezwykle empatia Wojtka i zdolność zjednywania sobie ludzi.

Mało kto wie, że Wojtek był bardzo uzdolnionym matematykiem, na progu doktoratu u gwiazdy radzieckiej probabilistyki – Borysa Gniedenki. Mógł zostać profesorem i wieść zupełnie odmienne życie, na przeszkodzie stanęły nie jego zainteresowania poetyckie, ale proza życia – żona Wojtka, Danusia, nie dostała etatu na uczelni (pamiętajmy, że była dzieckiem wywiezionych przez Stalina na Syberię), a Wojtek zaczął dostawać „propozycje nie do odrzucenia” połączone z perspektywą dużego mieszkania w krótkim czasie i stabilizacji na warunkach władzy. Odmówił.

Pamiętam ten czas, kiedy już zdecydował o wyjeździe. Spotykaliśmy się w jego pokoju w akademiku „Skrzat”, a na stoliku leżała gruba książka, spojrzalem na tytuł *Zaorany ugór* Szołochowa. Tak Wojtek przygotowywał się mentalnie do swojej nowej profesji – rolnika na ojcowiznie, traktorzysty, budowniczego domu i sadzącego drzewo, bo dzieci już miał. A potem ten skrawek ziemi wywyższył do niewyobrażalnych rozmiarów. Ale to już historia na inną opowieść. ■

KRZYSZTOF  
RUDY  
SAWICKI

## Do zobaczenia, Wojtku

I ZNÓW KTOŚ ODSZEDŁ I KTOŚ POPROSIŁ O NAPISANIE wspomnienia: „Jeździliście sporo po Ukrainie. Napisz coś o Nim” – to Zbyszek Fronczek. Tak, wiem, że coś tam napisać to ja mogę, tylko że to są zazwyczaj już takie rozbudowane nekrologi, w których nie wszystko można wyznaczyć, nie wszystko pamiętam, a przecież nie mogę Wojtka już o nic zapytać.

Zacznę więc tak po prostu: Wojtek Pestka był dobrym, wesołym i jednocześnie skromnym człowiekiem, dobrym pisarzem i poetą; bardzo Go lubiłem i bardzo mi Go brakuje; zapisał sobą mocną kartę w mojej ukraińskiej przygodzie.

Poznaliśmy się na samym początku XXI wieku, kiedy rozpoczynałem pierwszy etap pracy w Ukrainie. Było to chyba w czasie lwowskich targów książki, pierwszych, w których uczestniczyłem i w czasie których poznałem mnóstwo ludzi, tak wielu, że o niektórych trochę zapomniałem. Wojtek należał do tych, z którymi jakby znajomość wyciszyła się, by po latach powrócić z impetem. Ale to już na Wołyniu, w Łucku.

Tomek Janik, ówczesny konsul generalny w Łucku jeszcze przed moim przyjazdem do pracy w konsulacie, wspominał mi o książce Wojtka *Do zobaczenia w piekle*<sup>1</sup>, że warto byłoby – z inicjatywy naszego konsulatu – przetłumaczyć na ukraiński i wydać pod patronatem KG RP w Łucku, bo książka pod każdym względem na to zasługuje. A zasługuje rzeczywiście z jednego zasadniczego względu – co po kilku latach potwierdzili sami Ukraińcy: W opisach tragicznych historii z rzezi wołyńskiej nie ma nienawiści.

\*\*\*

Z wniosku o nadanie Wojciechowi Pestce odznaki honorowej „Zasłużony dla Kultury Polskiej”:

<sup>1</sup> Wojciech Pestka, *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa*, Warszawa, 2009.

Войцех Пестка, *До побачення в пеклі*, пер. з польськ. Андрій Павлишин, Львів, Астролябія, 2012.

„[...] Wojciech Pestka – poeta, prozaik, tłumacz, należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, działacz społeczny i animator kultury.

Obok wielu publikacji w Polsce, w tym powieści oraz zbiorów poezji i esejów, jego utwory wydawane są na Ukrainie. W 2008 roku ukazała się w Wydawnictwie „Kamieniar” we Lwowie dwujęzyczna książka poetycka *Spacer po linii – Мандрівка линвою* (wspólnie z ukraińską poetką Anną Bagrianą). Nominację do Nagrody im. J. Mackiewicza i Nagrodę Marszałka Województwa Mazowieckiego w 2010 roku przyniósł autorowi zbiór reportaży z Kresów *Do zobaczenia w piekle* (Warszawa 2009). Wybrane reportaże zostały przetłumaczone i opublikowane w języku niemieckim, łotewskim, białoruskim i słowackim, całość zaś w 2012 roku staraniem KG RP w Łucku i Instytutu Książki ukazała w wydawnictwie „Астролябія” („Astrolabija”) we Lwowie w języku ukraińskim pod tytułem *До побачення в пеклі* w tłumaczeniu Andrija Pawłyszyna. Na Ukrainie książka została uhonorowana prestiżowymi nagrodami literackimi – im. Hryhorija Skoworody (2012) i im. Mikołaja Gogola (2013), a w Polsce w 2013 roku nagrodą literacką im. Bolesława Prusa.

Na uwagę zasługuje wielkie zaangażowanie W. Pestki, wraz z tłumaczem – A. Pawłyszynem, w dwóch cyklach prezentacji na Ukrainie (2012 i 2013) książki *Do zobaczenia w piekle*, zawierającej m.in. trudne wspomnienia z czasów pogromów Polaków na Ukrainie; prezentacja ta zdecydowanie pozytywnie wpłynęła na większe zwrócenie odbiorców ukraińskich na prawdziwy polski punkt widzenia rzezi wołyńskiej. Oba cykle prezentacji stanowiły jeden z najważniejszych elementów obchodów 70. rocznicy rzezi wołyńskiej.

W. Pestka zdobył także uznanie jako tłumacz poezji i prozy z języka rosyjskiego, białoruskiego, ukraińskiego – w postaci odrębnych wydawnictw ukazały się między innymi książki: Anny Bagrianej *Wyśnij mnie* (Częstochowa 2008), Pawła Szczyrycia *Uobecnienie legendy – Напомнення легенди* (Kijów 2010, Ukraina), Wasyla

Słapczuka *Kobieta ze śniegu* (wspólnie z Iwoną Wasilewską, Lublin 2012).

W. Pestka jest społecznikiem, inicjatorem wielu zjawisk o charakterze kulturotwórczym, promujących kulturę pogranicza, polską literaturę, spuściznę kulturalną i dziedzictwo historyczne. Od 2005 roku jest współorganizatorem naukowych i literackich transgranicznych sesji „Nasi Sąsiedzi”. Wielokrotnie reprezentował polskie środowiska literackie podczas Kongresów Literackich i Translatorskich: m.in. na Ukrainie był gościem honorowym Międzynarodowego Kongresu Literatów „Słowo bez Granic” w Kijowie (lata 2006, 2007) „Targów Książki Wielkiego Wołynia” (lata 2007 do 2012), Ogólnoukraińskiego Festiwalu Poezji „Źródła” w Połtawie (2008), Targów „Arsenał” w Kijowie 2012, Forum Wydawców we Lwowie (2012), Festiwalu Bruno Schulza (2012). Był organizatorem i gościem wielu międzynarodowych projektów wspierających międzynarodową wymianę kulturalną, uczestnikiem ponad 200 spotkań autorskich na Łotwie, Litwie, Białorusi, Ukrainie, Słowacji, Armenii. [...]”

Tyle dokumentu, który powstał 26 sierpnia 2013 roku, a sporządziłem go osobiście co – nie ukrywam – sprawiło mi wielką przyjemność i satysfakcję. Zdaję sobie sprawę z tego, że dokument ten nie zawiera pełnej informacji o twórczości i niezwyklej aktywności społecznej Wojtka, co – jestem przekonany – uzupełnią jego przyjaciele z lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Ja natomiast nie mogłem nie przywołać tego dokumentu prawie w całości, co zapewne wybaczone mi będzie, ponieważ starałem się dziesięć lat temu, jak tylko mogłem, żeby nie wypadł nudno i sztywno jak większość dokumentów wysyłanych z konsulatu.

\*\*\*

Powróćmy do wspomnień – obiecuję, że nie będzie więcej żadnych dokumentów, nawet tych związanych z nagrodami, które środowiska literatów ukraińskich przyznały Wojtkowi, a było ich trochę.

Sugestia konsula generalnego o przetłumaczeniu i wydaniu *Do zobaczenia...* w Ukrainie była dla mnie rozkazem miłym, do realizacji którego przystąpiłem zaraz po przybyciu do Łucka. Lecz pojawiły się nieprzewidziane kłopoty... Być może dlatego, że nie znałem zbyt wielu osób na Wołyniu; niestety, nie znałem wtedy jeszcze Wasyla Słapczuka, z którym zapoznał mnie Wojtek trochę później. A problem zaskoczył mnie niebywale – dwa razy podchodziłem, ale wołyńscy tłumacze jakoś nie chcieli brać w tym udziału. Jak zwykle z pomocą przyszedł ktoś ze Lwowa...

W przypadku Andrija Pawłyszyna – tłumacza współczesnej literatury polskiej, m.in. Herberta, Schulza, pisarza i literaturoznawcy, wykładowcy lwowskiego Uniwersytetu Katolickiego, publicysty elitarnego czasopisma „Ji”, aktywnego działacza społecznego i politycznego, wystarczył jeden telefon. Być może w Galicji złe duchy inaczej szaleją. Do zanego Andrija jeszcze powrócę... Z pomocą przyszli także starzy znajomi z Polski: Grzegorz Gauden – ówczesny szef Instytutu Książki, i Andrzej Peciak, obaj jeszcze z podziemia.

Tak czy inaczej powstała fajna książka, z fajnym pretekstem i z bardzo dobrym przyjęciem – co najważniejsze – wśród odbiorcy ukraińskiego. Kolejny etap – prezentacja. Do cyklu spotkań prezentujących *До побачення в некли* starałem się przygotować jak najlepiej. Wiele osób miało okazję zapoznać się, jeszcze przed spotkaniami, z oryginałem i z tłumaczeniem, które rozsyłałem w wersji elektronicznej. Bardzo mi zależało, abyśmy podróżowali we trzech, tzn. autor, tłumacz i moja skromna osoba..., co w przypadku tych dwóch pierwszych nie było takie oczywiste. Jesienią 2012 roku zaczęliśmy – prezentacje w łuckim okręgu konsularnym poprzedził cykl spotkań autora z czytelnikami w czasie V Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu i we Lwowie, następnie w Kijowie, a potem w elitarniej Akademii Ostrogskiej, w bibliotece obwodowej w Równem i bibliotece Uniwersytetu Wołyńskiego w Łucku.

Postanowiliśmy w konsulacie włączyć prezentację książki – jako ważny element – do obchodów 70 rocznicy rzezi wołyńskiej w 2013 roku; oczywiście za zgodą i udziałem zarówno autora, jak i tłumacza. Tak się stało w Łucku, ale i w mniejszych ośrodkach. – w Maniewiczach, w Sarnach i w Nowowołyńsku.

Pamiętam, jak Wojtek cieszył się ze spotkania w Muzeum Krajoznawczym w Maniewiczach, w którym wystąpił na tle świetnych plakatów polskich z podziemia lat 80. (wystawa „przekA-Z – sztuka znaku”). Później żartował z tego, że miasteczko znane głównie z wielkiej zony – więzienia dla ciężkich przestępców, ugościło nas tak serdecznie w towarzystwie owych plakatów, na których elementów więziennych nie brakowało.

Z kolei w Nowowołyńsku (to takie komunistyczne blokowisko wybudowane w latach 50. w zagłębiu węglowym) jeszcze przed rozpoczęciem spotkania w jednej ze szkół wokół nas kręciło się kilku młodych dżentelmenów wygolonych na łyso. Istni kibole, będą jaja – Andrij i Wojtek moją uwagę przyjęli z ostrożnym uśmiechem, ale bez obaw, bo zakładałem, że się jakoś wybronimy; i się nie pomyliłem. Już w zasadzie pod koniec spotkania najwyższy z tej ekipy, przypominającej, naszych rodzimych kiboli, troszkę się krygując, zaczął przemawiać:

Że my, Polacy, tu oto w ukraińskiej szkole prezentujemy taką książkę. I czy on – potomek Łemków, wypędzonych z Polski, gdyby napisał o tym książkę, to czy mógłby w Polsce, w szkołach robić jej prezentację? Wojtek już chciał coś powiedzieć, ale Andrij go wyprzedził: „Proszę pana, ja jestem właśnie potomkiem Łemków wywiezionych przez komunistów z Polski po wojnie... I powiem panu tyle, że gdyby pan napisał dobrą książkę, to oczywiście pomógłbym panu w zaprezentowaniu jej w Polsce”. Śmiech na sali i skulony młodzieniec – tak zakończył ten pojedynek.

Był to jednak zupełnie odosobniony przypadek takiej radykalnej reakcji... A szkoda, bo kiedy podsumowaliśmy nasze wspólne wyjazdy z Wojtkiem i Andrijem, jednogłośnie zgodziliśmy się, że było... trochę nudno. Bo wszyscy się zgodzali, bo mówili nawet – o czym już wspominałem – że w tej opowieści nie ma nienawiści...

We wszystkich spotkaniach wzięło udział łącznie ok. 500 osób – m.in. pisarze, wykładowcy, studenci, dziennikarze. Spotkania nasze przebiegały w niezwykle interesującej atmosferze – zebrani aktywnie uczestniczyli w dyskusji, która czasem zamieniała się w otwarty spór, choć – o czym już wcześniej wspominałem – odczuwałem ze strony ukraińskich uczestników coś w rodzaju wdzięczności, a kilkukrotnie ktoś powiedział: „W tej książce nie ma nienawiści”. To że trwały burzliwe spory, nie było ani dla mnie, ani dla Wojtka i Andrija szczególnym zaskoczeniem. Wszakże chodzi o tragedię wołyńską, o straszliwe wydarzenia z czasów II wojny światowej, co – jak wszyscy wiemy – do dziś stanowi przedmiot poważnych sporów...

Z Wojtkiem, z Andrijem i z uczestnikami spotkań przegadaliśmy na ten temat wiele godzin. Wielu też Ukraińców ten zbiór reportaży o ludziach, którzy przeżyli – jak mówił sam Wojtek – piekło za życia, nie postrzegało wyłącznie w kategoriach subiektywnej relacji autora, interpretacji Polaka, potrafili bowiem docenić dystans autora do opisywanych historii.

\*\*\*

Wojtek był niezwykle skromnym człowiekiem, matematykiem na dodatek. Zapamiętam go zawsze, jak we wcześniej opisanej scenerii solidarnościowych plakatów w prowincjonalnym muzeum, szczupłego i niewiele mówiącego człowieka.

Albo uśmiechniętego i spełnionego – kiedy miałem zaszczyt gościć go wraz z żoną Danusią w łuckim mieszkaniu przy okazji przyznania medalu Zasłużony dla Kultury Polskiej i prezentacji książki m.in. w Akademii Ostrogskiej w 2013 roku.

I szczęśliwego w czasie spotkania w łuckim uniwersytecie wśród pełnej sali studentów i wykładowców, tuż po otrzymaniu nagrody im. Hryhorija Skoworody, wiecznego tułacza i filozofa, postaci zagadkowej, ale i bliskiej Wojtkowi.

A że nie prowadziłem w tamtych latach rzetelnego notatnika (a szkoda!), to zmuszony jestem posiłkować się „Monitorem Wołyńskim” (13.11.2012), skąd zaczerpnąłem kilka cytatów – wypowiedzi Wojtka, niejako podsumowujących prawie wszystko, co nieudolnie usiłowałem tu opowiedzieć:

„[...] dalej mówiono już o książce, która, jak się okazało – wywołała w ojczyźnie Pestki wiele dyskusji.[...].

– Nie pisałem książki, by wywołać spory, chciałem jedynie spłacić dług moralny wobec tych ludzi [...].

– Oni wszyscy przeszli przez piekło [...]. Wszyscy bohaterzy przegrywają, bo w wojnie, na której zginęło tylu ludzi, nie ma zwycięzców.

*Do zobaczenia w piekle* to mała część wspomnień, zgromadzonych przez autora podczas rozmów z ofiarami prześladowań. Dlatego też, możliwe, że po opracowaniu reszty zgromadzonego materiału, pojawi się jeszcze jedno wydanie, ujawnił Wojciech Pestka.

Na zakończenie autor podkreślił, że spodziewał się gorącej dyskusji, jednak jako matematyk z wykształcenia jest dosyć skromny i nie lubi nazbyt dużego zainteresowania jego osobą:

– Nie lubię wywoływać skandali i być modnym pisarzem. Dlatego teraz zastanawiam się, co mam dalej robić”.

Tyle „Monitor Wołyński”... A dziś? Aż trudno uwierzyć. Dziś rozmawiałem z Andrijem Pawłyszynem, który przykłada się do tłumaczenia dalszego ciągu Wojciechowej opowieści, tylko że wszyscy jego znajomi wydawcy są bardzo zajęci – walczą na froncie.

\*\*\*

Jeden z moich znajomych poetów ukraińskich, kiedy dowiedział się o odejściu Wojtka, zamyślony spytał: To kto teraz napisze nową książkę *Do zobaczenia w niebie*? Niech to otwarte pytanie i rozmowa o nieskończonej opowieści o wojnie nieco usprawiedliwi moje skoncentrowanie się w moich wspomnieniach o Wojtku tylko na jednym literackim epizodzie w jego twórczości. To tylko wrywyki. ■

Warszawa, 15 lipca 2023 roku

BOŻENA  
GORSKA

# Wszystko zostało zatrzymane

WOJCIECHA PESTKĘ POZNAŁAM 21 MAJA 2009 ROKU w Warszawie na spotkaniu autorskim promującym Jego książkę *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa*. Książkę natychmiast docenioną, czego wyrazem była nominacja do nagrody im. Józefa Mackiewicza za rok 2010. Zbiór reportaży, który zapoczątkował kresową trylogię. Tom drugi *Gdyby Polacy nie byli Polakami* ukazał się w roku 2019, a trzeci *Diabelska maszyna do szycia* – w 2020. Dzieło to wybitne, oparte na autentycznych wywiadach i rozmowach z jego bohaterami. Bowiem oprócz talentu literackiego miał Wojciech Pestka jeszcze jeden dar niezbędny dla reportażysty: chciał i umiał słuchać swoich rozmówców. Bez podziału wedle hierarchii – zarówno tych uznanych, sławnych, jak i zwyczajnych prostych ludzi.

Po tym warszawskim spotkaniu moją świeżo zawartą znajomość z Państwem Danutą i Wojciechem Pestkami utrwaliła Jedlnia. Wszak wiadomo: *Wer den Dichter will verstehen/ Muss in Dichters Lande gehen*. Czy ta prywatna ojczyzna pisarza odegrała rolę w rozwoju Jego talentów?

Trafiło mi się uczestnictwo w dwóch festynach odbywających się w tym szczególnym miejscu, które na pewno ma swój genius loci. Od wieków, bowiem wieś została uhonorowana przez samego króla Władysława Jagiełłę, który lubił polować w puszczy Kozienickiej i tu, na jej skraju, urządzać zapusty. W darze dla mieszkańców wsi uwolnił ich od wszelkich ciężarów, w tym pańszczyzny, a pozostawił tylko obowiązek dani miodowej, bowiem była to kraina bartników. Dań miodowa przynosiła nieliczne zyski – Wojciech Pestka badał dokumenty, wedle których w końcu XVI wieku Jedlnia dostarczała starostwu radomskiemu więcej dochodów tylko z barci niż miasto targowe Radom z handlu. Była więc Jedlnia wsią królewską. Jak wielkie znaczenie wychowawcze dla społeczności jedlneńskiej miało zniesienie pańszczyzny pokazały wieki późniejsze. Wyrosły pokolenia świadomych swojej wartości wolnych chłopów, producentów żywności, pełnych godności gospodarzy tej ziemi.

Pisarz poznał te sprawy dokładnie między innymi zajmując się postacią księdza Józefa Gackiego, który w XIX wieku przez czterdzieści lat był proboszczem Jedlni. W 2009 roku Wojciech Pestka wydał reprint jego pracy z 1874 roku *Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa*. Owocem kilkuletnich badań archiwariusza stała się publikacja *Jak mało... Ks. Józef Gacki (1805–1876) – zarys biografii*.

Ksiądz Gacki uczestniczył zarówno w konspiracji, jak i w obu powstaniach. Za czynny udział w Listopadowym był dotkliwie represjonowany przez carskie władze. Przed Styczniowym prowadził cichą pracę edukacyjną i wychowawczą, studiował i dokumentował lokalną historię, a przy tym gorliwie pełnił posługę kapłańską. Jakże owocna stała się ta mniej widoczna praca. Pozostały po niej liczne artykuły i monografie dotyczące Jedlni i okolic. Ale ważniejsze okazały się jej efekty dosłownie graniczące z cudem: wyplenienie w parafii plagi pijaństwa, masowa edukacja elementarna obejmująca dzieci i dorosłych oraz wprowadzenie nowoczesnych metod gospodarowania. Zasługą księdza Gackiego było formowanie świadomego wolnego chłopstwa, bez pańszczyźnianej skazy w mentalności. W czasie Powstania Styczniowego właśnie w Jedlni i w tym regionie urzęczywił się Jeden tylko, jeden cud: /Z Szlachtą polską – polski Lud. Miejskowa społeczność niezależnie od różnic stanowych wzięła udział we wspólnej walce, co przyczyniło się do udanych akcji.

Pod koniec życia ksiądz Józef Gacki wyraził wolę bycia pochowanym na miejscowym cmentarzu w grobie sąsiadującym ze zbiorową mogiłą siedemnastu niezidentyfikowanych powstańców poległych w bitwie pod Jaściami 20 kwietnia 1863 roku.

W wywiadzie udzielonym Aleksandrze Keller Wojciech Pestka opowiedział o inspiracji historią księdza Gackiego:

„Na jego zaniedbaną mogiłę na starym cmentarzu graniczącym z moją posesją trafiłem przypadkiem zaraz po osiedleniu się na wsi. Długo nie mogłem znaleźć o nim





Muzeum w Romanowie (2017). Za biurkiem Józefa I. Kraszewskiego. W tle pisarze z Ukrainy. Ofena Kryształska, Wasyl Hej, foto. Z. W. Fronczek

żadnych informacji, a ponieważ zbywano mnie jakimś ogólnikami, tym większą irytację i ciekawość budziła we mnie postać byłego proboszcza. Punktem zwrotnym było spotkanie i rozmowa z ks. bpem Marianem Zimałkiem. Po niej przyszyły tygodnie w Sandomierskim Archiwum Diecezjalnym, Archiwum Państwowym w Radomiu, Bibliotece Narodowej, podróż do Łomży, Łukowa, Siedlec... Powstał rodzaj popularnonaukowego zarysu biograficznego. Suma moich różnych wysiłków w tej kwestii powoli daje efekty – nazwisko ks. Gackiego jest znane okolicznym mieszkańcom, ale wciąż muszę się upierać przy idei popularyzacji jego zasług”.

Wojciech Pestka był wielkim patriotą w swojej lokalnej ojczyźnie. Nie poprzestał na zainteresowaniu postacią księdza Gackiego. I jak to bywa u osób piszących, jeden temat ciągnął za sobą łańcuszek nowych zainteresowań i literackich realizacji. Nie tylko wniknął Pestka w historię tego miejsca, którego cechą charakterystyczną jest zjawisko zakorzenienia. Od wieków po dziś dzień mieszkają tu rody Grzywaczów, Jaroszków, Rojków, Siczków, pochodzące z miejscowości o tych samych nazwach. Z pasją społecznika służył Wojciech Pestka tej wspólnotce, podejmując obowiązki wynikające z etosu inteligenta. Historia Polski w ciągu wieków była smutna, a nawet tragiczna.

Ale – paradoksalnie – właśnie dzięki niej mogła powstać warstwa inteligencji, która różni się od tak zwanej „klasy średniej” Zachodu, dumnej ze swojej „europejskości”. Nasi inteligenci – być może peryferyjni, prowincjonalni – nierzadko w łatanych trzewikach biegali, ale utrwalił się w tej sferze etos służenia swojej społeczności – a przez to narodowi – i wielkiej odpowiedzialności uczestniczenia w losach narodu. A w europejskiej wspólnotce kulturowej jesteśmy odkąd nas ochrzczono – i nie mamy żadnych kompleksów.

Wojciech Pestka był absolwentem wydziału matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Wiele lat temu napisało mi się półzartobliwie: „jak pogodzić matematykę z poezją?”, chociaż wiedziałam, że właśnie te dwie dyscypliny łączą się idealnie. Precyzja w myśleniu, sięganie do najgłębszych znaczeń wyrazu w dosłowności i w metaforze, umiejętność analizy i syntezy – a czymże w istocie jest tworzenie poezji, jak nie „przekładaniem” emocji na język syntezy? Nieprzypadkowo pisanie zaczęło się u Pestki od wierszy. Jeszcze w czasach studenckich, przy dopingu całej grupy młodych ludzi. Niektórzy z nich wybili się w poetyckim rzemiośle i zyskali znane nazwiska. A Wojciech Pestka, który swoje „pierwociny” wysłał do redakcji „Odry”, już wtedy zaczął być doceniany i nagradzany w konkursach.

Talent poetycki uruchomił tworzenie oryginalnego języka prozy – języka o szczególnym idiomie. Wyrazistym w opowiadaniach (*Ballada o żyletce*).

Jak do tego doszło? U początków znajdujemy impuls filozoficzny, metafizyczny. Oto słowa Autora: „Pisanie jest dla mnie desperacką próbą scalenia świata, złożenia go z oderwanych, często przypadkowych, wadliwych fragmentów w mniej lub bardziej spójną całość...”. Pokusa bycia demiurgiem? Jeżeli, to świadomie ułomnym. Demiurgiem-szpargalarzem, co to nie tylko zbiera różności – bo wszystko może się przydać – ale i siebie samego postrzega jako część tworzywa, jeden z elementów kosmicznej układanki. Borges – Buzzati – Calvino – trochę ten klimat. Oto dalszy ciąg przerwanoego cytatu: „...znalezienia własnego miejsca na pełnej białych plam, rozpalonej mapie słońca”. Kreowany przez autora bohater, czasem bohater-narrator, to szkiełko do mozaiki, nierówne. Z rozbitej szyby?, z okularów?, z butelki? Widać przez nie raz prosto, a raz krzywo. Miejscami trochę zmatowiałe, gdzie indziej przejrzyste. Lepiej go na słońcu nie zostawiać.

To, co się dzieje w warstwie realistycznej jest dobrze umocowane w sferze realistycznego prawdopodobieństwa. Trening reportażysty nie pozostał bez skutków. Ale jest to rzeczywistość pozorna. Niby mały realizm – tymczasem nic bardziej mylnego. Postaci niby „z życia wzięte”, a odrealnione. Intensywnie przeżywają swój los. Na czym się trzymają, co je spaja? Kosmos? Absurd? Destrukcja świata? Fragmentaryczność? Czy rekonstrukcja też? Bohater – lump, ale z nadświadomością. Klnie jak lump, wprost nie potrafi uwolnić potoku myśli od soczystych przerywników, a refleksje nad życiem snuje jak filozof.

Jednak ta proza ma zarazem cechy surrealizmu. Sztuka wyraża podświadome treści własnego ja. Wyobraźnia pracuje swobodnie, niejako poza kontrolą rozumu. Przybliża się do spontanicznych przebiegów psychicznych: snu, marzenia, halucynacji, wizji mistycznej. Kompozycja zostaje podporządkowana *écriture automatique*, oparta na swobodnych asocjacjach, a utwór jest rodzajem „protokołu mowy wewnętrznej”. Autor przejawia upodobanie do purnonsensu, czarnego humoru, parodii, groteski.

Język opowiadań Wojciecha Pestki jest owocem udanego mariażu stylu reporterskiego i doświadczeń poetyckich. Ale nie jest to w żadnym wypadku proza poetycka. Po prostu nagle wyrastają metafory. Nieoczekiwanie, sprawiając wrażenie absolutnej naturalności. Dobrze „siedzą” w tej prozie.

Przyszła pora na obszerne utwory fabularne. Powieść *Powiedzcie swoim* (2012), osnuta wokół wydarzeń radomskiego Czerwca 76, w tym męczeńskiej śmierci zamordowanego przez UB księdza Romana Kotlarza, przyniosła

Autorowi w roku 2013 Ogólnopolską Literacką Nagrodę im. Bolesława Prusa. A reżyser Jacek Gwizdała z doborową obsadą aktorską – demonicznego bohatera nazwanego Mistrzem zagrał Piotr Fronczewski, a księdza Romana Mirosław Baka – nakręcił film *Klecha*. Wojciech Pestka współpracował przy tworzeniu scenariusza. Niestety, odbyły się tylko dwa zamknięte seanse, po których film otrzymał awans na „półkownika”. A podobno nie ma u nas cenzury...

Pestka to pisarz poruszający się w obszarze literackiej wielogatunkowości. Ta skłonność zaowocowała utworem-niespodzianką. *Mój mąż frajer* został przez Autora nazwany powieścią sowizdrzalską czy też łotrzykowską. Napisany z dystansem, z humorem, ale i zadumą prezentuje bohatera nie tyle jako łotrzyka, co raczej naiwnego poszukiwacza miłości idealnej. A że metodą prób i błędów – a jak można inaczej?

Osobną dyscypliną w pracy Wojciecha Pestki były przekłady z języków białoruskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Ukraiński okazał się najważniejszy. Zwłaszcza dzieła wybitnego pisarza Wasyla Ślapiuczka, z *Księgą zapomnienia*, za której przekład otrzymał w roku 2015 Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Józefa Łobodowskiego. Pestka przyjaźnił się ze Ślapiuczkiem, a także z innymi pisarzami ukraińskimi. Na Ukrainie był wielokrotnie i w tamtejszym środowisku literackim zadomowił się jak u siebie. A co do nagród – był laureatem wielu. Z ukraińskich najwyższą rangę miały Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Hryhorija Skoworody (2012) i Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Mikołaja Gogola (2013).

Z działalnością literacką wokół tematów ukraińskich szły w parze przyjaźnie nie tylko prywatne, ale także te o szerszym społecznym zasięgu. Wynikające z obowiązków sumienia. Kiedy na Ukrainie wybuchła wojna Państwo Danuta i Wojciech Pestkowie przyjmowali uchodźców, organizując im warunki godnego pobytu.

Ostatnia powieść Wojciecha Pestki to *Bezsenne*. Jest jakby dziennikiem księdza Józefa Gackiego pisany na dwa miesiące przed śmiercią. Fikcyjnym, ale mocno osadzonym w dokumentach. Rozliczeniem bohatera z życiem. A zarazem powrotem Autora do źródeł twórczości. Jakże wyraziście brzmią dziś słowa księdza Gackiego z tytułu: *Jak mało... Ks. Józef Gacki (1805–1876) – zarys biografii*. Dziwnym zbiegiem okoliczności zarówno księdzu Gackiemu, jak i Wojciechowi Pestce taki sam czas był dany: każdy przeżył prawie siedemdziesiąt dwa lata. I niezależnie od własnych ocen każdy pozostawił dużo. A wstrząsające zakończenie *Bezsennego* kieruje myśl ku tajemnicy człowieczego losu zawieszona na nitce nadziei. ■

## Czy to już ta pora?

NIE PAMIĘTAM JUŻ, GDZIE I KIEDY POZNAŁEM Pana Wojciecha Pestkę – pisarza, poetę, dramaturga i scenarzystę. „Pana”, bo nigdy nie przeszliśmy na „ty”. Pamiętam za to doskonale spotkanie autorskie z pisarzem w „Resursie Obywatelskiej”, na którym byliśmy z żoną Madzią. Była to promocja książki *Ballada o żyltce*. Rok 2009. Ciepły, pogodny i mądry człowiek. Takim Go zapamiętałem. Potem wpadła mi w ręce książka poeticka *Dziesięć wierszy dla Grosza*. Bardzo mi się zresztą podobała konstrukcja tego tomu.

Nie udało mi się zaprosić Pana Pestki do jury Regionalnego Konkursu Literackiego, który od szesnastu lat organizuję w „Arce”. Próbowaliśmy wielokrotnie, ale Pan Wojciech był ciągle w rozjazdach, zaś w Radomiu – rzadko. A do mnie docierały tylko informacje o Jego licznych nagrodach. Planowałem też zaprosić pisarza do swoich wywiadów telewizyjnych w „ObiektywnieTV”. Tego planu także nie udało się zrealizować. Ale udało się nagrać audycję z wierszami poety w interpretacji Magdaleny Gliszczyńskiej, w ramach mojej „Szarej strefy poezji”. Rozmawiałem z Panem Wojtkiem tuż po prezentacji i wyglądał na bardzo zadowolonego. A jakiś czas później wymieniliśmy się książkami. Dostałem *Bezsenne* z wypisaną dedykacją.

Kiedy w „Resursie Obywatelskiej” ruszył prowadzony przeze mnie projekt „Recenzenci Resursy” i pomyśl na książkę wywiadów z regionalnymi twórcami, od razu zaprosiłem Pana Pestkę. Wywiad z pisarzem przeprowadzała Lidia Mikocka-Rosińska. Wiedzieliśmy, że Pan Wojciech ma problemy zdrowotne, ale nie wiedzieliśmy, że tak poważne. Zwłaszcza, że w rozmowach z nami nigdy się nie skarżył. Niestety, tej najważniejszej rozmowy, przygotowywanej do książki nie udało się dokończyć. Pan Wojtek zmarł na początku kwietnia. Informację o przedwczesnej śmierci pierwsza przekazała mi Lidka. Z Lidką też byliśmy na pogrzebie pisarza. Kiedy wróciłem do domu, spadł z półki mój tomik. Zadumałem się, przemknęła mi myśl, że Pan Wojtek dziękuje za udział w pogrzebie, a może po prostu wyrzuca słabe książki.

We wspomnieniowym, listopadowym czasie przypomniałem sylwetkę Pana Wojtka Pestki w cyklu „Szare eminencje” na portalu „Kozirynek.online”. W „Resursie” odbyło się też spotkanie wspomnieniowe „Wokół twórczości Wojciecha Pestki”, które poprowadziliśmy z Lidą Mikocką-Rosińską. Sylwetkę i twórczość pisarza przypomnieli uczniowie liceum Jana Kochanowskiego i radomskiego „Plastyka”. Poeci Grup: „Tygiel” i „Erato” prezentowali własne utwory, ucieszyła mnie informacja, że były wśród nich inspirowane twórczością naszego Poety. Czulem także powód do dumy, gdyż wspomniane grupy – w trakcie warsztatów literackich – zapoznałem z lirykami autora *Mono#dramu*. Sam także napisałem okolicznościowy wiersz, inspirowany konwencją jednego z tomów (*Dziesięć wierszy dla Grosza*):

## Groszek, pora umierać

*pamięci Wojciecha Pestki*

Groszek, pora umierać  
Trochę żał tak  
To wszystko zostawić  
Ale trzeba  
Niczego się nie da zabierać  
Układał listę  
Pożegnań  
Wciąż dopisuję  
Nikogo nie skreślał  
Ależ to życie  
Szybko nam leci  
A dookoła  
Brzydki, zimny  
Kwiecień

Tekst pochodzi z literackiego bloga Adriana Szarego – SZARÓWKI ■

JACEK  
GWIZDAŁA

# O Wojtku słów parę...

PONAD OSIEM LAT TEMU TRAFIŁ DO MNIE EGZEMPLARZ powieści politycznej. Poszukiwałem tekstów mogących posłużyć napisaniu scenariusza filmu fabularnego o kapełanie radomskich robotników z Czerwca 1976 roku, dzisiaj już słudze Bożym ks. Romanie Kotlarzu. Na okładce tej powieści znalazłem cytaty z przemówienia Gierka, rozpoczynający się słowami: „Powiedzcie swoim”. Posłużył on również autorowi jako tytuł powieści. Znałem ten cytat, pierwszy raz pojawił się w wyprodukowanym przeze mnie w 1997 roku tryptyku dokumentalnym *Miasto z wyrokiem* poświęconym wydarzeniom Radomskiego Czerwca. Autora powieści nie znałem. Wygooglowałem informacje, zdobyłem numer telefonu w wydawnictwie i zadzwoniłem. Ta pierwsza rozmowa okazała się praktycznie moim monologiem. Po drugiej stronie słyszałem wyłącznie zdawkowe „tak” lub „nie”, oczywiście poza standardowymi „dzień dobry” i „do widzenia”. Przeprowadziłem wcześniej takich rozmów dziesiątki, jeżeli nie setki, ich rezultaty nie wróżyły nic dobrego. Pomyślałem, że i teraz będzie podobnie. A jednak...

Przez kolejne lata Wojtek Pestka, autor politycznej powieści *Powiedzcie swoim* stał się moim najbliższym „filmowym” i nie tylko „filmowym” przyjacielem. Na pierwszym spotkaniu w Jedlni Kościelnej, w domu Wojtki, wyjawiał mi sekret naszej telefonicznej rozmowy. Otóż był przekonany, że ktoś stroi sobie z Niego żarty, „wkręca” Go, sprzedaje Mu „siano” – proponując adaptację Jego powieści i wspólną pracę nad scenariuszem filmowym. To były początki filmu *Klecha*. Wtedy mieliśmy nadzieję na wspólną obecność na premierze filmu w 2019 roku, w otoczeniu gwiazd polskiego kina Piotra Fronczewskiego, Mirosława Baki, Danuty Stenki, Artura Żmijewskiego i jeszcze wielu, wielu innych.

Niestety, tak się nie stało. Nie udało się nam wprowadzić filmu na ekrany, pomimo naszej wspólnej, czteroletniej, nie obawiam się słowa – heroicznej walki z cenzurą z ulicy Woronicza 17 (TVP S.A), Krakowskiego Przedmieścia 15 (MKiDN) i z ulicy Leona Kruczkowskiego 2, gdzie mieści się Polski Instytut Sztuki Filmowej w Warszawie.

Wojtek odszedł nie doczekawszy premiery i podobnie jak imiona i nazwiska aktorów Ignacego Gogolewskiego i Ryszarda Kotysa, tak i Jego imię i nazwisko musiałem umieścić w napisach filmu w ramce. Białej ramce na czarnym tle napisów. To były ich ostatnie role filmowe.

Na szczęście nie był to ostatni scenariusz filmowy Wojtki. Na realizację czekają dokumenty: *Leo zawodowiec* o ukraińskim snajperze z walk w Donbasie w 2015 roku, które Wojtek sporządził jako wojenny korespondent, kolejny to *Co jest w człowieku* – rzecz o księdzu, który tropi ślady księży TW donoszących na niego podczas czasów komuny, ponadto scenariusze fabuły: „Scenarzysta” o Ferdynandzie Goetlu, polskim prozaiku, dramatopisarzu, publicyście i scenarzyście, przed wojną prezesie polskiego PEN Clubu, wreszcie monodram *Syrop z kocimiętki*, na podstawie którego powstał scenariusz filmu fabularnego *Glut* z planowaną główną rolą Piotra Fronczewskiego w roli krawca, szyjącego sutanny. Tekst inspirowany historią teścia Wojtki. Obiecałem Przyjacielowi, że ten film na pewno powstanie.

Jeszcze w szpitalu w Radomiu, na tydzień przed Jego odejściem planowaliśmy wyjazd na dokumentację do nowego projektu *Herojam Slava* serialu dokumentalnego o żołnierzach ukraińskich wojsk obrony terytorialnej. O jego realizację zwrócili się do Wojtki dawni przyjaciele z Kijowa.

W szpitalu Wojtek podarował mi tomik swojej poezji. *Przejdźcie*. Ostatni. Jak zawsze z dedykacją. Tym razem wpisana już nie w pełni sprawną ręką. 23 marca 2023 roku.

Kiedy przyszło mi Go pożegnać podczas mszy świętej w parafialnym kościele pw. św. Mikołaja w Jedlni Kościelnej zacytowałem fragment wiersza z tego tomiku:

...nie oszukuj mnie  
obiecując miejsce w niebie  
wino zamiast wody  
chleb życia  
oliwę na rany  
fajerwerki i zabawę  
od rana do rana  
podobno stworzyłeś mnie  
na swoje podobieństwo

Powiedziałem wtedy, że Wojtek na pewno otrzymał tam już gratulacje... za te strofy od autora *Modlitwy*, Bułata Okudźawy.

Jestem przekonany, że tam... korowód poetów, pisarzy, scenarzystów i autorów reportaży oczekujących na złożenie gratulacji Wojtkowi ciągnie się w nieskończoność. ■

# Tak pamiętam...

TOMASZ  
SZWED-  
STĘPKOWSKI

WOJTEK MIESZKAŁ DWIE ULICE DALEJ w naszym rozciągniętym wzdłuż linii kolejowej miasteczku. Trochę nie pasował do nas, rówieśników. Małomówny, zbyt poważny. Jego dom też był dziwny. Z balkonem bez barierki, szary, w pustym ogrodzie. Nic nie wiedziałem o jego rodzicach, pomieszczeniach domu, jakby to wszystko przekładało się na Wojtkowe wnętrze, jego myśli i wrażliwość. Czyli właściwie nie wiedziałem, jaki On jest. Z perspektywy lat widzę, że Wojtek był dla mnie ulotnym duchem i tak mu to zostało. Pojawiał się od czasu do czasu. Zawsze miał dyskretną obecność, bez zawłaszczania czasu i osoby, narzucania swoich poglądów, promowania się. Mówię o dorosłym życiu, chociaż w dzieciństwie było podobnie. Innych kolegów bardziej pamiętam. Nocne wyprawy w celach łupieżczych do sadów niewątpliwie zbliżają i zapadają w pamięć. Z Wojtkiem tylko raz posunęliśmy się do zaboru cudzego mienia. Nie dla emocji, które były niezamierzoną korzyścią, tylko z potrzeby serca. Tak! Wieczorową porą przeskoczyliśmy u sąsiada ogrodzenie z siatki, by dziewczynom przynieść kwiaty z grządki przed werandą domu. Sąsiad ścigał nas później rowerem, ale zapadliśmy w ciemnościach za nasypem kolejki wąskotorowej, więc stracił trop. Warto było się narażać, by poczuć emocjonalne reakcje dziewczyn. A jakby taki był, co widzi poprzez ciemność, toby nawet zobaczył ich zawstydzone rumieńce. Chociaż nie widział ich nonszalancki wobec emocji kilkunastoletni chłopak, bo jeszcze nie wiedział, co z tym zrobić, obśmiać czy się wzruszyć.

Jedną wyprawę dobrze pamiętam. Może z uwagi na jej konsekwencje w rodzinach, które boleśnie odczuliśmy. Zamiast skorzystać z wycieczki do Puław zorganizowanej przez szkołę do pałacu i parku romantycznego Izabeli Czartoryskiej, uznaliśmy, że zabawniej będzie pojechać tam swoimi rowerami. A to się wszyscy zdziwią, kiedy pojawimy się, wolni, niezależni, śmiali podróżnicy! Wyjechaliśmy rano, tak jak szkolny autobus, w którym siedzieliśmy (w wersji oficjalnej dla naszych rodziców), skracając odległość polnymi drogami. Do przejechania kilkadziesiąt kilometrów, w większości asfaltową szosą. Koledzy mieli dobre rowery. Wojtek chyba nawet „wyścigówkę”. Ja, niestety, ruski rower ze skrzywionym ramieniem mechanizmu korbowego, gdzie przymocowane są pedały. Powodowało to irytujące stukanie o widelec tylnego koła, no i wpływało na osiągi. Przeze mnie wlekiśmy się trochę, ale kochani koledzy nie dawali mi odczuć, że z mojego powodu misterny

plan wali się już na samym początku. Droga była długa i męcząca. Za Zwoleniem, 25 kilometrów do celu, opuściła nas brawura i ja społeczne. Poza tym, zmierzchało. Udałiśmy się w drogę powrotną bez sukcesów samodzielności, o których mogły dowiedzieć się nasze koleżanki i koledzy. Każdy wyczyn licznych zwycięzców jest niczym, jeśli nikt o zwycięstwie się nie dowie. Dlatego maratończycy biegają ulicami Warszawy, a nie przez Puszcę Kampinoską, która jest producentem czystego powietrza.

Już w pełnej ciemności zjechaliśmy znowu z asfaltu w polne drogi. Piszczwały prądnice napędzane przez wolno obracające się koła, bo zmęczeni byliśmy nieludzko, więc lampki świeciły mdłym blaskiem. W pewnej chwili Wojtek zjechał do rowu i się przewrócił. Zaraz wstał coś mrużąc.

– Co się stało – pytamy, bo wyglądało to niebezpiecznie. – Zasnąłem – mruknął, co ożywiło nieco przygaszoną atmosferę. Byliśmy w domach około północy. Każdy z nas usłyszał klasyczne, podszyte grozą pytanie:

– Gdzieś ty był! – Zastosowane metody wychowawcze okazały się różne, zależnie od domu i od zadającego to fundamentalne pytanie. Do dziś uważam, że telefony niczego dobrego nie dają cywilizacji. Łatwo można sprawdzić zeznania, zaktualizować zmieniającą się prawdę, uzyskać wersje osób trzecich i doprowadzić do zupełnie niepotrzebnych konfrontacji. Szkoła miała, niestety, telefon.

W ostatecznym życiowym rozrachunku źle nie było. Co prawda ojciec wieszczę, że jeśli nie będę się uczył, to skończę w więzieniu lub zostanę zawodowym wojskowym. Trochę to karkołomne. Nie muszę wszystkiego wiedzieć o tatowych skojarzeniach, ale powiodło mi się nie najgorzej. Czym Wojtka straszono, nie wiem, bo został uznanym literatem, poetą i scenarzystą. Mieszkał na skraju Puszczy Kozienickiej, z której ja uciekłem. Zazdrościłem mu jego niezależności i wolności, choć nie wiem, czy tak mi się tylko wydawało. Ale przecież jeździł po kraju, realizował swoje pomysły, wizytował Ukrainę, żeby sobie napędzić wiedzy i pomysłów, a już na pewno był w Puławach. Kto mu na to pozwalał? Może czasami słyszał złowróżbne „gdzie ty byłeś”?! Ogólnie, dobrze nam się rozmawiało. Serdecznie, luźno i na poważnie też. O swoich światach i pomysłach. O tym, jak jest i jak powinno być. O swoich słabościach i niepewnościach, chociaż wydawało mi się, że ma moc i stanowczość. Chciałbym, żeby Wojtek znowu mnie nawiedził, bo nie pamiętam, jakiej marki był jego rower i czy naprawdę był wolny i niezależny. ■

MARCIN  
KĘPA

## Budowniczy wspólnoty

OSTATNIA DEDYKACJA – „Dla Marcina, z życzeniami wszelkiego dobra: zdrowia, satysfakcji, sukcesów. 29 września 2022 r.”. Tego dnia Wojtek i Danusia odwiedzają mnie w Muzeum Historii Radomia. Nie mają czasu, żeby obejrzeć całą ekspozycję, jak zawsze gdzieś się z tego Radomia spieszą. Krótko dogadujemy szczegóły spotkania autorskiego w jego ukochanej Jedlni, magicznym miejscu przeznaczenia, i wyjeżdżają. Miesiąc później prowadzę z Wojtkiem spotkanie w sali parafialnej, niedaleko jego domu w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowego cmentarza z mogiłą powstańców styczniowych i księdza Józefa Gackiego, schorowanego i wątpliwego narratora ostatniej jego książki *Bezsenne*. To była ważna postać dla Wojtka, który do biografii i dokonań jedleńskiego proboszcza, historyka i regionalisty wracał wielokrotnie w swoich tekstach. Salka pęka w szwach, brakuje krzesel. Robert Stępniewski czyta Jego wiersze, potem fragment prozy. Wojtek opowiada o pierwszym wierszu, o studenckim Lublinie, o kłopotach z pracą, po tym jak nie pozwolono mu zostać na uczelni, o poszukiwaniu swojego miejsca na Ziemi. No i o swoich mistrzach, ale najpierw – przyjaciółach. Pytaniom od publiczności nie ma końca, bite dwie i pół godziny, niecierpliwie się, a On, choć widzę, że zmęczony, cierpliwie odpowiada. Gdybym wiedział, że będzie to nasze ostatnie spotkanie, pozwoliłbym mówić do rana. A tak, jak zawsze, pozostaje niedosyt.

Znaliśmy się blisko 20 lat. Równy o pokolenie ode mnie starszy, równy o pokolenie inny, choć mieliśmy stałą płaszczyznę porozumienia, kiedy dyskutowaliśmy o Miłoszu, Gombrowiczu, Dostojewskim czy Andruchowyczu, z którym się przyjaźnił. Przez lata odwiedzałem Go w Jedlni na tematycznych festynach, które współorganizował, bo oprócz tego, że był pisarzem i tłumaczem, udzielał się społecznie i cierpliwie (to słowo jakoś najbardziej mi do Niego pasuje) budował z Danusią i księdzem Januszem Smerdą lokalną wspólnotę. Kiedy przyjeżdżało się do Jedlni, miało się wrażenie, że wszyscy są jedną wielką rodziną, w której Wojtek jest niekwestionowanym autorytetem i wysoką instancją tudzież swoistą instytucją. I myślę, że był właśnie takim człowiekiem-instytucją, literackim malowanym ptakiem, choć na zewnątrz bez jaskrawych barw i krzyku, którym najłatwiej zdobyć świat, przebić się spośród licznych grona pisarskich

pretendentów do sławy (przeważnie butnych czterdziestolatków głęboko przekonanych o swojej wyjątkowości). Jemu się udało. Namysł i refleksja zamiast wywalania bebeczów na papier. Za to go chyba najbardziej ceniłem.

Lubiłem Jego wiersze, dla mnie z ducha Herbertowskie, choć Wojtek z lekkim dystansem podchodził do moich literackich intuicji. Przez kilka lat pisał felietony do redagowanego przeze mnie Radomskiego Miesięcznika Kulturalnego „Resursa”, gdzie miał stałą rubrykę „Z notatnika prowincjonalnego”. Dzięki niemu zaliczyłem zagraniczny debiut, kiedy poetka Anka Bagriana, z którą się przyjaźnił i z którą wydał wspólny zbiór wierszy, przetłumaczyła na ukraiński moje opowiadanie dla czasopiśma „Granosłowije”. To dzięki Wojtkowi poznałem kilku ukraińskich pisarzy, których gościliśmy w „Resursie” na spotkaniach autorskich. I to dzięki Wojtkowi przeprowadziłem kiedyś dla „Gazety” wywiad z Wasylem Słapczukiem (którego prozę tłumaczył), snując, pamiętam, paralele między Łuckiem a Radomiem. Zresztą, co tu dużo pisać – Jego zaangażowanie w sprawy Ukrainy i Białorusi, liczne wyjazdy, spotkania, odczyty, wreszcie – zbiory reportaży, to bardzo ważna część artystycznego dorobku naszego pisarza z Jedlni. Właściwie chyba nie część, a strona. Bo na drugiej, równoważnie, były sprawy historii regionu. Dawniejszej, w przypadku Jedlni, i nowszej – w kwestii radomskiego Czerwca’76. A pośrodku poezja. Mam prawie wszystkie Jego książki. Wszystkie z serdecznymi wpisami.

Na zewnątrz był oazą spokoju, choć wiem, że musiało się w Nim w środku gotować, bo w każdym artyście się gotuje. Nieraz niewybrednie komentowaliśmy sytuację polityczną czy kulturalną w naszym kraju. Ale tylko raz usłyszałem z Jego ust przekleństwo. Po tym, jak jakiś idiota omal nie przejechał mnie na przystanku w Jedlni, kiedy czekaliśmy na mój bus do Radomia.

Myślę, że mimo przedwczesnej śmierci (która taka nie jest?) był człowiekiem spełnionym, twórcą, któremu – jak niewielu – udało się połączyć życie artystyczne z udanym życiem rodzinnym. Widziałem, z jaką dumą i wzruszeniem podczas ostatniego spotkania autorskiego słuchał pytania, które zadawał mu wnuczek Jeremi, synek Wawrzka.

Dużo w życiu osiągnął. Teraz ma (za cenionym przez Miłoszem) moment wieczny spokoju. ■

# Potrafił podzielić się z ludźmi – moje wspomnienie

Z WOJCIECHEM PESTKĄ, choć mieszkaliśmy w tym samym środowisku, w sąsiednich wioskach, przez wiele lat nie mieliśmy ze sobą bezpośrednich relacji. Zналиśmy się tylko z widzenia, tak było do 2006 r. W styczniu tamtego roku, będąc w Radomiu, przechodziłem obok redakcji „Resursy”, na słupach ogłoszeniowych zauważyłem plakaty informujące o wieczorze historyczno-patriotycznym z udziałem pisarza Wojciecha Pestki. Było to kilka dni przed rocznicą wybuchu Powstania Styczniowego. Postanowiłem wziąć udział w spotkaniu. Prelegent, Pan Wojciech Pestka, wygłosił referat o Powstaniu Styczniowym w Radomiu i w Jedlni. Byłem poruszony wystąpieniem, Pan Wojtek, z niespotykaną pasją, z błyskiem w oku, opowiadał o tamtym wydarzeniu historycznym, o powstańcach mówił, jak o bliskich Mu osobach. Dał się poznać jako człowiek o niezwyklej wiedzy historycznej, politycznej, gospodarczej, a ja pomyślałem – oto człowiek w naszym środowisku nieznany – a tu w radomskiej „Resursie” przez wyrobioną publiczność nagradzany gromkimi brawami. Nurtowała mnie myśl, jak ten ogromny potencjał energii, zaangażowania społecznego, wreszcie wiedzy naszego krajana, mógłby zostać wykorzystany w naszym środowisku.

Pół roku później proboszczem w naszej parafii został ks. Janusz Smerda. Pierwsze moje spotkanie z księdzem nastąpiło w listopadzie, kilka dni przed zbliżającą się 130. rocznicą śmierci ks. J. Gackiego. Wtedy to podczas rozmowy wskazałem księdzu małżonków Wojciecha i Danutę Pestków, ludzi nietuzinkowych, energicznych społeczników, których wiedzę i potencjał organizacyjny można wykorzystać w życiu parafii. W grudniu tego samego roku w salce parafialnej doszło do spotkania organizacyjno-założycielskiego „Stowarzyszenia Jedlnia”, którego prezesem został Pan Wojtek, a w kwietniu 2007 r. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane. Głównym celem powstałego Stowarzyszenia było i jest pielęgnowanie i promowanie historii naszej małej ojczyzny – parafii, począwszy od czasów króla Jagiełły, poprzez czasy powstania styczniowego, czas II wojny światowej, aż po współczesność. Cieszyłem się, że Pan Wojtek spełniał pokładane w Nim nadzieje. Miał świetne pomysły, potrafił

je realizować, był niewątpliwie utalentowanym organizatorem. Do historii naszej miejscowości przejdą niewątpliwie festyny, które realizowali wspólnie z księdzem proboszczem Januszem. Każdy zaczynał się sprawowaną w kościele Mszą świętą, każdy był powiązany z jakimś wydarzeniem historycznym. Po co to robił? Jestem przekonany, że przyświecał Mu cel, aby ocalić od zapomnienia historię naszej parafii i wydarzeń związanych z naszą okolicą. Angażował się w prace społeczne, edukacyjne, oświatowe, aby wzbudzić w nas umiłowanie do ziemi i środowiska, w którym żyjemy.

Pan Wojtek był człowiekiem skromnym, chociaż otrzymał wiele nagród i odznaczeń, to pracował społecznie, bezinteresownie, nie dla pochwał, zaszczytów czy wyróżnień. Jego wypowiedzi były zawsze wyważone, starał się aby nikogo nie urazić, bez wybuchowości, gniewu lub odwetu. Kilka tych cech charakteru wyniósł z domu rodzinnego. Dla Wojtka i Jego dwóch siostr, dom rodzinny był „szkołą dobrego wychowania”. Kilka cech odziedziczył po swoim dziadku Antonim Rojku. Dziadek Wojtka posiadał pole, do którego przylegały dwa cmentarze; stary i nowy. Każdego roku w uroczystość Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny Jego pole stawało się placem parkingowym dla furmanek, którymi przyjeżdżali ludzie, by odwiedzić groby swoich bliskich. Użyczał nieodpłatnie pola, aby przyjezdni mogli bezpiecznie i wygodnie pozostawiać wozy i konie. Dopiero po tych świętach dziadek Pana Wojtka przystępował do orki i uprawy pola, aby zasiać zboże, zawsze zdążył przed zimą.

Pan Wojtek był poetą, prozaikiem i tłumaczem. Spośród wydanych publikacji tytuł jednej z książek *Powiedzcie swoim*, można przenieść jako przewodnie hasło Jego działalności społecznej. „Powiedzcie swoim” – znaczy: podzielcie tym wszystkim, co wam przekazałem, swoje dzieci, wnuki i bliskich. „Powiedzcie swoim” – znaczy: przekazcie przyszłym pokoleniom historię wydarzeń naszej małej ojczyzny, przekazcie historię życia i działalności Pana Wojciecha Pestki. Bardzo dziękuję Ś.P. Wojtkowi za jego dobroć i wszystko to, czego mogłem się od Niego nauczyć. Dziękuję Panu Bogu za Wojtka, którego Bóg postawił na mojej drodze życia. ■

MAREK  
WIERZBICKI

## Pan Wojtek Pestka

PANA WOJTKA (bo zwracaliśmy się do siebie per Pan) poznałem ok. 10 – 12 lat temu. Pracowałem już wówczas w Delegaturze Instytutu Pamięci Narodowej i co jakiś czas odwiedzał mnie i Sebastiana Piątkowskiego jego znajomy Wojtek Pestka. Z opowieści rodzinnych (moja nieodżałowanej pamięci ciocia Krystyna Rzycka mieszkała już wówczas w Jedlni Kościelnej) wiedziałem, że był uzdolnionym matematykiem, który rzucił obiecującą karierę naukową na uniwersytecie i wrócił w rodzinne strony, aby zająć się hodowlą gęsi. Trochę się temu dziwiłem, co mogło być w tym interesującego, ale z drugiej strony właśnie dlatego intrygował mnie jako człowiek oryginalny, a do tego chodzący własnymi drogami. Nie wiem, czy to co zapamiętałem było w zupełności zgodne z prawdą, ale taki wizerunek Pana Wojtka Pestki zakodował mi się w pamięci w tamtym okresie. Z czasem coraz częściej współpracowaliśmy. Okazało się bowiem, że do tamtejszej parafii zawitał nowy proboszcz, ks. Janusz Smerda i życie w Jedlni-Poświętnem nabrało niezwykłego tempa. Ks. Janusz rozkręcił duszpasterstwo parafialne tak, że wszystko hulało aż miło i to na skalę absolutnie nie spotykaną w innych, sąsiednich parafiach. Od Pana Pestki dowiadywałem się, że razem powołali Stowarzyszenie „Jedlnia”, zaczęli z rozmachem organizować festyny, uroczystości parafialne i patriotyczne, upamiętniać przeszłych bohaterów, fundować im pomniki i pamiątkowe tablice. Przy parafii zaczęła działać młodzieżowa orkiestra dęta na całkiem dobrym poziomie artystycznym. Pewno to mała część osiągnąć tego środowiska, ale tyle mniej więcej do mnie docierało. Co jakiś czas Pan Wojtek przynosił mi zaproszenia na wspomniane imprezy, w których chętnie uczestniczyłem wraz z harcerkami i harcerzami ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, czasem w kościele parafialnym mogłem wygłosić historyczną prelekcję z okazji narodowego święta. Najczęściej była to rocznica odzyskania niepodległości przez Polskę czyli 11 listopada, zdarzały się też zaproszenia na rocznice powstania styczniowego.

Bardzo lubiłem tam przyjeżdżać. Szczególnie odpowiadała mi niesłychanie serdeczna, życzliwa atmosfera,

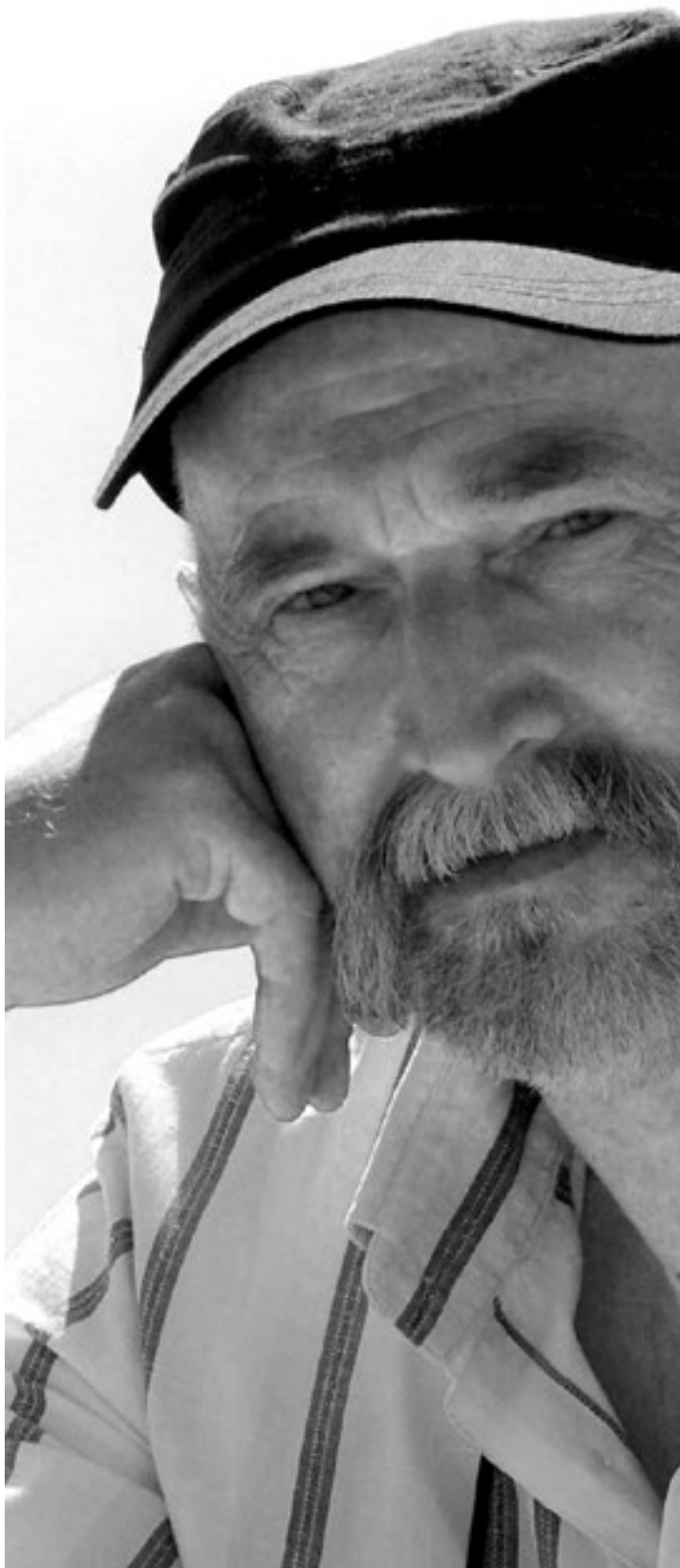
jaką tworzyli Ksiądz Proboszcz i Jego Współpracownicy. Po pierwsze Pan Wojtek, który zawsze odnosił się do mnie z ogromną delikatnością i życzliwością, przynosząc kolejne zaproszenia; Jego Małżonka, Ksiądz Proboszcz oraz inni uczestnicy tego pozytywnego ruchu obywatelskiego. Doszło do tego, że tak przyzwyczaiałem się do tych spotkań, że wręcz na nie czekałem. Współpracowałem z Panem Wojtkiem także na niwie literacko-historycznej. Może bardziej historycznej, bo literatem nigdy nie byłem, ale co jakiś czas podpisywałem dla Niego rekomendacje do projektów, które składał w Ministerstwie Kultury i chyba także w innych instytucjach. Napisałem też recenzję Jego książki – zbioru reportaży historycznych pt. *Do zobaczenia w piekle*, ukazującą ludzi, którzy zostali doświadczeni przez totalitaryzm sowiecki, komunistyczny. Została opublikowana w czasopiśmie „Lublin”. Bardzo mi się podobało przede wszystkim to, że Wojtek Pestka (tak Go zawsze w myślach nazywałem) tak mocno żył się z mieszkańcami Kresów Wschodnich przedwojennej Polski; że tak często jeździł na te tereny – dziś należące do Litwy, Białorusi i Ukrainy, miał tam wielu ciekawych przyjaciół; a przede wszystkim to, iż tak dobrze poznał i zrozumiał ich historię, naznaczoną okrutną niewolą i niszczącym wszelkie tradycyjne wartości nieludzkim systemem komunistycznej władzy. W moim życiu spotkałem niewielu ludzi, którzy tak dobrze jak On zrozumieli dramat i specyfikę życia na Kresach, zwłaszcza po włączeniu ich do Związku Sowieckiego (sam przez kilkanaście lat badałem tę problematykę naukowo). Imponowała mi też Jego – udana zresztą – próba napisania powieści o radomskim proteście robotniczym w czerwcu 1976 r. Wówczas jeszcze nie mogłem przewidzieć, że powstanie z niej bardzo poważny film fabularny, który wprowadził tę problematykę do polskiej popkultury, a przez nią w umysły młodszych pokoleń Polaków.

Dowiadywałem się też o kolejnych wyjazdach zagranicznych Pana Wojtka, tym razem na Zachód, np. do Szwajcarii i o różnych ambitnych projektach literackich, w których uczestniczył, ale co charakterystyczne Pan Wojtek nigdy przesadnie nie eksponował informacji



o nich. I właśnie dlatego zapamiętałem Go jako człowieka skromnego i powściągliwego w ujawnianiu swoich osobistych sukcesów. Dostrzegałem też w nim dużą siłę charakteru, jak to często bywa, ukrytą pod zasłoną jakiejś nieśmiałości i delikatności. Ucieszyłem się, kiedy pewnego dnia opowiedział mi, że zaczął pisać biografię księdza Józefa Gackiego – proboszcza parafii Jedlnia z XIX wieku, gorliwego kapłana zatroskanego o dusze swoich parafian, wielkiego patrioty – uczestnika powstania listopadowego i sympatyka powstania styczniowego, historyka-regionalisty, miłośnika polskiej kultury. Miałem przyjemność napisać recenzję wydawniczą tego dzieła, a więc przed jego opublikowaniem, stanowczo rozwiewając obiekcję Pana Wojtka, że praca jest oparta na zbyt szczupłym materiale źródłowym. Wiedziałem przy tym, że jeśli On jej nie napisze, to być może już nigdy ona nie powstanie. To była i jest naprawdę bardzo dobra książka biograficzna, napisana z naukowym, historycznym zacięciem, pisana z jednej strony z ogromnym taktem, sentymentem i uznaniem dla ks. Gackiego, z drugiej zaś pełna krytycznego namysłu nad kolejnymi losami naszego lokalnego Bohatera. I to umiejętne połączenie rozumu i serca, porywu uczuć z „mędrca szkiełkiem i okiem”, odsłaniało szeroki horyzont intelektualny oraz talent literacki Autora tej biografii. Co kilka lat sięgam do niej i zawsze znajduję na jej stronach zupełnie nowe rzeczy, których wcześniej nie zauważałem.

Gdy dowiedziałem się o ciężkiej chorobie Pana Wojtka, zrozumiałem, że to ostatnie tygodnie Jego życia. Nie widzieliśmy się już, ale mogłem modlić się za Niego o siły na Jego osobistej Kalwarii, a potem uczestniczyć w nabożeństwie pogrzebowym za Jego duszę. Przeżyłem wówczas ogromny wstrząs, bo słuchając kolejnych wypowiedzi o życiu i działalności Zmarłego, uświadomiłem sobie jak wielkiego Człowieka mieliśmy na co dzień na wyciągnięcie ręki i traktowaliśmy Go trochę tak jak każdego innego zjadacza chleba. Tymczasem miał On w sobie coś co wzbudzało i wciąż wzbudza podziw i szacunek. Zналиśmy Go jako Człowieka, który w swoich różnorodnych staraniach umiał osiągnąć bardzo wiele, daleko wykraczając poza lokalny horyzont, ale na co dzień był przede wszystkim bardzo ludzki, skromny i życzliwy. I nieugięty w dążeniu do celu. Takim Go zapamiętam. Zaraz po pogrzebie Pana Wojtka postanowiliśmy wraz z moją żoną, że zapiszemy się do Stowarzyszenia „Jedlnia”. *Verba volant exempla trahunt. Memento mori.* ■



KS. JANUSZ  
SMERDA

(proboszcz parafii św.  
Mikołaja w Jedlni)

## Przeciw niepamięci

*Panie czasu i stworzenia  
Przez moje trzewia  
płynie Twoja ciemna rzeka  
posadź na jej brzegu kaczeńce  
każ weselić się wróblom  
muzykować świerszczom  
bym uwierzył w Ciebie  
że jesteś  
by mi było lekko umierać  
/z tomu *Przejdźcie*, Wojciech Pestka/*

TRUDNO PISAĆ O WOJTKU W CZASIE PRZESZŁYM, ale życie już takie jest, przemijamy i nie mamy na to wpływu, ważne jest to, jak żyjemy i co pozostawimy po sobie. Przyszedłem do Parafii w Jedlni w 2006 roku, w lipcu. Nie znałem parafii, nie wiedziałem jak jest rozległa, jak bogatą ma historię, znałem tylko kościół. Pomyślałem na początku, że trzeba odrestaurować świątynię, aby odkryć jej piękno. Były to lata pisania projektów i możliwości uzyskania pomocy unijnej na odrestaurowanie zabytkowych świątyń. Wcześniej, pracując w Wyższym Seminarium Duchownym w Radomiu, poznałem pana Andrzeja Grzeszczuka, z którym wspólnie pisaliśmy projekty i tym razem pomyślałem, może warto spróbować.

Na początku pobytu w Jedlni nie znałem pana Wojtka Pestki. Poznałem natomiast pana Wiesława Jaroszka i to on mnie poinformował, że mieszka tu ciekawy człowiek, który może pomóc w odtworzeniu historii regionu. Trzeba było wspomniany projekt poprzeć ważnymi argumentami i tak właśnie się stało. Gdy poznałem pana Wojtka i Jego żonę Danutę, wzajemna wymiana pomysłów i propozycji zaowocowała! Projekt został oparty o historię związaną z królem Władysławem Jagiełłą, który miał na tym terenie dwór i przybywał do niego każdego roku. Tak właśnie powstał zamysł współpracy i działania. Spotykaliśmy się z Wojtkiem na rozmowach, myśleliśmy jak zaktywizować tutejszą społeczność, co można zmienić, jak zachęcić do wspólnych działań.

W niedługim czasie powołane zostało „Stowarzyszenie Jedlnia”, które stawiało sobie za cel pielęgnowanie historii regionu oraz wspieranie inicjatyw parafialnych. Prezesem Stowarzyszenia został pan Wojciech Pestka i tak rozpoczęliśmy odkrywanie pięknej historii Jedlni i parafii w Jedlni. Następnie pojawił się pomysł organizacji festynów. Nazwaliśmy je festynami „Przeciw Niepamięci”. Każdego roku odkrywaliśmy inny fragment historii naszej Jedlni, parafii oraz okolicznych miejscowości. Z czasem zacieśniły się nasze stosunki towarzyskie i zaczęliśmy mówić do siebie po imieniu.

Chciałbym w tym miejscu wspomnieć śp. pana Tomasza Wróbla, który będąc radnym i Przewodniczącym Rady Gminy był takim super łącznikiem naszych pomysłów z Gminą. Dzięki tej współpracy udało nam się zbudować pełnowymiarowe boisko do piłki nożnej i korty tenisowe.

Kolejnym ważnym przedsięwzięciem było utworzenie gazety parafialnej po to, aby pozyskaną wiedzą i ważnymi informacjami dzielić się z parafią i lokalną społecznością. Nie da się bowiem wszystkiego przekazać z ambony w czasie kazań czy indywidualnych spotkań duszpasterskich. Pierwszy numer gazety wydaliśmy w roku 2007 pod nazwą: „Nasza Wspólnota”, która później przetrwała się w „Naszą Jedlnię”, ma ona swoich stałych czytelników i pięknie się rozwija. Redakcją zajmuje się pani Danuta Pestka oraz liczne osoby wspierające swymi artykułami kolejne numery. Ważny wkład w tworzeniu gazety miał Wojtek, który wybierał i opracowywał tematy historyczne. Na bazie artykułów zawartych w „Naszej Jedlni” powstała książka: *Jedlnia, wieś królewska*, z podtytułem: *Cud, miód i obwarzanki*, którą wydaliśmy parę lat temu. Wyjątkowo cennym działaniem związanym z odkrywaniem historii naszego regionu i parafii było wydanie reprintu książki księdza Józefa Gackiego pt.: *Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa*. Właśnie z powodu osoby ks. Józefa Gackiego wielokrotnie jeździliśmy z Wojtkiem do pana Zielińskiego mieszkającego w Radomiu, który posiadał oryginalne książki autorstwa byłego proboszcza. Celem naszych wizyt było odkupienie

cennych dla parafii ksiązek, miały one wzbogacić zbiory Izby Pamięci im. księży Tadeusza i Józefa Gackich powstałej w domu parafialnym. Cel został osiągnięty i dzisiaj możemy z dumą zwiedzać i oglądać bezcenne pamiątki.

Warto zaznaczyć, jak duży wpływ na Wojtka, a także na mnie, miała osoba księdza Józefa Gackiego. Ksiądz Józef Gacki był przecież jego sąsiadem, bo Stary Cmentarz sąsiaduje z posiadłością państwa Pestków. Myślę, że dziedzictwo ducha i historii jakie pozostawił po sobie ksiądz Józef Gacki miało dla Wojtka wyjątkowe znaczenie. Wydał książkę pt.: *Jak mało... Ks. Józef Gacki (1805-1876) zarys biografii*. Wspólnymi siłami, a także z pomocą Gminy odnowiliśmy nagrobek księdza Gackiego oraz pomnik Powstańców Styczniowych.

Ważną osobą dla lokalnej społeczności był i jest pan Stefan Grzywacz, spotykaliśmy się we trójkę, co jakiś czas, na plebanii najczęściej w czwartkowe wieczory, by po prostu porozmawiać, wymienić się pomysłami i doświadczeniami. Pan Stefan mocno stąpał po ziemi jako pracodawca i właściciel dużego przedsiębiorstwa, mówił o ekonomicznych aspektach działań, ewentualnych trudnościach czy przeszkodach i o swoich pomysłach. Wojtek patrzył na życie z perspektywy filozofa, artysty i poety. Ja natomiast dodawałem do tych cennych rozważań Boży pierwiastek i nasze sprawy polecałem Bożej Opatrzności. Jestem wdzięczny Panu Bogu za wszystkie spotkania, dyskusje, rozmowy, bo wiem, że to Bóg nimi kierował i wyprowadzał wiele dobra z tych spotkań.

Kiedy powstał projekt renowacji kościoła, pięknego zabytku, autorstwa słynnego polskiego architekta Stefana Szyllera, złożyłem wniosek w odpowiednich instytucjach i z nadzieją oczekiwałem na zatwierdzenie. Odpowiedź przyszła podczas wspólnego wyjazdu z Wojtkiem, Stefanem oraz parafianami na Białoruś i Ukrainę. Wojtka bardzo ciągnęło na Wschód, wspierał Białoruś w dążeniu do wolności, wspierał Ukrainę, Litwę, Łotwę. Miał tam wielu znajomych, przyjaciół i dzięki temu ja także miałem okazję poznania wybitnych ludzi, bo kiedy później przyjeżdżali do Wojtka tamtejsi artyści, poeci, pisarze, to odwiedzali także i mnie. Właśnie podczas tego wyjazdu dowiedziałem się, że projekt przeszedł pierwszą weryfikację i dostaniemy dofinansowanie. Wyznaczono datę spotkania w Warszawie z panem Marszałkiem Województwa Mazowieckiego. W czasie spotkania, wśród zgromadzonych gości, pan Marszałek zwrócił się do mnie i powiedział: „Gratulujemy księdzu, tylko czasu mało, bo za rok jest 600-lecie bitwy pod Grunwaldem i chcemy, żeby ksiądz zdążył z remontem kościoła

i skwerem Jagiełły, bo tam zamierzamy zrobić centralne uroczystości”. I tu także doświadczyliśmy działania Bożej Opatrzności i Ducha Świętego.

Wiele faktów historycznych przedyskutowaliśmy z Wojtkiem, odtwarzając te piękne historie. Byliśmy na Monte Cassino, by znaleźć grób sierżanta Józefa Kluza, pochodzącego z naszej parafii. Odwiedzaliśmy inne historyczne miejsca, żeby przeanalizować przebieg Powstania Styczniowego. Zależało nam, aby podnieść rangę Jedlni, bo to wspaniała miejscowość i parafia z piękną kartą historii, sięgającą związków z królem Władysławem Jagiełłą, a także historią jedynego chyba w Polsce chłopskiego oddziału powstańczego.

Udało nam się wydać kilka publikacji książkowych. Wojtek miał niesamowitą lekkość pisania, wystarczył niewielki impuls, a siadał i z łatwością pisał. Dobrze wspominam współpracę z Wojtkiem jako scenarzystą i reżyserem panem Jackiem Gwizdałą przy tworzeniu filmu o męczenniku z czasów komunizmu słudze Bożym księdzu Romanie Kotlarzu. Dziękuję Panu Bogu, że mogłem współpracować z takim człowiekiem, bez wątpienia pozostanie dla nas wielką osobowością.

Dużo rozmawialiśmy, podróżowaliśmy, odbyliśmy wiele spotkań, aby przygotować festyny, opracować kolejne pozycje wydawnicze, przemyśleć tematy artykułów do gazety. Brakuje nam Go bardzo, ale swą pracą, pasją, ofiarnością zainspirował do działania wiele osób, cieszę się, że te osoby powiększają grono redakcyjne i grono Stowarzyszenia, działając z zaangażowaniem i poświęceniem. Robimy to przecież dla naszej wspólnoty parafialnej i regionalnej, aby kolejne pokolenia mogły poznać, odkrywać i tworzyć kolejne piękne karty naszej małej ojczyzny.

Pan Wojtek miał w planach napisanie scenariusza Sądu obecnego (był to zbiór praw, który obowiązywał w Polsce od XVI do końca XVIII wieku) i liczyliśmy, że uda się ten pomysł zrealizować, choroba to uniemożliwiła. Mam jednak nadzieję, że z pomocą życzliwych ludzi, uda się scenariusz napisać, bo temu wydarzeniu chcemy poświęcić kolejny festyn „Przeciw Niepamięci”.

Będziemy pamiętać w modlitwie i zawsze życzliwie wspominać Wojtka Pestkę, pisarza, poetę, scenarzystę, wspaniałego, dobrego i ciepłego człowieka, naszego i mojego Przyjaciela. W Izbie Pamięci stanie gablota z książkami i odznaczeniami Wojciecha Pestki, poświęcona Jego działalności i twórczości, by odwiedzający mogli zobaczyć ten niezwykle bogaty dorobek literacki naszego krajana. Planujemy stworzyć Skwer im. św. Królowej Jadwigi, na nim multimedialną „Ławeczkę Wojciecha Pestki”. ■

PETRO  
KRALUK

## Wojciech Pestka w Ostrogu

ZOSTAŁEM „PRZYPROWADZONY” do Wojciecha Pestki przez pełniącego obowiązki Konsula Generalnego Konsulatu Generalnego RP w Łucku Krzysztofa Sawickiego. Tego ostatniego uważałem za jednego z nielicznych urzędników, którzy oprócz obowiązków służbowych zajmują się sprawami kultury i sztuki.

O Wojciechu dowiedziałam się, że jest poetą, prozaikiem i tłumaczem, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, publikuje dużo i często, choćby w czasopiśmie: „Twórczość”, „Odra”, „Lublin”, a jego reportaże, opowiadania i wiersze tłumaczono na język niemiecki, angielski, rosyjski, ukraiński i łotewski. Zdziwiłem się wielce, gdy usłyszałem jeszcze, że z wykształcenia jest matematykiem, zaangażowanym w badania naukowe, a w nieodległej przeszłości pracował jako ogrodnik i programista.

Konsul Sawicki sprowadził Wojciecha do Akademii Ostrogskiej na prezentację najnowszej książki *Do zobaczenia w piekle*. Zainicjował także jej tłumaczenie na język ukraiński. Prezentacja odbyła się w październiku 2012 r. To był „ciekawny” czas dla Ukrainy. Ówczesny prezydent Wiktor Janukowycz i rządząca Partia Regionów prowadzili jawną politykę prorosyjską i w istocie stopniowo

rehabilitowali stalinizm. Książka *Do zobaczenia w piekle* w pewien sposób sprzeciwiała się tej rehabilitacji.

Książka została napisana w stylu reportażu dziennikarskiego z przeplatanyimi tekstami w pierwszej osobie. Pisarz przedstawił autentyczne losy osób pochodzących z Ukrainy, Polski, Białorusi, Łotwy, okaleczonych w czasach drugiej wojny światowej przez Niemcy i Rosję. Autor bowiem uważał totalitaryzm Hitlera i Stalina za zjawiska tego samego typu.

Publikacja Wojciecha Pestki wywołała w Polsce wiele dyskusji i kontrowersji, również na Ukrainie nie jest do końca jednoznacznie postrzegana. Sam autor powiedział: „W mojej książce nie chciałem nikogo osądzać. Zależało mi jedynie na zachowaniu autentyczności relacji świadków tych strasznych wydarzeń, na pokazaniu piekła XX wieku, przez które przeszli. Opowiadałem o tragicznych losach wielu ludzi, których winą była wyłącznie narodowość”. Moim zdaniem książka ta zmusza do analizy trudnych wydarzeń w naszej historii. Jest to rodzaj dialogu między kilkoma narodami, okazja do ponownego powrotu do tych kwestii historycznych, które do dzisiaj nie tracą aktualności. ■

TŁUMACZYŁ MAREK OLEJNIK



# Mój przyjaciel i przyjaciel Ukrainy

UKRAINA PRZEŻYWA OBECNIE CZAS WIELKICH PRÓB i wielkich strat. Pokonuje te wyzwania z godnością, ale za niewiarygodnie wysoką cenę. Na froncie umiera kwiat narodu, bo ludzie świadomi swojej ukraińskiej tożsamości jako pierwsi wstępowali w szeregi wojska, stając w obronie Ojczyzny przed rosyjskim najeźdźcą. Ginie ogromna liczba cywilów, w tym dzieci. Nie da się przyzwyczaić do codziennych wiadomości o śmierci ludzi, nawet jeśli nigdy się ich nie znało ani nie widziało. Szczególnie trudno jest pogodzić się ze śmiercią osób, które znało się osobiście lub znało się ich bliskich.

Trzeciego kwietnia tego roku czekała na mnie wiadomość o śmierci bliskiej mi osoby, a wiadomość ta przyszła – ku mojemu zdumieniu – z Polski. Zmarł nagle mój przyjaciel Wojciech Pestka, polski poeta, prozaik i tłumacz.

Ta strata mnie zaskoczyła. Minęło już prawie pięć miesięcy, a ja nie mogę się oswoić i pogodzić z faktem, że Wojtka nie ma z nami.

Wojciech Pestka był nie tylko moim przyjacielem, ale także przyjacielem Ukrainy. Tłumaczył i promował twórczość pisarzy ukraińskich w Polsce, brał aktywny udział we wspólnych ukraińsko-polskich projektach artystycznych, wielokrotnie odwiedzał Ukrainę, nawiązując współpracę z pisarzami ukraińskimi, czy też prowadził prezentację własnych książek przetłumaczonych na język ukraiński.

Po 2014 roku, kiedy Rosja zaanektowała Krym i zajęła część obwodów donieckiego i ługańskiego, Wojciech zaczął przyjeżdżać częściej.

Uważał za swój obowiązek, aby jak najwięcej osób w Polsce i w ogóle w Europie dowiedziało się, co naprawdę dzieje się na Ukrainie, wbrew wszystkim kłamstwom szerzonym przez Rosję. Wojciech spotkał się z uczestnikami ATO (operacji antyterrorystycznej) w Łucku

i Kijowie, odwiedził nawet strefę działań bojowych, co było dość trudne i oczywiście niebezpieczne

Sporządził serię raportów na ten temat. Napisał także scenariusz filmu, którego akcja rozgrywa się na wschodzie Ukrainy.

Często omawialiśmy wszystko, co działo się w moim kraju. Kiedy kolejny raz dzieliłem się swoim bólem, a Wojtek powiedział: „Napisz o tym”. Brakowało mi jednak energii, czułem się bezsilny i zdruzgotany.

Nigdy nie nalegał, ale czasami udawało mu się mnie zmusić do aktywnych działań. Byłem Mu wdzięczny, nie jeden raz korzystając z Jego podpowiedzi udało mi się coś napisać.

Śmierć Wojciecha Pestki zasmuciła nie tylko mnie, ale także wszystkich naszych wspólnych znajomych, których miał wielu na Ukrainie. Ludzie chętnie utrzymywali kontakty z Wojciechem, bo był człowiekiem o dobrej duszy (ani razu nie widziałem go w złości), nigdy nie okazywał egocentryzmu, z którego słyną pisarze.

\*

Myślę, że wszyscy, którzy znali Wojciecha Pestkę, podziwiają żal jego rodziny.

Wojciech pozostawił po sobie spuściznę twórczą – owoce swojej wieloletniej pracy i nie wiem, czy Bóg zapyta go, jakim był pisarzem, czy nie, ale na pewno zapyta, jakim był człowiekiem.

Oczywiście Bóg nie potrzebuje naszych rekomendacji i naszych świadectw. Jestem pewien, że Wojciechowi też nie będą potrzebne.

Jego dusza jest czysta i nieskalana. Krewni i bliscy mogą tylko żałować, że tak wcześniej opuściła jego ciało.

Będzie nam brakować Wojciecha Pestki, teraz będzie żył tylko w naszej pamięci. ■

TŁUMACZYŁA IWONA KOŁODZIEJ

## rutyna

podciągam się  
każdego dnia  
to mój codzienny rytuał  
pnę się coraz wyżej i wyżej

byłem małym, śmiesznym chłopcem  
płaczącym w beciku  
podciągam się  
jestem pryszczatym wyrostkiem  
nieśmiałym licealistą  
marzę o kobiecie mego życia  
roli namiętnego kochanka, samochodzie  
(wystarczy fiat 126p na początek)  
i beztróskim życiu

podciągam się  
jestem studentem  
z optymizmem patrzę w przyszłość  
czekam na obronę pracy magisterskiej  
(nie pamiętam tematu)  
i syna  
który będzie taki jak ja  
opowiem mu o sobie wszystko  
podciągam się

jestem ojcem rodziny  
nie mam czasu  
zasadziłem drzewo, buduję dom  
robię wykopy pod fundamenty  
żeby przetrwał wszystkie burze  
na wszystko inne przyjdzie czas później  
nie wiem czy o to mi chodziło  
podciągam się

dom stoi pusty  
dzieci rozbiegły się po świecie  
podciąganie weszło mi w krew  
wyznacza rytm  
nie potrafię się od niego uwolnić  
rutyna  
podciągam się ku starości  
wbrew sobie

## DNA

oświadczam  
że jestem sobą  
mimo podejrzeń i wyrażanych wątpliwości  
nie podszywam się pod kogoś innego

zamierzam powołać świadków  
którzy potwierdzą moją prawdomówność  
chór erytrocytów, leukocytów oraz trombocytów  
znają wszystkie moje tajemnice  
docierają do ukrytych głęboko komórek

gdyby rozmaz krwi obwodowej  
nie okazał się dostatecznie wiarygodny  
proszę o odtajnienie genetycznego kodu  
przeprowadzenie ekspertyzy  
z DNA

## monodram\*

siedem, przecinek, osiem dziesiątych  
każdego roku przybywa kandydatów – zero,  
przecinek, sto trzydzieści jeden tysięcznych  
każdego roku odchodzi zero, przecinek, zero  
pięćdziesiąt pięć tysięcznych  
ogólna liczba osób próbujących w zawodzie sił jest  
szacowana na sto osiem, przecinek, zero

mamy wielowiekową tradycję  
każdy z nas  
w odmienny sposób  
gra swoją życiową rolę

\*liczone w miliardach

## który przychodzisz we śnie

nie wiem kim jesteś  
który przychodzisz do mnie we śnie  
stopą mojej nogi uciekającej w popłochu  
moją ręką sięgającą po nóż  
brzuchem mojego brzucha  
wspomnieniem sznura zaciśniętego na szyi skazańca  
upominasz się o swoje niezbywalne prawa

nie wiem kim jesteś  
skąd przychodzisz  
co przynosisz  
jakim językiem przemawiasz

nie chcę wiedzieć

## przebieg zatrudnienia

najpierw zatrudniono mnie jako noworodka  
żeby zademonstrować radość oczekiwania

później występowałem w roli ucznia-prymusa  
byłem chodzącą ilustracją dumy z potomstwa

po ukończeniu osiemnastu lat  
otrzymałem dowód osobisty na potwierdzenie dorosłości  
zatrudniono mnie w charakterze chłopca do bicia  
ze wszystkich stron sypały się na mnie razy  
tak jest do dzisiaj  
niektóre uderzenia z wiekiem odczuwam coraz bardziej boleśnie

w planach jest zatrudnienie mnie jako nieboszczyka  
w rozliczeniu:  
kolorowe znicze z wkładem o czasie palenia od 15 do 120 godzin  
(do wyboru ponad trzysta modeli)  
wieńce z plastiku i wiązanki – nieutuleni w żalu  
wieczna pamięć

## oddech ulgi

czasami pozwalam sobie  
na wypady w przyszłość  
w czasy  
kiedy mnie nie będzie  
wtedy jestem i żyję  
wbrew prawom natury  
szukam skamieniałości  
tropię swoje ślady

nic nie wygląda znajomo  
krajobraz trudny jest do określenia  
rozmowa niemożliwa

obcy nie są problemem  
nadają na innej fali  
słyszają piąte przez dziesiąte  
przeszkadzają im klapki na oczach  
widzą tylko siebie  
z zapamiętaniem  
tropią swoje ślady

wracam – oddycham z ulgą

## Narczyz

jestem w ciągłych podróżach  
pomiędzy sobą a sobą  
wyjazdy mają charakter służbowy  
zlecenie wystawiono z datą wsteczną

nie mam do siebie zaufania  
nie jestem pewien miejsca  
zbyt mało o sobie wiem  
żeby w siebie nie wierzyć

## lege artis

jestem adwokatem dobrego diabła  
osobiście nie wyrządzam nikomu krzywdy  
według wszelkich reguł sztuki zarządzania  
dzielę  
nadając kolory i oznaczenia  
etykiety dobrych i złych  
wrogów i przyjaciół  
kreślę granice

uderzam pięścią w stół  
podziały rosną  
nożyce milczą

## wartość bezwzględna

osie wykresu: emocje i czas  
dalej listowie pomniejszych szczegółów  
moje podniebne wzloty i bolesne upadki  
od euforii, przedawkowania optymizmu  
do zaniku oznak życia  
śmierci klinicznej

w realu  
liczy się wartość bezwzględna  
rozkład zębów  
ponad osi czasu

## przetarty szlak

Ojcu

nie do przodu, nie bokiem  
nie z zamkniętymi oczami  
inne możliwości kategorycznie wykluczone  
decyzja co do wyboru chwili zapadła  
zawsze zostawia wiele do życzenia

czas nasz był monotony  
pejzaż płaski jak stół  
miesiąc złożony z dni roboczych  
podskórnych, płytkich snów  
rozmów, do których nie doszło

czereśnia za oknem zrzuca liście  
rok po roku  
idę przetartym szlakiem  
powłócząc nogami

## zasłona wstydu

*Doświadczenie jest  
produktem rozumu*  
Immanuel Kant

w tym miejscu  
człowiek teoretyczny spotyka się z człowiekiem  
realnym  
twarzą w twarz  
rano, w południe albo wieczorem, czasami  
nocą  
zazwyczaj są rozdzieleni  
nie przyznają się do siebie

spotkanie jest gorzkim doświadczeniem  
powodem bolesnej zadumy i rozczarowania  
formą i treścią  
wypróżnienie przynosi ulgę

## być albo nie być

stoję przed trudnym wyborem  
guziki czy zamek błyskawiczny  
decyzja będzie miała znaczenie  
choć miecz kata nie wisi na włosku

guziki mają chlubną tradycję  
tworzyły historię  
ich obecność lub brak  
decydował o śmierci albo poczęciu

zdradziły niejednego  
niejednego wystawiły na pośmiewisko  
brały stronę natury  
żądź barbarzyńskich i zwierząt

suwak ma metaliczny posmak  
jest zwiastunem  
nowego świata demokracji  
bez naleciałości i grzechów guzika  
choć ze skłonnością do zacięć

tyrania czy demokracja  
spodnie na wieszaku

## miłość własna

trzeba ją trzymać pod kluczem  
w ryzach  
nie spuszczać ze smyczy  
inaczej zacnie podszywać się pod wiarę  
przenosić góry  
kopać wilcze doły

zapierać się po trzykroć  
w obecności innych  
robić do niej perskie oko  
pozwalać sobie jedynie na krótkie spotkania  
twarzą w twarz  
nocą na bezludnej wyspie

trzeba pamiętać – urażona  
może wbić nóż  
w serce



# Inaczej przestaniesz być człowiekiem

Z Wojciechem Pestką rozmawia Olga A. Wiewióra



**Porozmawiajmy o...**

... o kobietach.

**Możemy od tego zacząć. Wszystkie twoje Julie są do siebie podobne. Czy to przypadek?**

Zaprzeczam. Dla mnie istotnie się różnią, ale może to utrwalona w podświadomości tęsknota za wymagowanym ideałem.

**Ale są nieodłącznym elementem opowiadanych przez ciebie historii, czasem mam wrażenie, że unoszą się jak mgła, gdzieś w tle, poza kadrem, ale ich obecność jest trwale powiązana z twoim pisaniem. Jak to się zaczęło?**

Z czym? Z Juliami?

**Z pisaniem, kiedy nastąpił ten zwrotny moment?**

Nie wiem, chociaż brzmi to banalnie. Zaczę od trywialnego stwierdzenia, które może stanie się dobrym punktem wyjścia do rozmowy, w języku matematyki nazywano by go pewnikiem: każdy człowiek ma w swoim życiu pewien zasób czasu do wypełnienia. Wczoraj jest już znane, nie podlega modyfikacjom – było – można go jedynie wybiórczo komentować i interpretować, dyskusyjna pozostaje kwestia jutra. Wybór jest nieograniczony. Ja próbuję się życiem cieszyć, a wszystko inne, czyli w moim przypadku pisanie, jest elementem tej zabawy. Nie działałam w poczuciu misji do wypełnienia, nie czuję na sobie ciężaru odpowiedzialności, że muszę napisać coś ponadczasowego, że muszę zbawić świat, zaistnieć. Jestem i na swój mały sposób zbawiam mój mały świat każdego dnia, robiąc gorzej lub lepiej swoje.

**To brzmi niczym manifest. Jeszcze raz zapytam – od czego zaczęło się twoje pisanie? Musiał być jakiś początek.**

Na to pytanie jest kilka odpowiedzi. I żadna z nich nie wyczerpuje problemu. Myślę, że kiedyś, kiedy zaczynałam pisać, strasznie imponowało mi to, że ktoś to, co napiszę, potraktuje poważnie i może coś znajdzie w tym dla siebie. To jest taka romantyczna wizja pisarza. Zaczynałam w czasach, kiedy pisanie było zajęciem nobilem.

Człowiek zajmujący się sztuką mógł sobie pozwolić na więcej w myśleniu o sobie i świecie. I jakoś te reguły socjalistycznej obyczajowości nie krępowały go aż tak bardzo jak komercyjne reguły rynku dzisiaj. Patrząc z perspektywy dzisiejszego dnia na siebie widzę, jak w pewnym okresie swego życia byłem głupi i trudno było mi skontretyzować wyobrażenia, na co mnie stać i co powinienem robić. I pewnie z tej głupoty, z przeszacowania swoich sił i możliwości, z braku rozeznania w życiu i świecie zacząłem pisać. I to jest ta druga możliwa odpowiedź.

Trzecia odpowiedź to pycha. Człowiek uzurpuje sobie prawo do narzucania innym własnej interpretacji świata. Uważa, że jest to o tyle uzasadnione, gdyż traktuje własne, osobiste przeżycia jako bardzo wyjątkowe i niepowtarzalne; rzeczy, które mu się przytrafiają w życiu, zasługują na uwagę innych. I to jest ta swoista pycha, bo w tym, co go spotyka jest bardzo pospolite. I mimo, że nadaje czasami tym zdarzeniom jakąś symbolikę wykraczającą ponad rzeczywistość, to jednak to wszystko jest wydumane i robione na zamówienie, aby uzasadnić swoją wyjątkowość.

**Mimo to zająłeś się pisaniem. Mogłeś robić wiele rzeczy, poczynając od pracy naukowej...**

Jest w człowieku jakaś przekora. Zawsze zmierza w kierunku swojej niekompetencji i w momencie, kiedy w czymś staje się ekspertem, zaczyna szukać przestrzeni, której nie zna po to, by tam siebie wystawić na próbę. To jest jedna strona. Inna jest taka, że życie nie lubi ludzi, którzy czegoś bardzo chcą. I tym swoim „chcieniem” pragną kreować rzeczywistość. Oczywiście, wiele rzeczy im się udaje. Upewniają się w swoich przekonaniach. Ale życie jest przewrotne i lubi kpić...

**Czy potrafisz powiązać początek pisania z jakimś konkretnym epizodem w twoim życiu?**

Trudno mi określić ten początek, nie popełniając błędów w datowaniu, ale na pewno znaczenie miały praktyki robotnicze, podczas których znalazłem się w kręgu polonistów. To byli studenci z II roku Uniwersytetu Wrocławskiego, a ja byłem na I roku matematyki. Dołączono mnie

w ostatniej chwili. Cała grupa się знаła, tylko ja wśród nich byłem tym jedynym, który raz, że nie bardzo wiedział, o kim i o czym rozmawiają, i który trochę inaczej myślał o świecie (byłem chłopakiem z małego, prowincjonalnego miasteczka), no i jeśli chodzi o dojrzałość w tym podstawowym, biologicznym i emocjonalnym sensie, był w stosunku do nich spóźniony, mniej więcej o dwa lata. Mieszkaliśmy w jednym dużym pokoju, często nasze rozmowy, albo raczej ich rozmowy, dotyczyły poezji, literatury, książek, których nie znałem, nie przeczytałem. Tak to się zaczęło. Wróciłem z praktyk nakręcony tą literackością i literaturą. Czy wtedy zacząłem pisać, żeby sobie udowodnić, tak jak robili to oni, że też potrafię – nie pamiętam. Nie miałem wtedy jeszcze takiej świadomości, że jako matematyk mam narzędzia, które przeniesione w inną przestrzeń tworzenia dają możliwości wydobycia innego tonu, sięgnięcia po inne odcienie, pozwalają mi się różnicować, mówić swoim głosem – logikę, te wszystkie matematyczne techniki dowodzenia czegoś, wnioskowania, tworzenia różnego rodzaju teoretycznych światów czy selekcjonowania cech istotnych dla jakiegoś obiektu, badania struktury. Co wtedy i teraz wydaje mi się wadą? Że nie mam gruntownej wiedzy o literaturze i jej historii, i z polonistami trudno mi nawiązać poważną, literaturoznawczą dyskusję, bo moja wiedza jest cząstkowa, mocno fragmentaryczna. Poznawałem literaturę wybiórczo, często korzystałem z podpowiedzi tych, którzy ją znali lepiej. Czasami na zasadzie przypadku, bo coś mnie zafascynowało w innej kreacji, np. filmowej i sięgałem po książkę. Generalnie: moja wiedza na temat teorii i historii literatury jest niekompletna.

### Zacząłeś od spotkania z polonistami. To niebezpieczne środowisko.

Poruszali się w takim obszarze, który wyzwalał moje emocje, trochę znałem ze szkoły średniej, byłem wówczas pod wielkim wrażeniem egzystencjalistów, więc z tego punktu widzenia miałem jakąś wspólną płaszczyznę do rozmowy.

W każdym razie po powrocie do Wrocławia napisałem pierwsze wiersze. W swojej pysze i zarozumiałości zapakowałem je do koperty i wysłałem do „Odry”. Kilka dni później dostałem od Tymoteusza Karpowicza prośbę o spotkanie w redakcji. Od moich gospodarzy ze stacji, wrocławskich artystów dowiedziałem się, że to jeden z największych, współczesnych, polskich poetów i spotkał mnie niezwykle zaszczyt. W redakcji rozmawialiśmy więcej niż pół godziny i ta rozmowa zmieniła mój sposób patrzenia na literaturę i patrzenia na świat.

Jak widząc kroplę, wyobraźnią sięgnąć oceanu, przeniknąć jego właściwości – drogą dedukcji potwierdzić

nie tylko sam fakt jego istnienia, lecz wnioskować o jego przymiotach: że będzie się burzył, że będzie niebezpieczny, o nieokiełznanej naturze... I odwrotnie, widząc ocean, dostrzec i zastanowić się, czym jest jego najdrobniejsza cząstka, element pierwszy – kropla. Co musiało się stać, jaką drogę musiała przebyć, żeby trafić do oceanu. Że trzeba wyjść poza te oczywistości, które podpowiada wyobraźnia i zmysły, pójść dalej, za ten pierwszy próg tajemnicy, jaką każda rzecz na świecie, kamień, roślina, człowiek są otoczone.

Wtedy Karpowicz zwrócił mi uwagę na to, jakie niebezpieczeństwa niesie łatwość pisania wynikająca z romantycznego, emocjonalnego traktowania twórczości. I jak trudny jest proces docierania do istoty, wchodzenia w logikę rzeczy i zdarzeń, analityczne sposoby kreowania świata literatury, rozbierania na czynniki pierwsze i kontrolowania procesu syntezy. Podarował mi wtedy „szcotkę” tomu swoich wierszy „Odwrócone światło”, który dostał do korekty z drukarni. Tak wyglądał przed laty mój pierwszy kontakt z „Odrą”.

Przyjąłem te rady z pewnym niedowierzaniem. Trzeba było czasu, nim do nich dorosłem. Dalej wolałem pisać – „lasu szum pieszczotliwy opada koliście/ przebrzmiała metafora/ z martwych dzwonią liście/” – to wydawało mi się bardziej poetyckie. Na odległość pachniało poezją. Spotkanie z Karpowiczem to był rok prawdopodobnie 1970. Dwa albo trzy lata później przenieśliem się do Lublina. I w Lublinie te wiersze, które nie podobały się Tymoteuszowi Karpowiczowi, zaniósłem do redakcji „Kamenu”. Wydrukowali. Ale czy to były te właściwe początki?

### Wrocław dał impuls, a Lublin pozwolił ci zadebiutować.

Debiut wówczas miał trochę inną rangę niż dzisiaj, ponieważ pism literackich było niewiele i przebić się w piśmie o charakterze społeczno-kulturalnym na publikację było bardzo trudno. Przestrzeń literacką zorganizowano w taki sposób, że rocznie miejsce na debiut książkowy było dla może dziesięciu, dwunastu poetów. To nawet nie było odgórne ustalenie, ale literackie wydawnictwa miały zakodowane, że poetów nie może być zbyt wielu, że kraj potrzebuje robotników, więc ograniczano się do kilku nazwisk rocznie. W każdym razie po tym tak zwanym „debiucie” wszedłem do lubelskiego środowiska literackiego.

Traktowano mnie raczej nieufnie, bo byłem z innego, wyspekulowanego świata, w którym rządono się „szkiełkiem i okiem”, nie dostąpiłem „poetyckiego” wtajemniczenia. Nie wiem, na ile to był przypadek, na ile konsekwencja poszukiwań i uporczywych starań, ale związałem się z lubelską grupą poetycką „Samsara”. W wersji anegdotycznej wyglądałoby to tak, że w drodze do baru na



Bardijów, Słowacja (2018). Wojciech Pestka, Iwan Jackanyn, Zbigniew Włodzimierz Fronczek

piwo spotkałem wracających stamtąd i zniesmaczonych brakiem złocistego trunku młodych wówczas ludzi, którzy dla rozładowania frustracji postanowili w redakcji „Kameny” zaanonsować się jako grupa literacka. Byłem w takim samym stopniu sfrustrowany, więc przyłączyłem się do nich. I od razu zrobiliśmy sobie zdjęcie – Zbigniew Włodzimierz Frączek, Stanisław Królik, Marek Kusiba – to było trzecie pokolenie „Samsary”. Po nim grupa przestała istnieć. Może zbyt serio podeszliśmy do sprawy?

Napisaaliśmy wspólnie kilka wierszy później opublikowanych wraz z manifestem w „Kamienie”, w którym kwestionowaliśmy intymność, zindywidualizowany charakter aktu twórczego. Nasze wiersze podpisałyśmy nazwiskami wszystkich członków grupy. Ton dialogu z systemem, z powracającą w pierwszym okresie „panowania” Edwarda Gierka, mimo złych doświadczeń lat pięćdziesiątych, ideą kolektywizacji życia społecznego, był prowokacyjny. Pytaliśmy, czemu koncepcji PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, które tak dobrze, według władz, sprawdziły się w tamtej rzeczywistości, nie przenieść na grunt literatury?

Zakwestionowaliśmy istotę aktu poetyckiego. Potraktowano to bardzo serio jako oddolny,

narodowo-socjalistyczny nurt poetów-komunardów. Zresztą, na naszej fotografii jesteście upozowani właśnie na komunardów z rewolucji francuskiej. Cenzura potraktowała to bardzo serio i... pozwoliła nas drukować. W tym miejscu kończył się wygłup, choć z literackim podtekstem, a zaczynało się spadanie.

### Co stało się później?

Później był zbiorowy wieczór autorski. Na małej, ręcznej drukarence złożyłem tekst „Pamiętka ze spotkania autorskiego Samsary” z datą. W sklepie z dewocjonaliami kupiliśmy święte obrazki i zrobiliśmy nadruk na ich odwrocie. Wszystkim, którzy przyszli, a było to wydarzenie znaczące w tamtym czasie i na wieczór stawił się tłum, wręczyliśmy tę pamiętkę. Świętej pamięci Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, w trakcie spotkania ubrany w szlafmycę i nocną koszulę, chodził po sali ze świeczką, intonując cerkiewne psalmodie – miało to nawiązywać do „Mistrza i Małgorzaty”, szpitala wariatów.

Kulminacją wieczoru była bitwa o literaturę. Przytaszczyliśmy beczkę kiszonych ogórków, zakładając, że posłużą jako ewentualna zakąska i ciskaliśmy nimi w publiczność. Kto miał wódkę, a większość doskonale wiedziała, →

czemu służą takie poetyckie starcia i odpowiednio się przygotowała, mógł wypić pod samsarowego ogórka. Kto nie miał wódki, walczył do upadłego. Wódki było dużo, była tania i dostępna na każdym kroku, jeśli był z czymś problem to właśnie z ogórkami. Dlatego potraktowano je z właściwą powagą.

Oczywiście, na wieczorze był cenzor. Był zniesmaczony naszym podejściem. Zarzucił nam odwoływanie się do religijnych elementów, dopatrywał się w spotkaniu prowokacji i naśmiewania się z realiów socjalizmu, sprowadzanie idei twórczości do absurdu.

**To był Lublin, „Samsara”, „Kamena”, lata 70. A dalej?**

Dalej nie było nic, bo skończyłem matematykę i wraz z dyplomem dostałem skierowanie do pracy. Zgodnie z prawem miałem obowiązek odpracowania studiów. Zostałem zatrudniony jako programista w Hucie Szkła Okiennego „Sandomierz”, gdzie znajdował się wtedy jeden z dwu najnowocześniejszych komputerów w Polsce – „Honeywell Bull”. Drugi taki sam miała Służba Bezpieczeństwa, konkretnie Wydział „C” zajmujący się prowadzeniem kartotek. Prawdopodobnie, ponieważ eksport wysoko zaawansowanych technologii informatycznych z Zachodu był ograniczony. Kupiono hutę szkła okiennego z przestarzałym patentem na produkcję, aby móc „w zestawie” zażądać komputera i wykorzystać go do innych celów. Jednak Anglicy przewidzieli taką ewentualność i wbudowali w sprzęt jakieś ograniczenia, z powodu których system nie uzyskiwał pełniej mocy obliczeniowej, choć i tak był w tamtych polskich warunkach najnowocześniejszy. Więc służby straciły zainteresowanie i odpuściły. Pracowaliśmy nad systemem automatyzacji rozkroju szkła i dystrybucji. Po roku rozwiązali nasz zespół i wszystkich nas zwolnili. To była kara za nagrodę.

**Kara za nagrodę?**

Napisaliśmy z nudów ambitny projekt (dziś powiedzielibyśmy, że innowacyjny) i dostaliśmy prestiżową, także finansowo, nagrodę Ministra Budownictwa II stopnia. Nasz dyrektor poczuł się zagrożony i rozwiązał zespół. Trudno było mu wyobrazić sobie, że bez jego wiedzy, wręcz w tajemnicy, kosztem prywatnego czasu napisaliśmy program i wysłaliśmy na konkurs. Dowiedział się o nagrodzie jako ostatni. Nie potrafił zrozumieć, z czego wynikał nasz sukces, czym założyliśmy sobie na nagrodę. Na domiar złego pojawiało się zagrożenie, że trzeba będzie wdrożyć nasz program i będzie to robione pod nadzorem ministerstwa. Zjednoczenie nie wzięło nas w obronę, chociaż doskonale wiedziano, że mimo komputerów i nowoczesnych urządzeń do analizy wszystko robione jest ręcznie. Huta funkcjonowała na zasadzie ręcznego

zarządzania. Sterowane przez komputer urządzenia do dozowania surowców, zasypu wanien czy rozkroju tafli szklanej włączano, kiedy przyjeżdżały zagraniczne delegacje. Na co dzień główny technolog po prostu wychodził przed bramę zakładu, patrzył na komin, na układ dymu, na temperaturę i ciśnienie atmosferyczne, i na tej podstawie podejmował decyzję o proporcjach komponentów i produkowanym w tym dniu asortymencie szkła.

**Mam wrażenie, że mentalność pełna podejrzliwości, zazdrości i niegospodarności, o której mówisz, wciąż w nas, Polakach, tkwi. Po roku zostałeś bez pracy. Co dalej z pisaniem?**

W Sandomierzu wygrałem konkurs poetycki na wiersz o mieście. I stąd w 1975 roku trafiłem do Częstochowy na uczelnię [WSP w Częstochowie, obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza]. Byłem przewodniczącym Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, któremu patronował Związek Literatów Polskich, byliśmy organizatorami pierwszych edycji konkursu poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej, kiedy przyjeżdżali do nas ludzie z Warszawy, Lublina, Wrocławia... Przewodziłem Klub Studencki „Tunel”. Pamiętam Tadeusza Gierymskiego i jego syna Wojtka, który świetnie zadebiutował. Mówiło się złośliwie, że ojciec napisał mu wiersze. Ale to był silny debiut ogólnopolski. Tam ukazały się w 1976 roku moje dwa zeszyty poetyckie: *Zwykła rozmowa* i *Miasto*. Ten ostatni z fotogramami Wojtka Prażmowskiego. Niezależnie od tego uczyłem się na seminarium doktoranckim organizowanym przez Polskie Towarzystwo Matematyczne, zamierzałem pisać pracę o sieciach Petriego.

A po Częstochowie trafiłem z „wilczym biletem” na wieś, przez dwadzieścia lat pracowałem na roli, orałem ziemię, siałem... Dobrze, że mam krótką pamięć. Nawet w szkole podstawowej nie pozwolono mi pracować. W odmowie stwierdzono, że brak mi wiedzy i kompetencji do nauczania matematyki, a poza tym moja postawa budzi zastrzeżenia. Jakże? – nie napisano.

**Represje wobec ciebie wynikały z prowokowania władzy?**

Właściwie nie. Byłem grzeczny. Nie zadzierałem z władzą, choć od czasu do czasu zdobywałem się na różne wygłupy. Ale to nie były akty polityczne, raczej demonstracje artystyczne. Pamiętam jedną z nich. Przyszło polecenie, że wszyscy pracownicy naukowcy i studenci muszą wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym. To było po Czarnobylu. Kazałem sobie zabandażować oczy. Byłem, znajomi prowadzili mnie w pochodzie, ale nic nie widziałem. Później zażądali ode mnie wyjaśnień, co to

miało znaczyć. Tłumaczyłem się dosyć głupio, że nic nie miało znaczyć. Można spytać, czego było w tym więcej – nieposłuszeństwa czy bezmyślności? Można było przecież drażnić władzę w sposób znacznie bardziej zasadniczy i ciekawszy. Ale czy to znaczyło, że miałem z władzą na pieńku?

**Jest jakaś zadziwiająca zbieżność w naturze wszystkich przemocowych rządów – nie mają poczucia humoru i nie rozumieją absurdalnych żartów. To budzi strach i wściekłość. Jak sobie po tym radziłeś?**

Potem była wieś. Kiedy wiedziałem już, że nie dostanę pracy nigdzie, dotarło do mnie, że nie będę mógł także nigdzie niczego opublikować. A później ogłoszono stan wojenny: od czasu do czasu przyjeżdżali mnie kontrolować, szukali bibuły. Miałem satysfakcję, że puściłem wszystko z dymem. Śmiałem się im prosto w oczy. Więc żeby mnie upokorzyć, zażądano, bym pełnił nocną straż – z pałką do obrony własnej i biało-czerwoną opaską na ramieniu, w starym waciaku i gumofilcach, bo mrozy były wtedy niemożliwe. Pilnowałem wsi przed atakami nierobów i złodziei – tak nazywano strajkujących robotników. Kontrolowali mnie po kilka razy jednej nocy, bawili się dobrze, widząc moją niezdarność i strach, kiedy broniełem się przed atakami bezpańskich psów. To były tak zwane „stróże”.

**A jak reagowała na ciebie wieś?**

Najdziwniejsze, że traktowano mnie jako wroga robotników i chłopów, chociaż tak naprawdę byłem jedynie wrogiem głupoty, czy, mówiąc innymi słowami, wrogiem takiego typu zachowań, które gloryfikowały bierność i bezmyślność. Wykreowano mi na wsi opinię człowieka podejrzanego o... i tu wymieniano wszystkie możliwe przestępstwa przeciw zwyczajowi i prawu. Omijano mnie z daleka, utrudniano zakup nawozów, węgla, materiałów budowlanych, maszyn rolniczych. Byłem zdany na łaskę wsi, kółko rolnicze, gminną spółdzielnię. Nie miałem pieniędzy, maszyn, wiedzy o gospodarowaniu.

Długo nic nie pisałem, ale przecież człowiek, który zachłannie czyta, nie może bronić się wciąż przed pisaniem, jest w sytuacji nałogowego alkoholika – kiedyś ze sobą przegra. Inna sprawa, że musiałem z determinacją walczyć o fizyczne przetrwanie: orać, siać, zbierać, obrządzać inwentarz... Od 1980 do 2000 roku. Po tych dwudziestu latach, w chwili słabości, napisałem kilka nowel, chcąc żartować z siebie i rzeczywistości. Tak mi się przynajmniej wydawało, że to ja rozdają karty, kontroluję sytuację i w każdej chwili będę mógł zerwać z pisaniem. To była jedyna możliwość przeciwstawienia się temu światu w bezpośredniej konfrontacji. Później napisałem

z podobnych pobudek opowiadanie *Romeo i Julia*. I kolejne – *Wróble nie odlatują*.

Mówią, że na początku każdemu graczowi hazardowemu idzie karta, dostaje na zachętę bonus. Tak było i ze mną: co było możliwe na tym etapie amatorskiej, radośnej twórczości, udało mi się osiągnąć. Ileś tam konkursów, jakieś nagrody. Próbowałem te osiągnięcia zdyskontować w poważnym świecie poważnej literatury, lecz nikt się tym moim pisaniem nie zainteresował. Jeśli już, to raczej lista konkursów, w których dostałem nagrody wzbudzała uśmiech politowania i wesołość.

**Co stało się z tymi dwoma opowiadaniem *Romeo i Julia* i *Wróble nie odlatują*?**

Są w zbiorze *Ballada o żyletce*.

**Na okładce umieściłeś osobiste wyznanie „Pisanie jest dla mnie desperacką próbą scalenia świata, złożenia go z oderwanych, często przypadkowych, wadliwych fragmentów w mniej lub bardziej spójną całość, znalezienia własnego miejsca na pełnej białych plam, rozpalonej mapie słońca”...**

To prawda. Opowiadania były próbą określenia swego miejsca w świecie pomiędzy przeszłością i przyszłością, śmiercią i życiem, tym co w środku i na zewnątrz. Zbudowałem dom – dwa razy cofano mi pozwolenie na budowę, ostatecznie zlokalizowano budynek w pasie pomiędzy starym a nowym cmentarzem – dziś mówię, że mam spokojnych sąsiadów. Śmierć ojca, który pomagał mi i towarzyszył w mojej walce ze wsią, przyrodą, moimi wyobrażeniami o sobie, była jak uderzenie prądem elektrycznym.

**Powiedziałeś, że ponieważ nie mogłeś bezpośrednio zmierzyć się z rzeczywistością, która cię otaczała, w związku z tym postanowiłeś dać jej odpór w pisaniu. Czy to jest właśnie istota pisania – odreagowanie terażniejszości?**

Potraktowałbym to raczej w kategorii sporu z rzeczywistością. Wtedy to był etap, w którym odreagowywałem swoje krzywdy domniemane i rzeczywiste. Dzisiaj mogę z perspektywy lat powiedzieć, że tych pierwszych, domniemanych było więcej. A poza tym był to jakiś żart z tej rzeczywistości, bo śmieszyło mnie także i to, że piszę coraz dziwniejsze rzeczy, a poważni recenzenci nabierają się na to moje pisanie.

**Twoje opowiadania są pełne odniesień do wsi, rodzinnej mitologii...**

Ojciec pochodził z poznańskiego. Babcia brała udział w strajku dzieci we Wrześni, a mój dziadek wygrał →

przetarg na roboty ciesielskie na budowie Państwowej Wytwórni Prochu i Materiałów Kruszących w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego. W rodzinie mówiło się, że dziadek miał anomalie anatomiczną – dwa serca, stwierdzono to podczas badań po wypadku i o jego ciału ubiegały się uczelnie medyczne z Wiednia i Berlina. Drugi z dziadków, od strony mojej mamy, był kowalem. Służył w carskim wojsku, brał udział w mandżurskich wojnach. Elementy rodzinnej sagi odbijają się jak w lustrze w tekstach opowiadań.

### Wspomniałeś o ojcu...

To bardzo ważna dla mnie postać, jego życie to kolejny element rodzinnej sagi. Przed wojną terminował w zakładowym sklepie. W czasie okupacji handlował po wsiach igłami, lutował miednice i garnki w zamian za żywność. Zatrzymany przez Niemców i wywieziony na roboty przymusowe, zbiegł i ukrywał się w okolicach Kodnia, walcząc w oddziale AK. Po ujawnieniu się oddziału uciekł z kolejowego transportu i zgłosił się, żeby zatrzeć za sobą ślady, do 2. Armii Wojska Polskiego, która formowała się na Majdanku w Lublinie. Został czołgistą, walczył pod Budziszynem, a po zakończeniu wojny został skierowany do oddziałów walczących z UPA pod rozkazami gen. Karola Świerczewskiego. Po przeniesieniu do cywila zamierzał podjąć naukę, więc skierowano go na kurs przygotowawczy na studia w Wojnowicach. Mamę poznał na peronie kolejowym we Wrocławiu, gdzie studiowała już rachunkowość. To w radykalny sposób zmieniło ich życiowe plany. Zatrudnił się jako cywilny pracownik Wojska Polskiego – dokonywał odbioru materiałów wybuchowych i amunicji dla wojska. Dostali mieszkanie w blokach, które zbudowali dla siebie junacy przesiedleni z Nowej Huty. Dwa lata po ślubie urodziłem się ja.

### Losy twoje i twojej rodziny są rzeczywiście spletem żywej historii, często prowokacyjnej. Czy twoje pisanie także ma rys prowokacji?

Trochę czuję się prowokatorem-performerem. Ale uważam, że są ludzie lepiej przygotowani do pisania niż ja. Więc cały czas myślałem, że skoro odnoszę jakieś drobne sukcesy – tak dziś na to patrzę, choć wtedy oceniałem je znacznie bardziej poważnie – to wcześniej czy później ktoś krzyknie – „ten człowiek jest totalnym amatorem”, na zasadzie „król jest nagi”. Czekałem na ten moment, kiedy ktoś się spostrzeże. I tak zabrnąłem do dzisiaj. I nadal uważam się za amatora, i wciąż oglądam się za siebie.

### Chcesz powiedzieć, że życie woli nieudaczników?

Uważam, że życie lubi drwić z człowieka, więc jeśli mu na czymś za bardzo zależy, to życie zwykle robi sobie

z niego różne żarty – nie lubi tych, którzy są zbyt poważni, którzy się nadymają na swoim punkcie i oczekują dla siebie rzeczy niezwykłych. I jakoś tak się dzieje, że z kolei ludziom, którzy mają skromne oczekiwania, podsuwa różnego rodzaju okazje i pokusy po to tylko, żeby ich sprowokować do innego myślenia o sobie. Daje im szansę, by zaraz sobie z nich zakpić. Jest przewrotne w swojej naturze.

### Z ciebie życie kpiło?

O, bardzo często. Cały czas ze mnie kpi. Na każdym kroku i dlatego nie staram się traktować siebie i swojego pisania zbyt poważnie.

\*\*\*

### Twoje pisanie ma wiele wymiarów. Zaczynałeś od wierszy, później były opowiadania, reportaże, proza – a teraz mówisz o sobie, że jesteś scenarzystą filmowym. Która z tych ról jest ci bliższa?

Nigdy nie określałem swoich ról społecznych czy zawodowych w tak zdecydowany i wyrazisty sposób. Jak każdy człowiek, który ma problem z identyfikacją, jestem wszystkim po trochu, nikim w pojedynkę. Z tego wynika, że na każdej z tych rzeczy, które robię, znam się tylko połowicznie albo częściowo. To mój błąd, ale zdołałem siebie takiego zaakceptować.

### Sformułuj to pytanie inaczej. W którym rodzaju pisania – poezji, prozy, dramatu – czujesz się lepiej?

Myślę, że to nie pytanie o gatunek, który uprawiam, jest ważne – istota tkwi w odpowiedzi na pytanie, jaki podejmuję temat. O wszystkim decyduje temat. On narzuca jakieś koncepcje odnośnie formy, w której później próbuję go zrealizować. Kiedy już zapadną decyzje i rozpoczynam pracę, upierając się i wyczerpując siły, nie ma dla mnie znaczenia, jakiego rodzaju są te wybory: na ile błędne, niekoniecznie dobre. Ta konstatacja przychodzi po czasie, kiedy moja praca dobiega końca i jest za późno na znaczące zmiany. Wygląda to tak, że popadam w fascynację tematem, który narzuca mi formę.

### Kiedy trafiasz na interesujący temat i decydujesz się na określoną formę, czy korzystasz także z określonej metodyki pracy?

Być może metodyki pracy twórczej uczą w szkołach pisarskich czy podczas studiów polonistycznych, ja niestety tego nie wiem. Jest temat, który coraz wyraziściej się klaruje – zwykle odwlekam moment rozpoczęcia pracy najdłużej jak mogę, często z lenistwa, a często ze strachu: także po to, aby zobiektywizować mój własny do niego stosunek. Żeby moja interpretacja nie była elementem

przypadku, jakichś chwilowych emocji. Jeżeli przez taką próbę wyczekiwania temat nie traci dla mnie znaczenia, wtedy zabieram się do pracy.

### Jak pracujesz?

Dosyć chaotycznie. Zwykle chcę wiedzieć jak najlepiej. Jeśli na przykład piszę reportaż, próbuję dowiedzieć się tego, czego moi rozmówcy mi nie powiedzieli. Nie powiedzieli, bo nie wiedzieli. Nie powiedzieli, bo nie chcieli powiedzieć. Nie powiedzieli, bo zapomnieli o tym. Często bardzo wiele ważnego materiału znajduję w tym niedopowiedzeniu. Przy tym kieruję się zasadą, by nie krzywdzić swoich rozmówców. Nie wykorzystywać tej wiedzy, którą zdobywam w trakcie poszukiwań przeciwko nim. Zawsze w drażliwych sprawach konfrontuję to, co wiem, z tym, co słyszę z ust moich bohaterów.

\*\*\*

### Czy tak właśnie powstawała książka *Do zobaczenia w piekle? Musiałeś wyjechać na Ukrainę, do Białorusi, Łotwy, aby zebrać materiał. Jak długo nad nią pracowałeś?*

Nie wiem, czy mogę nazwać to przypadkiem, wcześniej czy później musiało do tego dojść. Moja teściowa urodziła się na Wołyniu, z mocy prawa po 17 września stała się obywatelką ZSRR, z rodzicami wywieziono ją do łagru, tam poznała mojego teścia. Do Polski wrócili w ramach repatriacji w 1957 roku. Więc to, że w pewnym momencie ruszę na Ukrainę, było jedynie kwestią czasu. Trafiłem w miejsca charakterystyczne, jak Łuck, Lwów, Drohobycz, Jazłowiec, Buczacz, Czerniowce... Tamta rzeczywistość mnie zaskoczyła. Byłem pod ogromnym wrażeniem tamtych ludzi, ich serdeczności, otwartości i gościnności.

Niewiarygodny wydał mi się ten ogrom tropów, które zostały po Polsce, także w sercach mieszkających tam Polaków. Potężne kościoły wyglądające jak nasze katedry, monumentalne, niszczone budowle we wsiach liczących dziś góra kilkuset mieszkańców. Jakoś mnie to strasznie poruszyło, nie mogłem się z tym pouklądać. Wracałem tam kilka razy. Jechałem trochę z drżeniem serca, szukając Polaków, którzy tam zostali, a później zacząłem tam bywać regularnie. Poznałem tych ludzi, z częścią się zaprzyjaźniłem. To byli nie tylko Polacy, którzy tam zostali i wciąż przyznawali się do ojczyzny swoich przodków, ale też obywatele Ukrainy, Rosjanie, Białorusini, mieszkańcy byłego ZSRR. To były historie, których żaden autor przy zdrowych zmysłach nie był w stanie wymyślić. Na ich skórze poczułem tę różnicę pomiędzy fikcją literacką a rzeczywistym życiem.

W literaturze traktowano tę dotykającą prawdę jak pośledni temat, sprawę drugorzędną. Dla autentyzmu ludzkich przeżyć brakowało miejsca, lubowano się w narcystycznych grach i zalotach. Przeżycia ludzi, których spotkałem na Kresach, były na tyle niesamowite, że czasami zastanawiałem się, czy czytelnik nie oskarży mnie o kłamstwo, nadmiar fantazji. Teraz wiem, że najwięcej kreatywności w tworzeniu nieprawdopodobnych zdarzeń ma życie. Żaden pisarz nie wymyśli takich sytuacji, sekwencji zdarzeń, które możliwe są w życiu. Życie kpi z wszelkich reguł. Człowiek jest taką istotą, która wierzy, że rzeczy mają swoją logikę, wierzy w rzeczy i wydarzenia, które są prawdopodobne. W życiorysach tych ludzi, z którymi się spotkałem, było tyle nieprawdopodobnych zdarzeń, że bałem się o wiarygodność opisywanych faktów. Wtedy też zacząłem myśleć, że moje komentarze są konieczne tylko w pewnych sytuacjach, bo uściślają pewne rzeczy, opisują miejsce, realia rozmowy, ale tak naprawdę ważne jest to, co powiedzą moi rozmówcy. Zacząłem posługiwać się techniką cudzego głosu. O ile jest to możliwe, sam staram się jak najmniej dodawać od siebie, jak najmniej komentować zachowania moich rozmówców. Wiedziałem tylko, że muszę być wobec nich uczciwy. Tak powstała książka *Do zobaczenia w piekle* [Prószyński i S-ka, Warszawa 2009, wznowienie: Wysoki Zamek, Kraków 2009 – przyp. O.W.]. Kiedy zrobiło się o niej głośno i zaczęła odnosić sukcesy, LSW zdecydowała się wydać tom moich opowiadań *Ballada o żyłtece*.

Dwa lata później pojawiło się znakomite tłumaczenie Andrija Pawłyszyna na ukraiński – *До побачення в пеклі* (Lwów 2012) i okazało się, że również po tamtej stronie granicy książka robi wrażenie. Na spotkaniach w Polsce wyzywano mnie od Banderowców, na Ukrainie od zdradzieckich Lachów. Książka przyniosła mi szereg nagród, między innymi Nagrodę Marszałka Województwa Mazowieckiego za osiągnięcia literackie (2010), Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Hryhoriya Skovorody (Ukraina, 2012), Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Mikołaja Gogola (Ukraina, 2013), Ogólnopolską Literacką Nagrodę im. Bolesława Prusa (2013). Stosunkowo późno, dopiero po drugim wydaniu, przyszło tłumaczenie na rosyjski – *До свидания в аду* (Moskwa 2019) i na białoruski – *Да сустрэчы ў пекле* (Mińsk 2020).

Te reportaże są ważnym i gorzkim świadectwem o Kresach, wyłamują się z poza jednowymiarowy i sielankowy mit Arkadii, jaki pojawia się w przekazach medialnych w odniesieniu do tych ziem, więc fakt, że otrzymałeś za tę książkę tak wiele nagród, tylko podkreśla jej autentyczność. Ale przecież to był dopiero początek w pisaniu →

prozy. Kolejna książka sięga po historię znacznie ci bliższą.

Mam pewną trudność z książką *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* (Radom, 2012). Na jego zaniedbaną mogiłę na starym cmentarzu graniczącym z moją posesją trafiłem przypadkiem zaraz po osiedleniu się na wsi. Długo nie mogłem znaleźć o nim żadnych informacji, a ponieważ zbywano mnie jakimiś ogólnikami, tym większą irytację i ciekawość budziła we mnie postać byłego proboszcza. Punktem zwrotnym było spotkanie i rozmowa z ks. bp Marianem Zimałkiem. Po niej przyszedł tydzień, a nawet miesiąc w Sandomierskim Archiwum Diecezjalnym, Archiwum Państwowym w Radomiu, Bibliotece Narodowej, podróż do Łomży, Łukowa, Siedlec... Powstał rodzaj zarysu biograficznego skierowanego do młodzieży, ponieważ chciałem spopularyzować jego życie i zasługi. Suma moich różnych wysiłków w tej kwestii powoli daje efekty – nazwisko ks. Gackiego jest znajome okolicznym mieszkańcom, ale wciąż muszę się upierać przy idei popularyzacji jego zasług.

**Czy to oznacza, że porzuciłeś Kresy i reportaż?**

Nie! Wciąż jestem nimi zafascynowany. Wciąż publikuję w „Odrze” wywiady czy reportaże z Ukrainy, Białorusi, Łotwy i Litwy. To była rzecz, o której kiedyś mówił mi Tymoteusz Karpowicz – że należy zedrzyć tę zewnętrzną skórę z rzeczywistości i wejść za nią. To zawsze się sprawdza. Pozornie nieciekawe sytuacje, nieciekawi ludzie, w momencie, kiedy ogląda się ich z bliska, otwierają się, zyskują na wyrazistości. To jest ta przejmująca prawda o życiu, której szukam w literaturze.

**Co z tą prawdą o życiu ma wspólnego *Powiedzcie swoim*?**

Też mocno osadza się w realiach, w odniesieniach do autentycznych źródeł, dokumentów. Chciałem z jednej strony stworzyć kompendium wiedzy o radomskim Czerwcu '76. Potrzebowałem do tego pretekstu. Pytanie, czy to jest literatura?

**Trzeba być łotrem, żeby opisać Mistrza w ten sposób? Skąd wiedziałeś, że on taki powinien być?**

Czy pytasz o zagrożenie, niebezpieczeństwo dla autora? To opinia psychologów – kiedy ich dociekania dotyczą twórców, słyszy się, że projektują siebie, stwarzając postacie dla swoich dzieł. Nie musiałem takiej projekcji dokonywać, po prostu spotkałem takich ludzi, rozmawiałem z nimi, z ich życiorysów i zachowań stworzyłem postać Mistrza. Nie powiem, że nie byłem zafascynowany tą postacią. Nikt nie wie, jaka naprawdę jest natura człowieka, do czego może się posunąć. Wszyscy stwarzamy dla siebie określone role i później staramy się te

role odgrywać w normalnym życiu. Nie miałem możliwości zweryfikowania wszystkich sytuacji, o których opowiadali mi milicjanci, prokuratorzy i ludzie służb. Różnych służb. Bo postać Mistrza jest zlepiona z postaci kilku funkcjonariuszy. Zbudowałem w oparciu o te relacje postać, która łączy cechy wielu osób i z tego punktu widzenia jest może nieprawdziwa, ale w sensie psychologicznym bardzo przekonująca dla czytelnika.

**Mistrzo to człowiek, który jest dość odstręczający. Jest jednak rzecz, która go broni – on wie, że jest zły, nie próbuje się ukrywać, przyznaje się do tego. Jest w tym jakiś tragizm.**

Nie powiedziałbym, że jest to człowiek odstręczający, bo o większości ludzi żyjących na tym świecie, można by tak powiedzieć. Nie powiedziałbym, że jest nieuczciwy. W swojej sięgającej cynizmu szczerości jest bardzo uczciwy, bo przyznaje się do tego, że jako człowiek nie ma żadnych zasad. Chociaż to też nie do końca okazuje się prawdą, bo ma bardzo wyraziście określone zasady i wedle tych zasad postępuje.

***Powiedzcie swoim* jest faktograficznym i niemal dokumentarnym zapisem wydarzeń podczas protestów w Radomiu w 1976 roku. Czy to książka tylko dla radomian?**

Nie tylko. Chciałem przypomnieć robotniczy protest, który przez historyków zajmujących się transformacją ustrojową został zmarginalizowany. Te mechanizmy manipulowania społeczeństwem były typowe dla komunistycznej władzy nie tylko w Polsce. Władza przed niczym się nie cofała. W Radomiu wciąż panuje przekonanie, że robotnicze protesty były sprawą wstydliwą. To pokazuje, jak bardzo skuteczne były mechanizmy i techniki kreowania ocen społecznych i jak sprawnie posługiwała się tymi narzędziami propaganda Gierka.

**Jeśli ten protest wciąż jest powodem do wstydu, jak przyjęto książkę w Radomiu?**

Chyba źle. Straszono mnie. Chciałem zdjąć klątwę ciążącą na mieście, ale okazało się to niemożliwe. Pycha została ukarana. Stałem się wrogiem, który zamiast wynieść na piedestał robotników, gloryfikuje esbecję, bo zakwestionowałem moc sprawczą wyroku rzuconego przez Gierka na Radom. W życiu zbyt często zamiast być i robić swoje, szukamy usprawiedliwień. Kiedyś w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” przywołałem słowa Yoko Ono, która w swojej biografii napisała, że dobra książka to gwałt na wyobraźni, w efekcie którego otwierają się oczy.

**Na motywach książki powstał film *Klecha*. Ktoś jednak docenił jej historyczny potencjał, artystyczne walory...**





Orońsko 2013. Pośród rzeźb Magdaleny Abakanowicz

Film *Klecha* to niekończąca się opowieść. W sierpniu 2015 roku zadzwonił do mnie reżyser Jacek Gwizdała z pytaniem, czy zgodzę się na zrobienie filmu na motywach książki *Powiedzcie swoim*. Byłem tak zaskoczony, że wziąłem to za jakiś głupi żart. Kiedy następnego dnia przyjechał do mnie do Jedlni, byłem już nie tyle rozbawiony, co wystraszony. Zaproponował mi pomoc zawodowego scenarzysty i udział w pisaniu scen dialogowych. I tak zacząłem romans z filmem, kolejną życiową awanturę, która trwa do dzisiaj. Język filmu jest diametralnie różny od języka prozy. Uczę się myśleć obrazami, uczę się współpracować z innymi, szukać kompromisu. Bo film w odróżnieniu od literatury jest dziełem zbiorowym i nawet najlepsze pomysły muszą zostać zaakceptowane przez wszystkich, którzy później będą nad nimi pracowali. To bardzo kapryśna i trudna do zdobycia muza. Nawet nie podejrzewałem, jak bardzo nierzezywisty jest świat filmu.

**Jak to rozumieć?**

Budulcem narracji filmowej jest konflikt: dobra i zła, ognia i wody, czerni i bieli... Zło uosabiał Mistrzo – szef lokalnej komórki „D” powołanej do walki z Kościołem zarządzeniem z 19 listopada 1973 roku przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kowalczyka, zakonspirowanej w strukturach Służby Bezpieczeństwa i utajnionej na tyle, że często nawet sami funkcjonariusze nie wiedzieli o jej istnieniu. Nazwałbym ją „spec-komandem zła”, bo uciekała się do metod niezgodnych z prawem: pobić, uprowadzeń, szantaży, napadów rabunkowych, podpażeń... I po drugiej stronie ks. Roman, kapłan z podradomskiej wsi, który miał odwagę pobłogosławić protestujących robotników i bronić ich praw do godnego życia, a niespełna dwa miesiące później umiera pobity przez „nieznanych sprawców”. Pierwowzorem tej postaci jest ks. Roman Kotlarz z sąsiadującego z Radomiem Pelagowa. Podstawowe jest tu, jakże aktualne nawet dzisiaj, pytanie o granice legalnego funkcjonowania tajnych służb działających w imieniu państwa – miejsce, od którego zaczyna się bezprawie i ideologiczna manipulacja.

**Czyli walka Dawida z Goliatem, przypowieść biblijna adaptowana do naszej rzeczywistości. Z tą różnicą, że zwycięża zło...**

W warstwie dosłownej tak, w warstwie symbolicznej nie... Świadczy o tym chociażby wszczęty proces beatyfikacyjny ks. Romana Kotlarza. Okres zdjęciowy trwał od sierpnia 2017 roku do października 2018 roku. W roli Mistrza wystąpił Piotr Fronczewski, ks. Romana zagrał Mirosław Baka. A poza tym cała plejada gwiazd polskiego kina: Danuta Stenka, Paulina Nadel, Artur Żmijewski, Janusz Chabior, Marcin Bosak, Karol Pocheć, Robert Gónera, Lech Dyblik, Zdzisław Wardejn, Andrzej Beja-Zaborski, Ryszard Kotys († 2021)... I legenda polskiego kina – Ignacy Gogolewski († 2022). Jako reżyser Jacek Gwiżdżała, zdjęcia – Robert Lis; montaż – Marek Król. Produkcja – V-Film.

**W filmie zgromadzono imponującą obsadę, choć minęło już sporo czasu od zakończenia zdjęć. Czy wpływ na opóźnienie dystrybucji filmu może mieć jego temat? Główną oś tematyczną wyznacza opis represji aparatu państwa wobec protestujących robotników, ale „Klecha” podejmuje także kontrowersyjną i – odnoszę takie wrażenie – okrytą milczeniem kwestię współpracy polskiego kleru ze służbami PRL. Dość długo czekamy, aż ktoś podejmie ten temat w Polsce. Kiedy film trafi do kin?**

Tego nikt nie wie. Po zakończeniu zdjęć na etapie montażu doszło do konfliktu z Telewizją Polską, która była koproducentem. Z dnia na dzień umowa została rozwiązana. Mimo problemów udało się doprowadzić do kolaudacji w czerwcu 2020 roku, ale to niczego nie zmieniło – film nie został zgłoszony przez producenta do udziału w Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Teraz jest mowa o premierze w 2022 roku. Film jest uczciwy, ale najwyraźniej komuś bardzo się nie spodobał...

**Na stronie tytułowej książki *Powiedzcie swoim* znajduje się określenie: powieść polityczna. Jak zatem sklasyfikujesz swoją następną powieść *Mój mąż frajer*?**

Sowizdrzalska? Awanturniczko-miłosna? Jej tematem są wspomnienia Adama, wędrującego ulicami miasta, o kobietach jego życia i związanych z nimi przeżyciach. Do realistycznego wątku wędrowni układem odniesienia jest surrealistyczny watek przodków głównego bohatera – dziadka Antoniego i dziadka Jana. Obserwuję jego poczynania z rządzącego się absurdalnymi prawami nieba. Praca nad tą książką sprawiała mi radość i z coraz większą sympatią o niej ostatnio myślę. Do tego zawiera mnóstwo ekscytujących i autentycznych szczegółów z życia prowincjonalnego miasteczka, w którym w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego powstaje zakład zbrojeniowy.

Odrobina sarkazmu i groteski, ale bez ekscesów, w granicach rozsądku. Przesłaniem dla mojego bohatera są słowa jego dziadka, które usłyszał w dzieciństwie: „Nie musisz być uczciwy wobec kobiet, z którymi sypiasz, wobec mężczyzn, z którymi pijesz wódkę, nawet wobec księdza, któremu wyznajesz swoje grzechy – Bóg to zrozumie i ci wybaczy, ale musisz być uczciwy wobec tych, którzy umierają z głodu. Inaczej przestanieś być człowiekiem”.

\* \* \*

**Osobna część twojego dorobku to przekłady literackie z języka ukraińskiego, rosyjskiego, białoruskiego. Czy wymieniałam je we właściwej kolejności?**

Jeśli chronologicznie to białoruski, rosyjski, ukraiński. Najwięcej tłumaczeń dokonałem z języka ukraińskiego, ale w tym nie ma nic dziwnego, bo spędziłem tam najwięcej czasu.

**Wśród przetłumaczonych książek najczęściej pojawiają się te, których autorem jest Wasyl Słapczuk – *Kobieta ze śniegu*, *Księga zapomnienia*, a ostatnio *Ten sam kurz drogi*. Czy to przypadkowy wybór?**

Oczywiście, że nie. Przyjaźnię się z Wasylem Słapczukiem, to jeden z największych pisarzy „straconego pokolenia”, czyli pokolenia afgańskiej wojny. Zapłacił za imperialistyczne ambicje ZSRR trwałym kalectwem – trafiony kulą w kręgosłup porusza się od lat na inwalidzkim wózku. Imponuje mi jego determinacja, jego wiara w życie, jego tytaniczna praca. Przebył długą drogę od fizycznego pracownika zakładów „Zaporożec” do doktora habilitowanego nauk filologicznych. Jest laureatem najwyższego literackiego wawrzynu Ukrainy, czyli Nagrody Państwowej im. Tarasa Szewczenki.

Pierwszą książkę – *Kobieta ze śniegu* – tłumaczyłem z Iwoną Wasilewską. Wtedy nie byłem pewien swoich sił. Najwięcej pracy kosztowała mnie jednak *Księga zapomnienia*, w której narracja powieściowa spleta się z esejistycznymi wątkami i filozoficznymi rozważaniami o życiu. Wasyl pisał ją prawie trzydzieści lat, dlatego można ją traktować jako swoisty rozrachunek z wojną.

Ale najwięcej radości sprawiła mi powieść *Ten sam kurz drogi*, która ukazała się w czerwcu 2021 roku w lubelskim wydawnictwie „Warsztaty Kultury”. Jej głównym bohaterem jest czterdziestoletni mężczyzna uważający się za pisarza. Kryzys wieku średniego sprawia, że decyduje się na wyjazd do sanatorium. Okazuje się, że w sanatorium przebywają wyłącznie kobiety i dzieci, a on jest jedynym pacjentem mężczyzną. W dzieciństwie otaczały go kobiety: matka, starsza siostra, dwie ciotki, babcia i jej siostra Tekla. Losy tych kobiet były złożone, czasami tragiczne, dlatego pobyt w sanatorium skłania Natana do



Podczas kręcenia filmu „Klecha”. Piotr Fronczewski, Jacek Gwizdała (reżyser), Wojciech Pestka

wspomnień o rodzinie i dzieciństwie. Te retrospektywne obrazy dzieciństwa przeplatają się ze wspomnieniami z wojen, w których uczestniczył: z Afganistanu, Czeczenii, Jugosławii. To wartka i pełna nagłych zwrotów akcji narracja, jednym słowem rzecz godna polecenia.

**Wspomniałeś, że *Księga zapomnienia* wymagała od ciebie jako tłumacza najwięcej pracy. Na czym polegała trudność pracy translatorskiej przy tej opowieści? Czy są jakieś szczególne cechy, umiejętności, które powinien posiadać dobry tłumacz?**

Mógłbym to określić w kategorii wyzwania, bo podjąłem się tłumaczenia powieści, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo skomplikowaną materią operuje sam autor. Połowa tej książki to eseistyczne rozważania o wojnie, w których Wasyl Słapczuk odwołuje się do światowej literatury, cytując autorów prac filozoficznych i traktatów, dzienniki i wspomnienia uczestników konfliktów zbrojnych od zarania cywilizacji po dzień dzisiejszy. Część z tych źródeł nie funkcjonuje w zachodnioeuropejskim kręgu kulturowym, pojawia się sporadycznie w rosyjskich tłumaczeniach sprzed lat, które dziś nie są dostępne. Wybrałem rozwiązanie wadliwe z punktu widzenia

praktyki przekładowej, ale jedyne możliwe – z wyjątkiem tekstów kanonicznych takich jak Stary i Nowy Testament, Koran, Tora, gdzie konsekwentnie korzystałem z przyjętych w obrębie danego wyznania przekładów, całą resztę tłumaczyłem z tekstów zamieszczonych przez autora. Ogrom tej tytanicznej pracy, bo tych odautorskich odwołań były setki, a przecież nawet znalezienie właściwej frazy w Biblii jest problemem, dosłownie mnie paraliżował. Druga sprawa to właściwie nieprzetłumaczalny, specyficzny żołnierski żargon używany w radzieckiej armii, z którym trudno mi było sobie poradzić. Dobrze, że mogłem korzystać z pomocy Wasyla. Rezygnowałem, odkładałem książkę, wracałem do niej – praca trwała prawie trzy lata. Upór połączony z determinacją pomógł mi doprowadzić książkę do końca. Rezultat mnie zaskoczył: książka została nominowana do drugiego etapu „Angelusa”, Literackiej Nagrody Europy Środkowej i otrzymała laur Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego w 2015 roku.

**Śledząc twoją literacką twórczość, trudno oprzeć się wrażeniu, że jesteś autorem wielowymiarowym, poszukującym dla siebie nowych form wyrazu. Twój** →

najnowszy utwór *Syrop z kocimiętki* to monodram, a więc tym razem zmierzasz w kierunku teatru.

Napisałem go dla Piotra Fronczewskiego – znakomitego aktora, o kolosalnym potencjale dramatycznego wyrazu, czemu dał wyraz, kreując postać Mistrza we wspomnianym już filmie *Klecha*. To słodko-gorzka historia krawca, który całe życie szył sutanny, a teraz zepchnięty na margines i pozbawiony znaczenia z nostalgią wspomina czasy świetności. Nie jest nikomu potrzebny, poza dobrym imieniem z dawnego życia, kiedy był niekwestionowanym dyktatorem kościelnej mody, nic mu nie zostało. Otoczony przez manekiny próbuje na nowo odbudować swój świat. Nie wiem, czy trafi na teatralną scenę, może uda się z tego skroić scenariusz na przejmującą, surową opowieść o życiu.

Nie obawiasz się, że podejmując taką tematykę, zostaniesz źle zrozumiany? Czy pisarz w ogóle powinien się tego obawiać? Z jednej strony wydobywasz na światło dzienne kwestie traktowane przez zainteresowane grupy jako tematy tabu – mam tutaj na myśli powiązania pomiędzy aparatem służb bezpieczeństwa PRL a polskim duchowieństwem. Z drugiej nadajesz tym tematom groteskowy, przerysowany wyraz. Właściwie poruszasz się na granicy czegoś dość niebezpiecznego dla pisarza – patosu i śmieszności. Czy właśnie tak pojmujesz literaturę?

Obawiam się, bo mimo że próbuję być uczciwy w tym, co piszę, jestem oskarżany o nieprzyzwoitość, niepotrzebne rozdrapywanie ran, nieodpowiedzialność. Opozycja widzi we mnie pisarza wysługującego się władzy, władza – przeciwnika, który nie akceptuje jej systemu wartości i jej poczynań. Pamiętam pytanie jednego z hierarchów po zamkniętej projekcji filmu *Klecha* na Konferencji Episkopatu Polski – dlaczego przypominamy niegodne zachowania księży współpracujących ze Służbą Bezpieczeństwa, skoro te czasy minęły, a władza komunistyczna upadła? Dlaczego nie nagłaśniamy postaw pozytywnych?

Nie wiem, w jakiej skali określić poziom wzajemnego niezrozumienia, bo cały nasz film jest hołdem dla kapłana, który miał odwagę wypełniać misję Kościoła. Nie rozumiem władzy, która odmawia kobietom prawa do badań prenatalnych albo odtrąca uchodźców i potrzebujących pomocy, mimo że deklaruje przywiązanie do wartości chrześcijańskich. Nie rozumiem wielu spraw, które dzieją się wokół mnie.

Nie piszę swoich książek przeciwko komuś, próbuję jedynie docierać, jeśli nie dla innych, to chociażby dla siebie do jakiejś, może częściowej prawdy historycznej, która nie należy do żadnej ze stron politycznego sporu, o człowieku i jego obowiązkach wobec siebie, o życiu. A że skazuję się na patos i groteskę – widać taka jest cena, którą płacę za prawo bycia sobą.

Wróciłeś jednak do reportażu, który pozwala podpatrywać życie i szukać prawdy o człowieku.

W ostatnich latach dość często byłem uczestnikiem różnych międzynarodowych projektów literackich i obojętnie gdzie rozmawiałem ze swoimi bohaterami – czy w Londynie, w Rapperswilu w Szwajcarii, białoruskim Iwieńcu czy Krasławiu na Łotwie, ludzie byli podobni: z zasady dobrzy i serdeczni. Ale coś, co przychodzi z zewnątrz i ma globalny charakter, sprawia, że w grupie stają się źli, nie potrafią się tym dobrem dzielić. Gorzkim przykładem niech będzie przysłowiowe polskie piekło i historia popowstaniowej emigracji do Szwajcarii, gdzie największym wrogiem Polaka był drugi Polak. Carski historyk Mikołaj Berg z analizy przyczyn, które prowadziły do klęsk kolejnych powstańczych zrywów, wyciąga wnioski, że Polacy nie dorośli do niepodległości: za dużą wagę przykładają do swoich jednostkowych interesów, zostawiając na boku dobro wspólne. Doświadczaliśmy tych podziałów, tego braku wspólnoty wtedy, doświadczamy i dziś.

Chciałabym wrócić do *Diabelskiej maszyny do szycia*, reportaży z Ukrainy opowiadających o toczącej się tam wojnie. Dlaczego zająłeś się tym tematem?

W wojnie nie ma nic fascynującego, z bliska wojna jest odrażająca i siermiężna – śmierdzi. Etos wojny został stworzony przez propagandę, która w ten sposób wychowywała sobie przyszłe pokolenia żołnierzy, przenosząc punkt ciężkości z okrucieństwa i cierpienia na bohaterstwo i heroizm. A już ta ostatnia wojna w strefie ATO (operacji antyterrorystycznej) niczym nie przypomina tej, którą znamy z wojennych powieści i kin. To walka wszystkich ze wszystkimi i o wszystko: regularne oddziały przypominają (i zachowują się jak) uzbrojone po zęby bandy. Nie sposób zidentyfikować i określić, po czyjej są stronie, nie ma ciągłej linii frontu, nie ma zasad. „Jestem tu, żeby zabijać, jestem tu, żeby zostać zabity” – te słowa Wasyla Ślupczuka najlepiej oddają sens tej wojny, mimo że zostały napisane w odniesieniu do wojny w Afganistanie.

W recenzji, która ukazała się w „Akcencie” (nr 3/2021), Andrij Saweneć sformułował bardzo trafną obserwację: „Dramat współczesnej rzeczywistości ukraińskiej rozgrywa się między *Wojna to my* Bernsteina a *Piekło to inni* Sartre’a. Chcielibyśmy się spodziewać czegoś, co również leży poza mocą sprawczą autora i czytelników – tego, że gdy będziemy czytać nowe zbiory reportaży Wojciecha Pestki o nas i Innych mieszkających w wielonarodowym kosmosie na wschód od Polski, będzie w tych książkach choć trochę mniej wojny i mniej piekła”.



Łuck 2013, Promocja książki Wasyła Słapczuka *Kobieta ze śniegu*. Od lewej: Wojciech Pestka, tłumaczki: Iwona Wasilewska, Ołena Krysztańska, Natalia Słapczuk, Wasył Słapczuk

**Życie może jest piękne, ale dlaczego takie brutalne. Można to stwierdzić po lekturze twoich książek. Dlaczego?**

Życie jako takie jest nie tylko piękne, ale w jakiś sposób uczciwe. Brutalny w tym życiu jest człowiek. Życie samo w sobie jest zbudowane na kilku prostych zasadach jak trwanie, potrzeba bezpieczeństwa, potrzeba miłości. To nawet nie są zasady, lecz pryncypia. Tutaj nie ma niczego brutalnego. Natomiast kiedy pojawia się człowiek ze swoją wyobraźnią i oczekiwaniami, swoją pychą i niepomowaną żądzą posiadania, to wtedy zaczyna się rzecz komplikować i pojawia się element nieuczciwości wyspekulowanej wobec biologicznej prawdy, bo na poziomie zwierząt nie można mówić o potworności, sadyzmie czy okrucieństwie.

**Pytanie odnośnie kondycji człowieka. Czy nie masz czasami takiego wrażenia, że literatura powiedziała w zasadzie o człowieku już wszystko i jedyne co może, to powtarzać w nieskończoność te same tematy.**

Można by spytać, jak to jest z tym życiem. Jeżeli życie to te same tematy, odkąd człowiek pojawił się na ziemi, czyli skąd zdobyć jedzenie, skąd dostać coś do picia i jaką kobietę zdobyć (męski punkt widzenia), jeżeli świat właściwie na tych trzech miejscach stoi – jeść, pić, kochać – to nie dziwne, że natrętnie, od początku świata człowiek i jego wartości każda epoka próbuje poprzez literaturę i kulturę dokumentować kondycję jednostki i społeczeństwa i do tych tematów wraca. Literatura jest w takim sensie powtarzaniem tematów, w jakim życie jest powtarzaniem ludzkich spraw. A że te tematy pokazuje się w różny sposób, że wiedza człowieka o tym, kim jest i jak świat jest zbudowany, wzrasta, więc odpowiedź na te pytania jest za każdym razem inna i bardziej bliższa jakiejś nieosiągalnej, ale istotnej, z punktu widzenia naszej wiedzy o sobie, kosmicznej prawdy. Bo przecież już w Starym Testamencie powiedziano o człowieku wszystko...

**Komu potrzebne jest pisanie, czy nie jest zaśmiecaniem świata, przestrzeni, której i tak już jest niewiele. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?**

To można powiedzieć o każdym człowieku, który żyje na tym świecie, że jego życie to wyraz subiektywnej, wewnętrznej potrzeby i biologicznej konieczności, może tylko kolejność powinna być odwrotna. Zajmuje miejsce innemu osobnikowi tego samego gatunku, zabiera mu energię konieczną do życia, którą tamten mógłby wykorzystać inny sposób, odbiera mu jakąś część naturalnych dóbr, jednym słowem – okrada go z zasobów życiowych. Inaczej mówiąc, każdy powinien poczuć się winny z tego powodu. Nie mam takiego imperatywu wewnętrznego, który by kazał mi resztę tego, co robię, naznaczać jakimś odgórnym przesłaniem. Mam wrażenie, że przeceniamy znaczenie naszej, w gruncie rzeczy iluzorycznej i dość przypadkowej, obecności w kosmosie i próbujemy na siłę nadawać sens naszym działaniom, naszemu istnieniu.

**Często pyta się autorów o ranking wartości. Są tacy, którzy mówią, że ważna jest w pisaniu prawdomówność, inni z kolei mówią o obiektywizmie, jeszcze inni odwołują się do wartości artystycznych, kreacji.**

To wszystko jest ważne: wartości artystyczne, etyczne, prawda... „Poznacie Prawdę, a Prawda was wyzwoli” (J 8, 32) – ponadczasowe przesłanie zawarte w tych słowach każe nam z dążenia do prawdy o otaczającej nas rzeczywistości uczynić jedno z najważniejszych kryteriów oceny dzieła artystycznego, najwyższą wartość. Cały sens tych słów zawiera się w tym, by do tej prawdy się zbliżyć, próbować do niej dotrzeć. Może trywialnie zabrzmie dziś, kiedy szermujemy zuchwale pojęciami odwołującymi się do absolutu, twierdzenie, że nie absolutna, nieosiągalna prawda, ale dążenie do niej legitymizuje działania twórcy. Ważne jednak, może najważniejsze, by w tym procesie poszukiwania prawdy zachować uczciwość wobec siebie. I to jest drugi bardzo istotny dla mnie element. Chociaż, mówiąc wprost, pisanie jest wyrazem pychy, ponieważ nikt nie powinien stawiać się ponad innymi. Brakuje pokory. Twórca, w sposób niewyraźny werbalnie, zakłada, że jest mądrzejszy, wrażliwszy i w związku z tym ma prawo mówić do innych, oceniać, różnicować emocje, nazywać rzeczy, szermować pojęciami dobra i zła. Sądzi innych, uznając w swojej pysze, że ma takie prawo. To jest teoria.

#### **A w praktyce?**

W praktyce jest różnie. Zwykły dzień. Człowiek układa plan, to jest też pewien rodzaj pychy, bo zakłada, że panuje nad czasem i logiką zdarzeń, i te jego plany będą organizowały tę przestrzeń wokół niego, uważa się za Stwórcę. Później przychodzi rzeczywistość, która odziera go ze złudzeń. Świat żyje na swój sposób i ludzkie plany ma za nic. Już nie mówię o rzeczywistości biologicznej w postaci choroby, ale na co dzień jest tyle nieprzewidywanych

sytuacji i elementów, że planowanie urąga tej podstawowej substancji świata.

#### **Co wobec tego możemy zrobić?**

Wychodząc z domu, nie zakładając, że wrócimy. I nie chodzi tu o określoną godzinę. To jest akceptacja świata i siebie w pełnym wymiarze. Zarówno swoich złych, jak i dobrych stron. Tak samo w odniesieniu do świata.

**Więc te wszystkie porządki filozoficzne, religijne, kodeksy moralne są także wyrazem pychy, bo zostały narzucone?**

W jakiś sposób tak, ponieważ natura człowieka, jego biologia to jest ten podstawowy poziom uczciwości. Oczywiście, możemy za pomocą woli, siły wewnętrznej wpływać na swoje zachowanie, do pewnego momentu, zwłaszcza w warunkach braku zagrożenia. W sytuacjach ekstremalnych czynniki biologiczne, wrodzone instynkty buntują się i przejmują kontrolę nad naszym zachowaniem. Nikt nie wie, do czego jest zdolny i jak się zachowa, kiedy życie postawi go pod ścianą. Wystrzega się pouczania innych, mówienia im, jak powinni żyć, w co wierzyć. Pamiętając o tym, że nikt niczego nie powinien dostawać za darmo.

**Czy wobec tego pisanie czegoś cię nauczyło, coś zmieniło?**

Jest jedna rzecz, która ostatnio chodzi mi po głowie, że przede wszystkim pisanie to jest takie samo rzemiosło jak robienie wielu innych rzeczy, jak naprawianie samochodów czy szycie butów. I pisarz przede wszystkim musi być dobrym rzemieślnikiem. A jeżeli robi swoją pracę dobrze, to gdzieś tam w tle, za plecami niczym muza, pojawi się coś takiego jak intuicja, przeczucie. To ten święty moment, kiedy mizerny w swej naturze człowiek wznosi się ponad swoje ludzkie słabości i ograniczenia.

**To brzmi dość poetycko... Unikaszmówienia o pisaniu wierszy.**

Nie umiem mówić o poezji, bo co można powiedzieć o czymś, co zaczyna się od niepokoju, migotania myśli, refleksu światła, a kończy wierszem.

**Jak z dzisiejszej perspektywy oceniasz te wszystkie doświadczenia, co one ci dały?**

Najwięcej nauczyłem się na swoich błędach, może dlatego wciąż je popełniam.

**Ale czego cię te błędy nauczyły?**

Że najgorsze są te, których się nie popełniło.

ROZMAWIAŁA OLGA A. WIEWIÓRA

ZBIGNIEW  
WŁODZIMIERZ  
FRONCZEK

# Wojciech Pestka laureatem Międzynarodowej Literackiej Nagrody Hryhorija Skoworody w 2012 roku

ŚWIAT ŁOWIĘ MNIE LECZ NIE POJMAŁ – to przesłanie poleciał wyryć na swoim grobie Hryhorij Skoworoda.

Urodzony w 1722 roku, jeden z najznamienitszych studentów Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, filozof, autor traktatów filozoficznych i bajek, zawierających rozważania o naturze świata, autor pieśni, tłumacz dzieł rzymskich filozofów a przez całe życie niepokorny poeta. Sławę przyniósł mu *Ogród pieśni nabożnych* (*Сад Божественных песней*), cykl trzydziestu utworów poetyckich, które powstały na przestrzeni trzydziestu lat (1753–1783), w zbiorze dominowały liryki, ody, pieśni historyczne. Twórca za najwyższą wartość uznawał wewnętrzną wolność i odwagę w poszukiwaniu prawdy. Zmarł w 1794 roku.

Od 2005 roku na Ukrainie przyznawana jest nagroda jego imienia. Została utworzona z inicjatywy Ukraińskiej Akademii Nauk, Stowarzyszenia Pisarzy Ukraińskich, Intelktualnego klubu w Czernihowie, Wołyńskiego Towarzystwa „Switiaz” i Narodowego Instytutu Literatury im. T. Szewczenki.

Jej laureatami w minionych latach byli pisarze, artyści i działacze kultury z Ukrainy, USA, Kanady, Rosji, Brazylii, Bułgarii, Izraela, Czech.

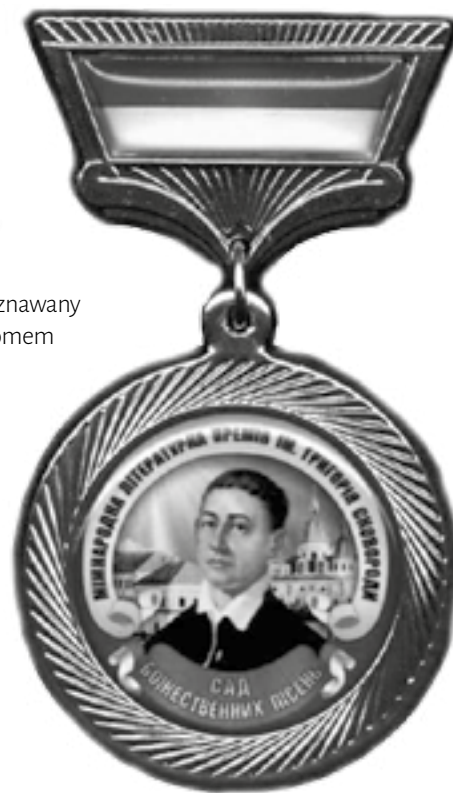
W roku 2012 po raz pierwszy nagrodą uhonorowano polskiego pisarza i tłumacza: Wojciecha Pestkę, autora od wielu lat znanego i publikowanego na Ukrainie. Tłumaczenia jego wierszy z tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* pojawiły się w Kijowie już w 2007 roku, następnie w 2008 roku w lwowskim wydawnictwie „Kamieniar” ukazał się napisany wspólnie z Anną Bagrianą dwujęzyczny tom wierszy *Spacer po linie – Мандрівка линвою*, w 2009 roku opowiadania ze zbioru *Ballada o żyletce*. Teksty Wojciecha Pestki na język ukraiński przekładali: Anna Bagriana, Ołena Katajewa, Ołena Krysztańska, Andrij Pawłyszyn (znany z tłumaczeń między innymi prozy Herberta, esejów Miłosza i listów Schulza), Pawło Szczyrycia, Serhij Sołowiow. Zbiór reportaży z Kresów *Do zobaczenia w piekle* – przetłumaczony przez Andrija Pawłyszyna – rzecz o losach Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Łotyszy wywołuje na Ukrainie liczne dyskusje i wyzwała równie silne



Spotkanie w Akademii Ostrogskiej, od lewej Andrij Pawłyszyn, Wojciech Pestka, Petro Kraluk – rektor Akademii Ostrogskiej



Pamiętkowy medal przyznawany wraz nagrodą i dyplomem



emocje jak w Polsce. Świadczyły o tym reakcje uczestników spotkań autorskich w Kijowie, które odbywały się od 5 do 7 października 2012 r. w trakcie Targów Książki „Arsenal”. O tym, że wiek XX i tragiczne doświadczenia związane z ostatnią wojną wciąż wywołują kontrowersje przypomniało spotkanie ze studentami Akademii Ostrogskiej prowadzone przez rektora Petro Kraluka. Słowa, które wygłosił na zakończenie do uczestników spotkania świadczą, jak potrzebne są takie rozmowy. „Książka *Do zobaczenia w piekle* zmusza nas do analizowania nieprostych wydarzeń naszej wspólnej historii. Jest swoistym dialogiem między kilkoma narodami, pozwala jeszcze raz wrócić do tych pytań o naszą historię, które wciąż nie utraciły swojej aktualności”. Zupełnie inny charakter miało, odbywające się następnego dnia, spotkanie w Bibliotece Obwodowej

w Równem, które zgromadziło Polaków zamieszkujących okoliczne miejscowości. Tu wspomnienia tragicznych mordów wywoływały łyzy, oburzenie, gniew naszych rodaków z jednej strony i gwałtowne protesty obecnych na sali Ukraińców z drugiej. Ostatnie z cyklu ukraińskich spotkań odbyło się 10.10.2012 r. w bibliotece Wołyńskiego Uniwersytetu Narodowego im. Łesi Ukrainki w Łucku. W czasie spotkania o swoich refleksjach dotyczących tomu *Do zobaczenia w piekle* mówiła tłumaczka literatury polskiej Olena Krysztalska oraz przewodnicząca Wołyńskiego Oddziału Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy, Nina Horyk, która stwierdziła: „Ta książka na etapie czytania prowokuje do rozmowy nie tylko z jej autorem, ale i zmusza do zadawania sobie samemu trudnych pytań”. W tym dniu – w czytelni biblioteki – miała także miejsce uroczystość wręczenia Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Hryhorija Skoworody „Ogród pieśni nabożnych” wraz z pamiątkowym medalem i dyplomem.

We wszystkich spotkaniach uczestniczyli pracownicy Konsulatu RP w Łucku, w tym pełniący obowiązki Konsula Generalnego Krzysztof Sawicki oraz wicekonsul do spraw współpracy z Polską Karolina Golubiewska. ■



Debata w auli Politechniki Lwowskiej, od lewej: Arsenij Rogiński – przewodniczący rosyjskiego „Memoriału”, Ołeksandr Zajcew – prof. Uniwersytetu Lwowskiego, Henryk Grynberg – pisarz, Wojciech Pestka



# KATYŃ i CHATYŃ – dwa oblicza historii

PRZYPADKOWO NATRAFIAM W INTERNECIE NA INFORMACJĘ, że pod Warszawą znaleźli powieszzonego jednego z kluczowych świadków katastrofy lotniczej, w której brał udział w Smoleńsku w kwietniu 2010 roku polski prezydencki samolot TU-154. To inżynier pokładowy samolotu JAK-40 Remigiusz Muś, który ze składem delegacji przybył do Smoleńska wcześniej i oczekiwał na samolot prezydencki na lotnisku. Grupa śledcza rozpracowuje wersję samobójstwa, jako że na ciele nie znaleziono żadnych śladów przemocy. Brakuje także i pożegnalnego listu, który mógłby wyjaśnić sytuację. Nic dziwnego, że ten wypadek skupił na sobie uwagę i wywołał zaniepokojenie całej Polski. Zrozumiałe, że samobójstwo czy nawet morderstwo, nie miałyby takiego rezonansu, jeśli nie było powiązane z jeszcze większym nieszczęściem – katastrofą samolotu, na pokładzie którego znajdował się prezydent i prawie cała polityczna elita Polski. W konsekwencji to straszliwe wydarzenie sprzed dwu lat w świadomości każdego Polaka nierozłącznie związało się z tragedią, która weszła do historii jako zbrodnia katyńska. Cały ten ciąg skojarzeń, który wywołuje wiadomość o śmierci nieznanego nikomu wcześniej Remigiusza Musia, kieruje moją uwagę na książkę *Do zobaczenia w piekle* Wojciecha Pestki.

*Do zobaczenia w piekle* – zbiór esejów spiętych w czasie i przestrzeni kłamrą II wojny światowej i powojennej biedy. Mimo pozornej fragmentaryczności, książka objawia się czytelnikowi niczym gęste płótno. Nie patrząc na kompozycję i zawartość fabularną każdego z esejów, zebrane razem przystają do siebie tak, że wspólnie tworzą szerszy obraz. Tu nie ma łączenia jakichś przypadkowych, mniej lub bardziej pasujących do siebie historii, dramaturgia tekstów jest przemyślana w szczegółach, o czym świadczą nazwy rozdziałów i podtytuły, w części pomagające autorowi określić czasowe i przestrzenne granice. Te wprowadzenia pozwalają nie tylko skrócić, ale całkiem zlikwidować dystans między czytelnikiem a tekstem, nieunikniony dystans, który powstaje, jeśli czytelnik nastawia się jedynie na teraźniejszość, a tekst ma charakter retrospekcji. W tej sytuacji nie istnieje potrzeba oglądania się, odwracania głowy. Wojciech Pestka sięga do przeszłości nie jak do źródła



teraźniejszego czasu, a ogląda ją jakby w czasie równoległym, który może, jeśli jest taka potrzeba, przecinać się z teraźniejszym. Całe płótno – książka Wojciecha Pestki – jest wieloplanowe, wielowarstwowe, wieloaspektowe. Ją (książkę) można rozpatrywać i czytać jako ciąg unikalnych, indywidualnych ludzkich losów, i jako przykład osobliwych odniesień między narodami, i jak historię regionu w okresie katharsis, i jak kronikę geopolitycznego kataklizmu... Poziom zrozumienia i interpretacji tekstu zależy jedynie od specyfiki recepcji estetycznej czytelnika.

Jednak wróć do tematu, który skłonił mnie do ponownego sięgnięcia po książkę Wojciecha Pestki *Do zobaczenia w piekle*. Moja uwaga skoncentrowała się właśnie na jednym z jej esejów, noszącym tytuł „Chatyń. Obszar zamierzonej tragedii”. Tym (mam na uwadze obywateli Ukrainy), kto narodził się, rósł i dojrzewał w czasach sowieckich, nie trzeba wyjaśniać, co to takiego – Chatyń. Każdy uczeń wiedział (najgorszy dwójkowicz musiał o tym słyszeć) o tej białoruskiej wsi, mieszkańców której od dziecka do starca (razem 149 osób, w tym 75 dzieci) żywcem spalono w kołchozowej stodole. Chatyń – miejsce strasznej tragedii z jednej strony, a z drugiej – jeden z ideologicznych symboli, od których roi się w szkolnej historii Wielkiej Ojczyźnianej Wojny (ta druga światowa wojna sprowadziła się do Wielkiej Wojny Ojczyźnianej), na jakich nas wychowywali. Ta nazwa symbolizuje bezdusność i okrucieństwa faszystowskich najeźdźców, a przy tym naszą uczciwość i moralną przewagę. Takie były lekcje sowieckiego patriotyzmu. O Katyniu, co rozumiałe, nie wiedzieliśmy niczego. →



Wojciech Pestka i Wasyl Stapczuk

Straszna, pełna nikczemności historia (wiosną 1940 roku w pobliżu Smoleńska przez NKWD zostało rozstrzelanych 4 421 polskich jeńców wojennych, ogólna liczba rozstrzelanych jeńców sięga 22 tysięcy). Na tyle nikczemna, że podczas procesu Norymberskiego sowiecka władza usiłowała przypisać ją Niemcom. Przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w dniach od 13 do 14 lutego 1946 roku zarzut referował prokurator J. Pokrowski, przedstawiając dowody: między innymi raport radzieckiej komisji Nikołaja Burdienko, w składzie której znalazł się także pisarz Aleksy Tołstoj – wyjaśnia autor eseju. A kiedy sprawa upadła, generał Rudenko, główny oskarżyciel ZSRR, wyjaśnił „nieporozumienie”, mówiąc, że sowieckim prokuratorom chodziło o białoruską wioskę Chatyń, spaloną przez Niemców. Jako by przyczyną pomyłki stało się podobieństwo nazw.

W. Pestka sugeruje, że podobieństwo tych nazw nie jest przypadkowe. Dlaczego, kiedy mowa o wybudowaniu monumentalnego kompleksu, mającego uwiecznić pamięć o spalonych wsiach, wybór padł właśnie na Chatyń? Przecież jedynie na terytorium Białorusi było 618 wsi, które podzieliły los Chatynia. Autor znajduje dowody, że początkowo to muzeum zostało usytuowane w okolicach Witebska, w pobliżu „małej ojczyzny” ówczesnego pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Białorusi, Piotra Maszerowa. A jeszcze można się dowiedzieć, że prawdziwa nazwa wioski to Chotyń, jednak litera „o” po wojnie przekształciła się w „a”. I że wioska ta była katolicka, a o ile katolicyzm kojarzy się z Polakami, to i jedynego dorosłego świadka chatyńskiej tragedii, któremu udało się przeżyć w tym piekle, Józefa Kamińskiego, przyszło przemianować na Josifa Kamińskiego, aby stał się uosobieniem losu rdzennych Białorusinów i nie wywoływał skojarzeń z Polską. Nawet więcej, jego daleki kuzyn, Mariusz Waszkiewicz twierdzi, że Josifa Kamińskiego nie było w Chatyniu, kiedy hitlerowcy palili wieś.

– Ale czy jest sens w szukaniu potwierdzenia – pyta Wojciech Pestka – I czy to coś zmienia?

W swoim śledztwie autor wciąż trafia na tego typu manipulacje i wyciąga wnioski, że cała sowiecka historia jest tworem ideologii i propagandy obliczonej na pomieszenie faktów i dezorientację.

– Nie wiem, czy słowem Chatyń próbowano wymazać z historii II wojny światowej słowo Katyń – kontynuuje rozważania Wojciech Pestka. – To nie zmienia ogromu tragedii tych ludzi, każdego z osobna, mężczyzn, kobiet, dzieci, zamkniętych w kołchozowej szopie, skazanych na śmierć w ogniu. – I dodaje: – To może jedynie świadczyć o cynizmie polityków.

Doprawdy, z cynizmem polityków może się jedynie równać cynizm innych polityków.

Dlaczego zostali rozstrzelani polscy jeńcy wojenni? Zanim zaczniemy szukać odpowiedzi na to pytanie, trzeba odpowiedzieć na pytanie, skąd ci jeńcy się wzięli. Nas uczyli, że druga światowa wojna rozpoczęła się 1 września 1939 roku, w rezultacie napadu faszystowskich Niemiec na Polskę. Ale to tylko połowa prawdy. Bo na tyły Polaków uderzyła Armia Czerwona. To znaczy dwa kraje (agresorzy) napadły na jeden. W rezultacie działań wojennych Armii Czerwonej zostało wziętych do niewoli prawie pół miliona polskich obywateli. Część z nich, mieszkających na terytorium, które weszło do ZSRR wypuścili, część oddali Niemcom, a z resztą postąpili według swojego pomysłu. A jakie u sowieckiej władzy były „pomysły”, dobrze wiadomo: jeśli nie Syberia, to rozstrzelanie, jeśli nie rozstrzelanie, to Syberia.

Dzisiejsze kierownictwo Rosji określa zbrodnię katyńską jako przestępstwo stalinowskiego reżimu, kładąc akcent na tym, że to była osobista zemsta Stalina za porażkę w sowiecko-polskiej wojnie 1920 roku. Jedyne, czego nie można zarzucić dyktatorom, że odnoszą się do swoich dyktatorskich obowiązków formalnie. Wszystko u nich jest osobiste i tylko osobiste.

Już nie ma potrzeby ukrywać Katynia pod Chatyniem, chociaż w sowieckiej historii nikt i tak nie dokonał rewizji, a zostało tam jeszcze niemało różnego rodzaju spraw, które dzisiejsi, ubolewający nad naszym systemem politycy chcieliby przypisać jakimkolwiek sposobem wrogim knowaniom.

WOJCIECH PESTKA *Do pobaczenia w pieklu*, przekład z polskiego Andrija Pawłyszyn, Lwów, wydawnictwo Astrolabija 2012, str. 192.

SERHIJ  
DZIUBA

# PRAWO DO ŻYCIA

(Prawo na żyttja)

CO TO ZNACZY BYĆ ŁOTYSZEM? ...Nie jest lekko, ale w tym samym momencie, gdybym był głęboko wierzący, to swoją poranną modlitwę rozpoczynałbym od podziękowania Bogu za to, że stworzył mnie przedstawicielem małego, a nie wielkiego narodu. To z powodu wielu czynników utrudnia moje fizyczne istnienie, ale to także zmusza mnie do o wiele głębszego i pełniejszego zastanowienia się nie tylko nad losem swojego narodu – jego boleścią, ale i jego odnową. I ten ból, jeśli się w nim nie zamykać, nie czynić go naczelną zasadą – staje się ożywczy dla ludzi i narodu. Własny ból czyni go szczególnie wrażliwym na cudzy ból, gotowym do rozumienia i rozmowy z innym narodem, ale nie z wynarodowionymi elementami. Z nimi nie mam możliwości kontaktu... – snuje rozważania jeden z najznakomitszych współczesnych łotewskich poetów Knuts Skujenieks.

Posiada masę nagród i listów gratulacyjnych od koronowanych głów, odznaczeń, honorowych tytułów, o których pisarz mówi żartobliwie: Orden de Isabella Catolica (Order Izabelli Katolickiej) daje mi prawo do zamorskich terytoriów i tubylczej ludności, to zwykle wywołuje uśmiech na twarzach moich gości – Knuts robi zabawną minę – komandorami tego odznaczenia byli Vasco da Gama i Krzysztof Kolumb...

Skujenieks – człowiek legenda. Tłumaczy z piętnastu języków, w tym także i z ukraińskiego. Po polsku rozmawiał z prezydentem Kwaśniewskim o swojej przyjaźni z Vairą Viķe –Freibergeri, prezydentem Łotwy w latach 1999–2007, bardzo dobrym psychologiem i specjalistą od folkloru.

Knuts to uosobienie serdeczności i otwartości, otacza go unikalna energia – tak o swej pierwszej wizycie w gościnnej siedzibie poety i jego żony Inty, naukowca – botanika mówi polska tłumaczka Justyna Szychalska – Skujenieks opowiadał o dzieciństwie, obozie, powrocie z wygnania na Łotwę. Robił to z wyjątkowym poczuciem humoru, ironicznie podchodząc do swoich tragicznych przeżyć. Nie litował się nad sobą. Wciąż podkreślał, że to, co stało się dla niego trudnym osobistym przeżyciem, było udziałem wielu innych jego rodaków. Nie wyczułam



w jego głosie cienia dumy, chociaż miałam świadomość, że jest w nim coś wyjątkowego.

Knuts urodził się w 1936 r. w Rydze. Ukończył moskiewski Instytut Literatury im. Maksyma Gorkiego. Za polityczną działalność został skazany na siedem lat obozu o zaostrowym rygorze. Jednak z godnością przeszedł te wszystkie doświadczenia losu.

Skujenieks to jeden z bohaterów zbioru esejów znanego polskiego pisarza, dziennikarza i tłumacza, Wojciecha Pestki. Jego rozmówcy mieszkają we współczesnej Polsce, na Ukrainie, Białorusi i Łotwie. To ludzie, których starały się zniszczyć totalitarne reżimy, zmienić ich życie w piekło. Ale nawet w takich strasznych warunkach nie utracili swojej godności i szlachetności.

Przy czym autor nie opisuje z dystansu ich losu, a mocno przeżywa wszystko, co dzieje się z jego bohaterami, jakby chodziło o życie najbliższych, najdroższych mu ludzi. Dlatego każda taka opowieść robi wrażenie swoją szczerością. Ale każdy z rozmówców tej wnikliwej, zadziwiającej książki ma swoją prawdę.

Polski muzyk i dyrygent pochodzenia żydowskiego Alfred Schreyer urodził się w Drohobyczu. Aktualnie żydowska gmina liczy 160–200 osób, a do wojny było 15 tysięcy – wspomina. Tu życie kwitło. Większość Żydów stanowili ludzie zamożni – adwokaci, bankierzy, lekarze, biznesmeni... Mojego tatę, jego brata, jego siostrę i babcię zagazowano w 1942. w Bełżcu, mamę udało się z tego transportu wydobyć, ona ze swoim ojcem została rozstrzelana w 1943. w lesie bronickim. Mnie i jeszcze pięciu chłopców wyciągnął esesman. Nie wiem dlaczego, kto zapłacił... – mówi Schreyer.

To jeszcze nie był koniec – wydawało się, że okrucieństwa nie mają końca. Więźniów przetrucano z obozu do obozu: do Turynгии, Buchenwaldu, Tauchy... Taucha to była filia obozu, zakład produkujący „pięści pancerne” do niszczenia czołgów – wspomina znany muzyk. – To było najstraszniejsze, od świtu do nocy ładowałem skrzynie pełne „panzerfaustów” do wagonów. Panował straszliwy głód, cały spuchłem, nogi miałem ogromne jak kłody. Amerykanie docierali już do Halle, nie było zaopatrzenia, sformowano kolumny i zaczęły się „marsze śmierci”. Dwa tysiące więźniów z miejsca na miejsce pod eskortą starych przerażonych chłopów z Volkssturmu (pododdziały ochotników niemieckiego pospolitego ruszenia stworzone pod koniec II światowej wojny – Wojciech Pestka). Byli okrutni, sparaliżowani strachem. Nie mogłem iść, trafiłem do ostatniego rzędu. Koniec. Uratował mnie jakiś Niemiec, dyrektor banku skazany za machlojki. Powiedział do tego ogłupiałego wieśniaka w mundurze, który na moich oczach bez skrupułów zabijał więźniów jak zwierzęta – zamordujesz największego śpiewaka operowego. Nie strzelił. Paradoksalnie przeżyłem dzięki śpiewaniu. Bo czasami wieczorem próbowałem śpiewać, żeby zapomnieć. Ale to wciąż nie był koniec, jeszcze był marsz do Roswein, do Fraibergu. O godzinie 7 rano 7 maja wjechał do obozu pierwszy sowiecki czołg. Następnego dnia były moje urodziny...

Ten sam Alfred Schreyer ciekawie opowiada o słynnym Brunonie Schulzu, który przez cztery lata był jego nauczycielem rysunków i prac ręcznych w drohobyckim państwowym Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły. A w drugiej klasie szkoły im. Henryka Sienkiewicza jego wychowawczynią była narzeczona przyszłego klasyka – Józefina Szelińska, osoba nadzwyczaj dystygowana. Ich niewiarygodna i tragiczna miłość zasługuje na nie jedną książkę i wywołujący zachwyty film... Jak wiadomo, Bruno Schulz został zamordowany w listopadzie 1942 roku. Według jedej z wersji zobaczył go na ulicy scharführer Karl Günther, krzyknął: Odwróć się! i dwukrotnie strzelił w tył jego głowy. Jedno słowo, zwróćcie uwagę...

– W latach dziewięćdziesiątych pojawiły się pierwsze tłumaczenia jego książek na język ukraiński. On tak jak i wcześniej jest zbyt trudny, mało kto czyta Schulza – mówi Schreyer. Obok przechodzi kobieta z kupionym w piekarni chlebem i wtrąca się w rozmowę: – Nie rozumiem tego... on nawet nie był katolikiem, jedynie pisał po polsku. Dlaczego robicie tyle zamieszania wokół jednego Żyda?

Ot, taka historia – tragiczna, paradoksalna, porażająca. Inne – robią podobne wrażenie. Spaleni przez hitlerowców mieszkańcy białoruskiej wioski Chatyni i zabicie jedenastu tysięcy polskich jeńców w Katyniu (taką liczbę podali rosyjscy prokuratorzy w Norymberdze, oskarżając Niemców o tę zbrodnię – przyp. tłumacza). Książd Ludwik Rutyna, który urodził się w pobliżu Buczacza i w 1945 roku, jak tysiące innych Polaków zmuszony był porzucić ojcowiznę podczas tak zwanej „repatriacji”, a w 1991 powrócił do kraju urodzenia. Łączniczka głównego komendanta UPA Romana Szuchewicza – Daria Husiak, skazana na dwadzieścia pięć lat więzienia. Białoruski pisarz, naukowiec, dysydent Jazep Januszkiewicz, który trafił do aresztu przez swoje umiłowanie ojczystego języka. Polski pisarz, eseista i myśliciel z huculszczyny Stanisław Vincenz, uciekinier z sowieckiego „raju”, który zmarł na emigracji w Lozannie. Ukrainka Teodozja Płytko–Sorochan aresztowana w 1945. i skazana na dziesięć lat więzienia o podwyższonym reżimie i dożywnie zesłanie...

„Nie można niczego uogólniać, mówić: wy Ukraińcy, wy Żydzi, Polacy – powtarza się w książce. – Nie ma takich generalnych prawd. Były psychozy podsycane przez propagandę, rodzące się ze strachu, chęci odwetu. Takie odium. Wydobywano te wszystkie najgorsze rzeczy, żeby dzielić, jednych przeciw drugim nastawiać. Bolszewicy opanowali tę sztukę do perfekcji. Ale przecież byli też dobrzy komuniści, trafiali się niktzemni Polacy, którzy zdradzali i donosili, Niemcy, którzy pomagali innym, ratowali życie, Ukraińcy, którzy zabijali i tacy, którzy dzisiaj jeszcze otrzymują z Polski listy z podziękowaniem za pomoc.

Właśnie to jest główną ideą, którą w sposób uargumentowany Wojciech Pestka dzieli się z czytelnikiem. Jego książka to nie tylko historia udokumentowana świadectwami naocznych uczestników, to – przestroga. Wszystkim nam pora wreszcie to zrozumieć i nie powtarzać haniebnych błędów, byśmy nie spotkali się w piekle stworzonym przez nas samych!

SERHIJ DZIUBA, CZERNIHIW, UKRAINA  
PRZEKŁAD Z UKRAIŃSKIEGO IWONA WASILEWSKA

WOJCIECH PESTKA *Do pobaczenia w pekli*, przekład z polskiego Andrij Pawłyszyn, Lwów, Astrolabija 2012, str. 192.

WOJCIECH  
PESTKA

# Jaki herb twój?

(Wilhelm Kotarbiński 1848–1921)

W POLSCE PRZEZ SZEREG LAT POZOSTAWAŁ ZAPOMNIANY, można było założyć z dużym prawdopodobieństwem, że pamięć o nim w końcu zaginie. W świadomości społecznej nie ma na niego miejsca, chociaż za życia cieszył się sławą i uznaniem – przestrzeń skojarzeń związanych z nazwiskiem Kotarbiński została ograniczona do autora *Traktatu o dobrej robocie*, wybitnego filozofa, prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

W Rosji jest uważany za jednego z największych rosyjskich malarzy symbolistów, chociaż po rewolucji etykietyka „ulubionego malarza” cara Mikołaja II nie przysparzała mu popularności: za „zasługi w dziedzinie malarstwa” w 1915 r. otrzymał od Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu tytuł akademika. Dopiero teraz, po raz pierwszy po przeszło 90 latach Państwowe Muzeum Rosyjskie w Sankt Petersburgu zdecydowało się pokazać jego monumentalny obraz *Orgia rzymska*, (wysokość 3, długość 5 metrów) na otwartej 20 grudnia 2017 r. wystawie „Henryk Siemiradzki i kolonia rosyjskich artystów w Rzymie”.

W rosyjskich encyklopediach i słownikach figuruje jako Rosjanin. W Ukrainie mówi się o nim jako o czołowym przedstawicielu kijowskiego „modernizmu”, czasami używając określenia „soborianin” odnoszącego się do grupy malarzy, którzy pracowali przy wystroju wnętrza soboru św. Włodzimierza w Kijowie. Zmarł mając 72 lata: poza dzieciństwem i młodością w Polsce, resztę życia spędził poza jej granicami: szesnaście lat w Rzymie i kolejne trzydzieści dwa w Kijowie. Na jego mogile ustawiono metalowy krzyż z tabliczką w języku rosyjskim: „Chudożnik Wilgielm Aleksandrowicz Kotarbinskij”.

W Europie na aukcjach jego obrazy osiągają zawrotne ceny: 15 marca 2007 w Szwecji *Nimfa wodna* – 1 800 tys. koron szwedzkich (około 753 tys. zł); 12 września 2007 w Szwajcarii *Dziewczyny w sukniach złotej i różowej* 130 tys. franków szwajcarskich (około 299 tys. zł); 12 czerwca 2008 w Anglii *Na tarasie* 115 650 funtów szterlingów (około 492 tys. zł)... – to dane sprzed kilku lat, bez trudu można je znaleźć w Internecie, przez ten czas notowania poszły w górę.



Wilhelm Kotarbiński (1848–1921)

Nie jest pierwszym utalentowanym polskim artystą, którego osiągnięcia i nazwisko podczas kolejnego przepisywania historii, świadomie lub przypadkiem zostało wymazane z kart narodowych.

Brał udział w wystawach we Lwowie (1881, 1882, 1894), Krakowie (1895), Poznaniu (1896), Berlinie (1896), nie licząc prawie corocznych salonów w Kijowie i Petersburgu. W Warszawie w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych swoje obrazy wystawiał wielokrotnie:

„1873 (*Św. Kajetan*), 1880, 1881 (*Libella, Wieńczenie hermów*), 1882 (*Idylla inaczej Rzymianki*), 1893 (osobna →



Wilhelm Kotarbiński, *W seraju*, olej/plótno, 89 × 193,5 cm, własność prywatna

wystawa *Orgii rzymskiej i Śmierci Messaliny*), 1895 (osobna wystawa *Amora i Psyche* i *Aniola cementarnego*), 1901 (wystawa 24 lub 25 prac m.in. *Pocałunek fali*, *Lotus*, *Grosz wdowi*, *Sulla*, *Ibisy*, *Pocałunek Meduzy*, *Nenufary*), 1902 (*Dolce farniente*), 1903 (*Wskrzeszenie Łazarza*), 1907, 1909 (*Samarytanie*).<sup>21</sup>

Nic więc zaskakującego, że w Sprawozdaniu Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie za 1922 r. zamieszczono wspomnienie pośmiertne poświęcone artyście:

„Ś.p. Wilhelm Kotarbiński, malarz i kompozytor, od wielu lat mieszkający w Rosji, gdzie zdobył duży rozgłos i stanowisko, zmarł w listopadzie w Kijowie. Urodzony 1850 r. w Warszawie – kształcił się w Warszawskiej Szkole Rysunkowej w epoce Rafała Hodziewicza. W 1869 wyjeżdża do Rzymu, gdzie uczęszcza do akademii św. Łukasza i gdzie pracuje do 1889 r. Nadsyłane z Rzymu obrazy w charakterze poważnych figuralnych kompozycji ustalają jego sławę niezwyklej siły kolorysty. Za jeden ze swych obrazów otrzymuje w 1894 r. na polskiej wystawie we Lwowie wraz z Alfredem Kowalskim i Weyssenhoffem medal złoty. Powróciwszy do kraju osiada w Mińszczyźnie, majątku żony – skąd po kilku latach przenosi się do Kijowa. W 1901 r. urządza zbiorową wystawę w Tow. Zachęty. Ze śmiercią Kotarbińskiego ubywa artysta niezwyklej miary, zdolny kompozytor i pełen harmonii kolorysta.”

Zaskakujące jest to, że współczesny mu autor tej wzmianki popełnia szereg rażących omyłek w odniesieniu do najważniejszych faktów i dat w jego życiorysie.

Urodził się 30 listopada 1848 r. w Nieborowie (a nie, jak pisze autor wspomnienia w 1850 r. w Warszawie), ochrzczony został 7 lutego 1849 r., jego ojciec Aleksander Kotarbiński był rachmistrzem w majątku Radziwiłłów. Wbrew woli ojca zdecydował się na studia artystyczne za granicą. „Skończyło się to tym, że spakowałem swoje rzeczy, pożyczyłem trochę pieniędzy od wuja, wyrobiłem zagraniczny paszport i pojechałem do Włoch, oczywiście do Rzymu, który znałem z lekcji historii, opowiadań znajomych, którzy jeździli do „wiecznego miasta” kłaniać się Ojcu Świętemu i z wiszącymi u ojca fotografiami. Towarzystwo „Sztuk Pięknych” dało mi trochę pieniędzy na drogę”<sup>22</sup>. Wyjechał w 1872 r. (według innych w 1971, ale nie w 1869), wrócił do Polski w 1888 r. (a nie 1889). Kupił dwór w Kalsku (powiat słucki, dziś Białoruś), urządził tam pracownię. Ponieważ konieczna była jego obecność w Kijowie – pracował nad malowidłami w cerkwi św. Aleksandra Newskiego, później soborze św. Włodzimierza – zamieszkał tam na stałe. Najpierw w pokojach gościnnych hotelu „Kane”, później w pracowni, którą zarządził w hotelu „Praga”. Po rewolucji bolszewickiej, w czasie wojny domowej, ze względu na narastające zagrożenie, na zaproszenie Emilii, żony Adriana Prachowa, przyjaciela i wybitnego malarza, kierującego pracami związanymi z wystrojem soboru św. Włodzimierza, przeniósł się do ich domu. Tu zmarł 4 września 1921 r. (a nie

1 J. Wiercińska, A. Melbechowska-Lury *Wilhelm Kotarbiński* [w:] *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających. Malarze, rzeźbiarze, graficy* t. IV Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1986.

2 M. Prachow *Strannicy przeszłego. Ocierki – wspomnienia o chudożnikach*, Kijów 1958.



Wilhelm Kotarbiński, *Gwiazda wieczorna*, olej/płótno, ok. 1900

w listopadzie 1922 r.), nie miał też żadnych zasług, jak sugeruje autor wspomnienia pośmiertnego, jako kompozytor: w tym względzie myli go z jego stryjecznym bratem Miłozsem Kotarbińskim.

Materiały źródłowe odnoszące się do Wilhelma Kotarbińskiego są skąpe, pewnie dlatego każdy epizod z jego niezwykłego życiorysu obrastał legendami. Są to strzępy informacji, które pojawiają się we wspomnieniach jemu współczesnych, m.in. jego uczennicy Marii Baszkircowej, (*Dniownik*, Moskwa 2005), pisarza, krytyka i historyka sztuki Władymira Diedłowa, (*Kijewskij, Władimirskij sobor i jego chudożestwiennyje tworcy*, Moskwa 1901), jego kolegów malarzy: Michaiła Niestierowa, (*Wspominanija*, Moskwa 1985), Mykoły Muraszko (*Spohady staroho wczytela*, Kijów 1964), listach krytyka sztuki Władimira Stasowa (*Pisma k diejatielam ruskij kultury*, Moskwa 1962)<sup>3</sup>. Fragmentaryczne wiadomości o Wilhelmie Kotarbińskim można także znaleźć w katalogach wystaw, sprawozdaniach i recenzjach zamieszczanych w pismach ukazujących się w Kijowie, Petersburgu, Lwowie, Berlinie, Krakowie, Warszawie (m.in. pisała o nim „Biesiada Literacka”, „Wędrowiec”, „Kłosy”, „Dwutygodnik dla Kobiet”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Prawda”, „Kraj”). Jednak najważniejszym źródłem informacji o jego życiu są eseje *Strannicy przeszłego. Oczierki – wspomnienia o chudożnikach* [Stronnice przeszłości. Eseje – wspomnienia o artystach], Kijów 1958 – wszędzie tam, gdzie pojawiają się odwołania do wspomnień Mykoły Prachowa chodzi

o cytaty z tej książki. Jej autor, syn Adriana Prachowa, był nie tylko naocznym świadkiem wydarzeń, w obejmującym ponad trzydzieści lat okresie pobytu Kotarbińskiego w Kijowie, ale wraz ze swoją siostrą Eleną opiekował się nim w ostatnich latach życia, kiedy ten zamieszkał w ich domu. Po śmierci „dieduszki Wilhelma” Mykoła postawił na jego mogile metalowy krzyż, zaś kolejne pokolenia opiekowały się grobem i podtrzymywały pamięć o wybitnym polskim malarzu.

„Trzy dni nie jadłem niczego – wspominał Wilhelm Aleksandrowicz – ale ukrywałem to przed modelem: „honor” nie pozwalał mi się przyznać. W pobliżu pracowni znajdował się mały spożywczy sklepik [...] doczekałem momentu, kiedy właściciel wszedł z kupującym coś do środka, rozejrzałem się wokół – przechodniów nie było w pobliżu – chwyciłem największy z chlebów, wsunąłem pod marynarkę i pobiegłem ulicą. [...] Bochenek zjadłem łączywie popijając zimną wodą z fontanny”. – tak Kotarbiński relacjonował Mykole Prachowowi przygody, jakie przytrafiły mu się podczas studiów w Rzymie. Nie stać go było na hotel, nocował w pracowni, której umeblowanie składało się „ze stołu, połamanego krzesła, sztalug i stojącego w kącie pogryzionego przez myszy ogromnego manekina, z którego wychodziła słoma. Na noc przewracał stół, przywiązywał do jego czterech nóg jedyne prześcieradło i spał doskonale w tak zaimprovizowanym hamaku. Rano doprowadzał wszystko do porządku”. Doszło do tego, że znaleziono go nieprzytomnego, wycieńczonego głodem i gorączką. Stwierdzono dur powrotny (tyfus). Od śmierci uratował go doktor Wendt, który zawiadomił mieszkających w pobliżu rosyjskich

3 Odpowiednio: M. Baszkircewa *Dziennik*; W. Diedłow *Kijowski włodzimierzowski sobór i jego artyści*; M. Niestierowa *Wspomnienia*; M. Muraszko *Wspomnienia starego nauczyciela*; W. Stasowa *Listy do działaczy rosyjskiej kultury*.

malarzy, Aleksandra i Pawła Swiedomskich, że umiera ich rodak. Zaopiekowali się Kotarbińskim, a kiedy wyzdrowiał, pomogli mu w urządzeniu pracowni, zaprosili do Kijowa do zdobienia malowidłami soboru św. Włodzimierza. Zostali jego najlepszymi przyjaciółmi.

Finał tej desperackiej kradzieży bochenka chleba był konsekwencją zasad, którym pozostawał wierny Kotarbiński: „Później, znacznie później, kiedy moje sprawy uległy poprawie, poszedłem do tego właściciela, powiedziałem mu, że jestem mu winien za chleb i zapłaciłem jego równowartość. Włoch bardzo się zdziwił – w żaden sposób nie mógł we mnie przypomnieć sobie swojego klienta, któremu dawał chleb na kredyt”.

Na pierwszym miejscu stawał malowanie, było sensem jego życia, na drugim szachy – przysłowie mówi, że kto ma szczęście do gry ten nie ma szczęścia w miłości: „Miałem dziewiętnaście lat, kiedy zakochałem się w kuzynce i postanowiłem zostać malarzem. I jednego i drugiego ojciec nie aprobował: na ożenek z kuzynką nie pozwalał Kościół rzymskokatolicki, a bycie artystą, robienie szyldów, malowanie podłóg i płotów – było w rozumieniu mojego ojca „niegodne szlachcica”. Nie było żadnej możliwości, by go przekonać”. – Mykoła Prachow przywołuje wspomnienia Wilhelma Kotarbińskiego – „Kuzynka, w której Kotarbiński był zakochany, owdowiała i kiedy

zakończył się wyznaczony zgodnie z zasadami Kościoła rzymskokatolickiego okres żałoby, połączyli swoje losy. Nie wiem – czy czas był tego przyczyną, ale romantyczne małżeństwo nie okazało się szczęśliwym. Wkrótce po ślubie, który miał miejsce w Warszawie, Kotarbiński przyjechał z młodą żoną do Kijowa, żeby pokazać jej miasto, swoje malowidła w soborze włodzimierzowskim i poznać z przyjaciółmi. Miasto była kuzynka obejrzała, w soborze zjawiała się w gęstej, czarnej woalce, wieczorem, kiedy rozeszli się wszyscy artyści i odmówiła poznania przyjaciół swojego męża. Bracia Swiedomscy zapewniali, że „urocza kuzynka” to taka „róża”, że na ulicy konie się płoszą. To dlatego skrywa ją przed wszystkimi, a starszy, ekscentryczny Aleksander podśpiewywał kuplety z jakiejś operetki: „Żona moja – krasawica, ulicami paraduje, dorożkarze przeklinają, że konie im tremuje...”. Wkrótce to spóźnione małżeństwo przekształciło się w fikcyjne, kuzynka została w swoim majątku gdzieś w okolicach Wilna, a Wilhelm Aleksandrowicz wrócił do Kijowa i na stałe osiadł w hotelu „Praga” na ulicy Włodzimirskiej”.

Legenda mówi, że był już nieprzytomnie, chociaż platonicznie zakochany w Emilii, żonie swojego przyjaciela Adriana Prachowa, zdolnej pianistce, uczennicy Ferencza Liszta – świadczyć o tym ma jej portret namalowany przez Kotarbińskiego.



Wilhelm Kotarbiński, *Satyr grający na fletni*, 1902, Białystok



„Wasniecowa pisze ikony a Swiedomski (a co za tym idzie Kotarbiński) – obrazy, do których ludziom, którzy się modlą, pozwala się podczas nabożeństwa stać tyłem. Cała centralna i środkowa część soboru jest pomalowana przez Wiktora Michajłowicza [Wasniecowa] a przez Pawła Ołeksandrowicza [Swiedomskiego] – części boczne. Jedno drugiemu nie przeszkadza, a różnica stylów nie narusza dekoracyjnej spójności malowideł soboru” – tak według Mykoły Prachowa jego ojciec odpowiadał na pytania, dlaczego zatrudnił Swiedomskiego i Kotarbińskiego do prac przy wystroju soboru. Nazywał ich w żartach „wariagami” [wikingami]. Kotarbiński wśród przyjaciół malarzy uchodził za marzyciela i idealistę. „Rosyjski artysta może być idealistą, ale fantastycznym artystą-malarzem, jakich wśród Polaków niemało, nie stanie się nigdy. Kiedy Swiedomski maluje, to pracuje. Kotarbiński – marzy, marzy zawsze, niezmordowanie, w czasie, gdy pracuje i wtedy, gdy odpoczywa” – pisał o nim we wspomnieniach Diełłow. Był marzycielem i idealistą, który uporczywą, ciężką pracą płacił za swój sukces. „W głowie Wilhelma Aleksandrowicza Kotarbińskiego roily się, jak pszczoły w ulu, wciąż nowe i nowe idee, domagające się natychmiastowego urzeczywistnienia. Rysował na wszystkim, co popadło, co przypadkowo podeszło pod rękę i wszystko, co rozbłysło w świadomości: kobiece i męskie twarze, przypadkowo zobaczone w tramwaju, kwiaty, liście, pejzaże, architektoniczne, antyczne motywy. Wszystko to pojawiała się w zeszytach w jedną linię, na starych wizytówkach, kartkach czy nadrukowanych kopertach. Długie pasy grubego „whatnama” pokrywały się z obu stron dziesiątkami różnorodnych kompozycji przyszłych sepii. Sepie Kotarbińskiego pojawiły się w następujących okolicznościach: po pracy we włodzimierskim soborze w Kijowie „bezdumni malarze”, jak ich nazywała moja matka – bracia Swiedomscy i Kotarbiński przychodzili do nas razem z moim ojcem na obiad. Podczas obiadu, rozmawiając o czekającej pracy, z fascynacją rozpowiadając o sztuce, ołówkami ilustrowali swoje myśli bezpośrednio na obrusie. [...] Zadziwiająca pracowitość była charakterystyczną cechą artysty Kotarbińskiego. Prawie do śmierci nie odkładał pędzla i ołówka.” – wspominał Mykoła Prachow.

Wilhelm Kotarbiński czuł się Polakiem – świadczy o tym chociażby taki drobny epizod zanotowany przez Mykołę Prachowa: „Wystawa Wilhelma Aleksandrowicza Kotarbińskiego w Petersburgu w Akademii Sztuk Pięknych w 1900 roku, na której zostało pokazanych około stu pięćdziesięciu sepii i seria dużych płócien olejnych, była wielkim sukcesem. Paweł Michajłowicz Trietiakow wybrał dla swojej galerii *Grosz wdowi*. Zakup nie doszedł do skutku tylko dlatego, że Trietiakow zażądał, żeby malarz zamienił swój zwyczajowy podpis łacińskim alfabetem na



Projekt pomnika W. Kotarbińskiego (autor W. Korczowij), fot. W. Pestka





Wilhelm Kotarbiński, *Pieśń deszczu*, olej/płótno, 125,5 × 62,5 cm, ok. 1900

podpis cyrylicą. Kotarbiński odmówił. – „Zawsze tak się podpisuję i dla pieniędzy nie będę przerabiał swojego podpisu. Kupuje pan obraz, a nie mój autograf”. Żona Pawła Michajłowicza bardzo ubolewała z powodu nieudanego zakupu, prywatnie nabyła dla siebie szkic tego obrazu, który po jej śmierci zwyczajowo trafił do Galerii Trietiakowskiej”.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 zamierzał wrócić na łono ojczyzny, wspomina o tym w swojej książce Olgierd Budrewicz,<sup>4</sup> nawet spakował i wysłał większość obrazów, ale zagięły w drodze, nie dotarły do adresata. Z tego okresu pochodzi „List ochronny” o numerze 2907 w języku polskim i rosyjskim poświadczający tożsamość i obywatelstwo datowany na 21 marca 1919 r. „Sekcja Polska Królewsko-Holenderskiego Konsulatu Generalnego w Kijowie zaświadcza, że Wilhelm Kotarbiński z Warszawy ur. 1848 r. wyznania Rzymskokatolickiego zawód Artysta-malarz zamieszkały czasowo w Kijowie jest istotnie obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej i jako taki pozostaje pod opieką Królewsko-Holenderskiego Konsulatu Generalnego w Kijowie”.

Miesiąc wcześniej Kijów zajęły oddziały Armii Czerwonej, rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka – nie zamierzał ukrywać, że jest Polakiem.

.....  
4 Olgierd Budrewicz: *Sagi warszawskie, czyli sensacyjne i powszednie, romantyczne i prozaiczne dzieje dziesięciu wielkich rodów warszawskich*. W-wa 1967, s. 134.



Mogiła W. Kotarbińskiego na Cmentarzu Bajkowym w Kijowie, fot. W. Pestka

O ilości utraconych bezpowrotnie płócien możemy wnioskować na podstawie kart pocztowych z reprodukcjami obrazów. Jego popularność była tak duża, że kijowskie wydawnictwo „Rasswiet” w 1914 roku zdecydowało się na wydanie serii pocztówek z pracami Wilhelma Kotarbińskiego (większość z nich z opisami w dwu językach: rosyjskim i francuskim). Wybuch I wojny światowej skłonił malarza do włączenia się w działalność charytatywną na rzecz jej ofiar: kartki z jego rysunkami wzywały do pomocy na rzecz rodzin żołnierskich. Z tego okresu pochodzą także kartki o charakterze propagandowym „Kijów – Polska”, „Żytomierz – Polska” nakłaniające do ofiarności na rzecz ludności polskiej. „Komitet Jej Imperatorskiej Wysokości Wielkiej Księżnej Tatiany Nikołajewnej” zajmujący się udzielaniem doraźnej pomocy ofiarom działań wojennych 12 stycznia 1917 r. nagrodił go za działalność dobroczynną srebrnym, imiennym medalem. Rewolucja październikowa, a później bratobójcza wojna drastycznie zmieniły sytuację malarza.

„W czasie wojny domowej hotel „Praga” trzykrotnie był zajmowany przez komendanturę na potrzeby armii czerwonej – wspomina Mykoła Prachow – Wszystkich mieszkańców wykwaterowano, ale nie ruszono Kotarbińskiego. [...] Tego dnia, kiedy armia czerwona po raz trzeci zajęła Kijów Kotarbiński jadł obiad u mojej mamy na Trochswiatytskiej 20. Obiad był wczesny. Wieczorem ulice były słabo oświetlone i późno chodzić nie pozwalało. Kotarbiński postanowił wracać. Zdążył się ubrać, kiedy od strony Władymirskiej ulicy zaterkotał krótką serią karabin maszynowy „Lewis”. [...]

– A wiecie co, Wilhelmie Aleksandrowiczu – nieoczekiwanie zaproponowała moja matka – lepiej nie idźcie do siebie, zostańcie u nas. W gabinecie urządzimy sypialnię, a w dużym pokoju będzie wasza pracownia i wystawa – i tak będziemy mieszkać, wszyscy razem. [...]

– Nigdy nie bałem się przewrotów – powiedział podczas wieczornej herbaty – a tu nagle, kiedy zęgałem się z wami, zastukała ta diabelska „maszyna do szycia” i ja nie wiadomo dlaczego pomyślałem: teraz mnie zabiją – wystarczy tylko otworzyć drzwi na schody.

Tej nocy jego pokój w hotelu „Praga” przetrząsnęto w poszukiwaniu broni, ale niczego nie zabrano i nie zniszczono. Rankiem następnego dnia Wilhelm Aleksandrowicz poszedł ze mną do siebie. Stojący przy wejściu do hotelu wartownik przywołał komendanta i ten pozwolił malarzowi „zabrać to swoje barachło”.

Kotarbiński przez tyle lat w swej twórczości sięgał po wątki fantastyczne, symboliczne, że nawet jego śmierć przypominała przejście do wyobrazonego świata. „Wilhelm Aleksandrowicz umierał w pełnej świadomości, powoli [...] Leczył go rodak, doktor Jakubowski, młody jeszcze Polak, jego przyjaciel, a siostra moja ostrożnie opiekowała się chorym i pedantycznie przestrzegwała przyjmowania w określonym czasie wszystkich przepisanych przez doktora lekarstw i spożywania dietetycznych pokarmów przygotowanych przez nią dla chorego. [...]

– Mykoła Prachow przywołuje w swych wspomnieniach okoliczności śmierci Kotarbińskiego. – Każdego ranka rościło mu się, że ktoś przychodzi do jego pokoju, siada na

łóżku w nogach i gra z nim w szachy „na ślepo” bez szachownicy i każdego razu przegrywa – i milcząc wychodzi. Pewnego razu, kiedy siostra przyniosła choremu poranne śniadanie powiedział – dziś znów przyszedł, grał ze mną i dzisiaj wygrał, znaczy dzisiaj umrę. Powiedział to tak spokojnie, jakby mówił: – dzisiaj pójdę na spacer. Umarł pod wieczór, spokojnie, w pełni świadomości, pożegnawszy się z moją matką i siostrą”. Stało się to 4 września 1921 r.

Ingmar Bergman, kręcąc *Siódmą pieczęć* (premiera: 16 lutego 1957 r.) inspirował się obrazem *Śmierć grająca w szachy* pędzla Albertusa Pictora (1440–1507) z kościoła w Täby. Nikt już się nie dowie, czy wiedział, że kluczowy motyw szachowego pojedynku ze śmiercią nie jest tylko genialnym scenariuszowym chwytem.

■

Ps. W 2014 r. wspólnym wysiłkiem wydawnictw „Ukrajnkyj pysmennyk” i „Ukrainski propileji” ukazał się liczący prawie 600 stron album *Wilhelm Kotarbińskij (1848–1921)* z reprodukcjami prac, rok później kolejny, tym razem w wydawnictwie „Wakler” pod takim samym tytułem *Wilhelm Kotarbiński*, w 2016 inspirowana postacią malarza, obsypana nagrodami bajka dla dzieci *Jiżak Wilhelm* Tani Stus w wydawnictwie Vivat w Charkowie. Ukraińskie środowiska intelektualne i artystyczne planują z okazji przypadającej w 2018 roku 170. rocznicy urodzin Wilhelma Kotarbińskiego wmurować tablicę pamiątkową na domu, w którym spędził ostatnie lata, a nawet jeśli się uda postawić pomnik obok soboru św. Włodzimierza. Autorem projektów: tablicy i pomnika jest znany ukraiński artysta rzeźbiarz Wasyl Korczowyj. W Rosji kręcą dokumentalny film... W Polsce w sprawie Wilhelma Kotarbińskiego bez zmian.



Wilhelm Kotarbiński, *Kobieta-ważka*, olej/ płótno, 125×62,5 cm, Łódź, Muzeum Sztuki

# Dwie kobiety w podeszłym wieku

## Kilka słów wstępu

W PRACY REPORTERSKIEJ PRZYTRAFIAJĄ SIĘ czasami zaskakujące sytuacje, kiedy dwaj nieznający się wzajemnie rozmówcy byli w przeszłości świadkami tego samego wydarzenia: przebywali w tym samym czasie w tym samym miejscu. Ich wspomnienia są pełne różnic wynikających z pozycji społecznej, wykształcenia, wrażliwości, ale dopiero w tym zderzeniu pojawiają się refleksy ponadczasowej prawdy.

Teodozję (Odosiję) Płytką-Sorochan poznałem w 2007 roku podczas zbierania na Pokuciu (Ukraina) materiałów do reportażu o życiu Stanisława Vincenza. Drogę wskazała mi sprzedawczyni małego sklepu z „produktami” przy przystanku „marszrutek” w Krzyworówni. Mieszkała samotnie w drewnianym, chylącym się ze starości domu na granicy lasu – ścieżka biegła od cerkwi przez cmentarz, a później wzdłuż strumienia przez połoninę. Spędziłem u niej całe popołudnie, rozmowę, która trwała kilka godzin, zarejestrowałem na dyktafonie. Cztery miesiące później w Łucku podczas przypadkowego spotkania znów padło słowo Kołyma. Poprosiłem znajomych o odświadczenie Nadiji Artiomowej, więźniarki łagrów wspomnianej w rozmowie – jak się okazało mieszkała w centrum miasta na czwartym piętrze bloku przy ulicy Woli. Te dwie relacje spłotyły się we wstrząsającą opowieść o życiu więźniów sowieckich łagrów na Kołymie. Reportaż „Dwie kobiety w podeszłym wieku” zamieściłem w zbiorze *Do zobaczenia w piekle* (Warszawa 2008). W 2010 roku w przejeździe z Wierchowiny do Kosowa postanowiłem odwiedzić Krzyworównię: w Muzeum im. Iwana Franki obejrzałem izbę poświęconą Stanisławowi Vincenzowi (w jednej z gablot eksponowano egzemplarz pisma „Lublin, Kultura i Społeczeństwo” z reportażem o polskim pisarzu), później z książką w plecaku powędrowałem na połoninę do Teodozji Płytką-Sorochan. Mimo że minęły ponad dwa lata od naszego spotkania, wydawało mi się, że na mnie czeka – na półce miała odłożone zdjęcia, o które ją wtedy poprosiłem i tomik wierszy z dedykacją dla mnie. W 2012 roku książka *Do zobaczenia w piekle* została przełożona na język ukraiński i ukazała

się we Lwowie. Wydawnictwo Astrolabija zorganizowało szereg spotkań autorskich w ramach imprez towarzyszących Targom Książki Arsenal w Kijowie. Gościem honorowym spotkania w Łucku w Wołyńskiej Obwodowej Dziecięcej Bibliotece była Nadija Artiomowa.

Obu moich rozmówczyń nie ma już na tym świecie, jednak mimo upływu lat wciąż wracam myślami do związanych z nimi wspomnień. Porusza mnie i intryguje spokój wewnętrzny i pogoda ducha jaką udało się im zachować mimo okrucieństwa, wstrząsających przeżyć, nieludzkiego traktowania ze strony sowieckiego totalitaryzmu.

## Wprowadzenie

NADIJA: Moja córka, której dobrze się powodzi, opływa w dostatki, mieszka w Rosji, wybrała się ze swoim synem w zeszłym roku do Magadanu. Polecili samolotem. Wynajęli taksówkarza na cały dzień. Przywieźli zdjęcia, film. Byli w porcie (tutaj przywozili więźniów, „zeka”, stąd wieźli ich etapami do obozów wzdłuż całej Kołymy – tłumaczył taksówkarz), oglądali pomnik ofiar (wszystkie narodowości na tablicy, podobno nawet Amerykanki tu były – pokazywał z dumą tablicę na cokole), zjeżdżili miejsca po obozach (szkoda, kto tu przyjedzie, jaki turysta, ślady się zacierają – ubolewał). Córka się nie przyznała, że tam urodzona, nie wiadomo, kto on. (Nadija Iwanowna Artiomowa, miejsce zamieszkania – Łuck)

Teodozija: O wujku, który walczył o wolną Ukrainę, napisałam w wierszu: kto Boga prosi to wróg strzelać będzie, a Bóg kule nosi. A o Moskalach i Parasce napisałam: obiecali Moskale raj i wolność nam, ja im uwierzyłam i w niewolę popadłam, wróciłam z niewoli i doznałam niełaski, a z powodu kogo, z powodu Paraski. Byłyśmy jak dwie brzozy, białe siostry w płaczu, w Krzyworówni jest muzeum Paraski\*. Ona mała, ledwie odrosła od ziemi, siedzi na ławie z rozdziawionymi ustami, słucha: chce to wszystko zjeść, o czym wujko rozpowiada, za co wojowali – pamiętam jej słowa. Modlitewnik, o którym Moskale mówili, że spalony, przekazałam do muzeum z przekazaniem, aby opisali jego historię. A w kącie sali domu →



TEODOZIJA (ODOSIJA) PŁYTKA-SOROCHAN, urodzona w Krzywiorówni w Karpatach 9 czerwca 1921 roku. Aresztowana w 1945, skazana na dziesięć lat ciężkiego obozu i dożywotnie zesłanie. Zwolniona bez prawa powrotu w 1954 roku, uzyskała zgodę na zamieszkanie w rodzinnej wsi w październiku 1956 roku. Autorka trzech tomików poetyckich. Zmarła 14 lutego 2017 roku w wieku 96 lat.

kultury w Wierchowinie, tam, gdzie teraz stoi fortepian, czekałam na śmierć, rozstrzelanie. (Teodozija (Odosija) Płytko-Sorochan, miejsce zamieszkania – Krzywiorównia)

\* (Paraska Płytko-Horycwit, 1927–1998, ludowa twórczyni i poetka – przypis autora)

### Przed rokiem 1918

NADIJA: Z dawien dawna moja rodzina wywodzi się ze wsi Hołoby w pobliżu Kowla.

Teodozija: Wszyscy rodziliśmy się na Huculszczyźnie, w Krzywiorówni. Brat mamy był wcielony do armii za monarchii w 1914 roku, służył do 1917, zdezerterował, w pełnym uzbrojeniu z parą koni i karabinem maszynowym przedarł się do Strzelców Galicyjskich, nazwanych później Siczowymi. Kureń jego brał udział w zdobyciu Kijowa w marcu 1918 roku, aż do rozgromienia walczył pod komendą Konowalca, dostał się do niewoli u Moskali.

### Od uzyskania niepodległości do 17 września 1939 roku

NADIJA: Urodziłam się tu w 1923 roku, w Polsce. Powiat kowelski, wieś Hołoby. Ojciec był „chleborobem”, ale kim innym mógłby być, używając dzisiejszych określeń: producentem rolnym, wiejskim gospodarzem. My przy ziemi, handel przy Żydach, po urzędach i na kolei siedzieli Polacy. Żyliśmy zgodnie, jak wielka rodzina, razem. Domy ukraińskie, polskie, razem święta: raz u nich i zaraz u nas, nasze zabawy wspólne, majówki wiosną, zimą sanki, kulig na śniegu, ale od Żydów z daleka, niech sobie tam po ichniemu. Wieś duża, ludna, prawie cztery tysiące, swoje urzędy, swoja stacja kolejowa, swój kościół i cerkiew, tylko pałac Wilgów, ale też mówiono na niego swój. I nawet swój stary, czyli polski cmentarz. Szkoła jedna, polska, siedmioklasowa, powszechna, nie to, co te czteroklasowe po wioskach. Nas w niej zapisywali jako Ruskich, ale nikt nie robił różnicy, tylko w domu mówiono: ty nie Ruska, ty Ukrainka. W Polsce do 1939 roku sześć klas w polskiej szkole skończyłam.

TEODOZIJA: Uciekając od Moskali „wujko” trafił na Polaków, zasądzi go na rozstrzelanie, ale wyrwał się, wrócił, a kiedy i tu przyszli, ukrywał się, przekradł na Rumunię, przeżył tam, zarobił „hroszy”, wrócił, zamieszkał w domu za chatą Paraski, w której teraz jest muzeum.

Mówię o sobie: grzeszna Dozja, urodziłam się 9 czerwca 1921 roku. Brałam nauki jeden rok, na szkołę oddał izbę Wasyl Jakibjuk, gospodarz, u którego niejedną raz zatrzymywał się Iwan Franko. Co do Polaków, prawda, wyszło to brzydko, drugiej klasy nie dochodziłam, bo na mnie zawzięli się chłopcy komendanta posterunku policji: Roman i Zbyszko. Ale z drugiej strony miałam też przyjaciółkę z tego samego roku, Józję Tomaszewską, „szykarną” dziewczynę, piękną „Polaczkę”. Słuchałam opowiadań wujka i zastanawiałam się, gdzie jest ta Ukraina, o którą oni wojowali, w szkole też o niej nie słyszałam.

### Do ataku Niemiec 22 czerwca 1941 roku

NADIJA: Siódmą klasę już kończyłam w szkole sowieckiej, w Rosji. Na początku, jak przyszyli, to nas nie ruszali, był spokój, tylko po cichu wywozili Polaków, policjanci uciekli, więc tych, co zostali, lekarza, nauczycieli... Ojca zabrali do Armii Czerwonej.

Teodozija: Przyszli Moskale i robili swoje porządki. Zaczęli uciekać na zachód inteligenci. Worochta była pilnowana, tam była stacja kolejowa, więc szli przez nasze „sioło”, przedzierali się przez góry. Punkt, w którym się zatrzymywali, etap, był w cerkwi, tam zwykle zostawiali część bagażu, zbędne rzeczy, książki. Szli szlakiem tatarskim.

### Przez okres Wielkiej Wojny Ojczyźnianej do wyzwolenia

NADIJA: Przyszli Niemcy. Pierwsze spędzili Żydów „w jeden kutok”, ogrodzony płotem. Młodych i starych, dzieci, kobiety, mężczyzn, wierzących w Boga i przechrzczonych: ateistów, agitatorów. Dwa razy ich rozstrzelali w lesie, do jednego dołu. Dopiero wtedy zaczęli ruszać nas na roboty, najpierw niby dobrowolnie, zaczęli od mężczyzn, dawali wybór: do ukraińskiej policji albo do Niemiec. Z tych, co nie pojechali, reszta do batalionów pomocniczych albo do lasu. Partyzantka była różna: polska, ukraińska i komunistyczna, sowiecka. Jedni szli przeciw drugim, a tylko czasami razem, przeciw niemieckim żołnierzom. W maju 1943 przyszedł z lasu od ukraińskiej armii rozkaz: wszyscy policjanci jak jeden zabrali broń, przeszli do UPA. Wtedy zaczęły się prawdziwe represje od Niemców – polowania na mężczyzn, nie pytali o nic: kto, dlaczego, tylko pod płot i zabity. Straszny czas, kto chciał strzelić to szedł i zabijał. Wieś opustoszała, nikt nie został, wszyscy uciekli, gdzie kto mógł, ale drzwi do domu zostawiali otwarte, samogon, słonina, jajka na stole, żeby chaty nie spalili.

TEODOZIJA: Po Moskalach pojawili się Niemcy, zaczęli wywozić na roboty. Wtedy przyszedł czas i na mnie, musiałam zarejestrować się w ukraińskim Komitecie, żeby mnie nie wywieźli poszłam na służbę do cerkwi. Miałam już 20 lat i byłam wielu rzeczy świadoma. Czytałam nocami książki o wielkim głodzie, tam były i takie ilustrowane, ze zdjęciami i płakałam, nie mogłam uwierzyć. Z tamtego czasu miałam zostawiony przez uciekinierów z Winnicy modlitewnik. Rozgromili nas Niemcy, podejrzewali organizację, cudem przeżyłam, wzięli ze wsi na przesłuchania 25 osób, tylko jeden chłopiec wrócił, niespełna rozumu. Wtedy już zaczęły się zbierać kobiety, szyły koszule dla naszych, szykowały bandaże, piekły chleb.

### Wyzwolenie, Armia Czerwona

NADIJA: Przez Hołoby przeszła Czerwona Armia, o wieś jeszcze zawadzały resztki oddziałów niemieckich. Wrócił ojciec i został, mówili o nim „frontowik”, stacjonował w Łucku. KGB w tym czasie nie działało we wsi, robili wypadki z zaplecza, z tyłów, mieli swoje listy. Otczyli dom, pokazali nakaz podpisany przez wojskowego prokuratora. Broni nie znaleźli, bo skąd, szukali radia, ale też nie znaleźli, nie mieliśmy radia, w końcu tylko zabrali książkę „Historia Ukrainy”, to wystarczy: „wot swołocz, chwatit”.

Noc trzymali w areszcie, gdzieś na tyłach, później było śledztwo w Łucku, bili i znęcali się tydzień, na okrągło tylko: mów, powiedz, mów kto jeszcze..., zabrali na sąd.



NADIJA IWANIWNA ARTIOMOWA: urodzona w 1923 roku w Hołobach w pobliżu Kowla, aresztowana w 1943 roku, skazana na dziesięć lat obozu o zastrzyżonym reżimie, zwolniona po odbyciu kary bez prawa powrotu, po dziesięciu latach przymusowego osiedlenia w Magadanie powróciła do Łucka. Zmarła 7 grudnia 2015 roku w wieku 92 lat.

Brali nas po pięciorko, siadać na podłodze, w pokoju stół, za stołem ludzie w mundurach, czytali: ty dwadzieścia, ty piętnaście, tamtemu dwadzieścia pięć lat. Prosiłam (wstać, o co prosisz sąd, ostatnie słowo), żeby rodziców nie wywozili „w Sybir”, wszyscy o to samo prosili.

TEODOZIJA: Wiedzieliśmy, kto idzie, którądy, chociaż telefonów nie było. Sotnie stały po tamtej stronie gór, jak przyszli Moskale, to z tamtej strony, przez Czeremosz trudno było przejść, strzelali. Niemcy wiadomo, mordowali, po lasach znajdowaliśmy poczerwiałe zwłoki, ale nie tak jak Rusczy. Z Polakami nie walczyliśmy, tu ich nie było. Wiosną 1945 pojechałam na szewczenkowskie święta nad Białym Czeremoszem, wróciłam, a tu niemal z każdej chaty ktoś aresztowany, wujko, Paraseczka też, byliśmy zdradzeni przez chłopca, który wokół niej się kręcił. Schwytali mnie po tygodniu, ruszyła nocą obława z Kosiwa, za późno mnie ostrzegli. Zapędzili nas do Wierchowiny, tam zabici, ledwie żywi, pomieszani leżeli →



Czarnohora. Najwyższa część Beskidów Połonińskich

nasi i ludzie ze świata, mężczyźni i kobiety, wśród nich i pop. Wtedy odebrali mi modlitewnik, na spalenie. Straciłam przytomność, przesłuchiwali mnie, później jeszcze raz i jeszcze... bili, kaleczyli, miałam czarne całe pierś. Z wszystkiego pisali protokół. Wywozili nas nocą, po kilka osób, żeby nie wzbudzać paniki. Było mi wszystko jedno, chciałam zwrotu modlitewnika, postawiłam się. Zapisali mnie na rozstrzelanie. I pewnie by to zrobili, ale wstało już słońce, a oni mordowali tylko po cichu, nocą. Komendant „istriebitelnego” batalionu przyniósł mi moją książeczkę do nabożeństwa. A ja, żeby znów nie odebrali, podałam przez innych mojej mamie. Dopiero w 1948 modlitewnik wrócił do mojego domu, długo tułał się po świecie. Tego dnia wsadzili nas do więziennego pociągu w Worochcie, ale wagony wyleciały w powietrze, nasi wysadzili tory. Część zginęła, przeżyli ze środkowych wagonów, „sołowieckich”, dla najstraszniejszych „zeka”. Wypilowali kraty, wyciągnęli nas ze środka i samochodami powieźli do Stanisławowa. Miesiąc trzymali w piwnicy bez okna, na rozmiętej glinie. Ludzie z celi umierali. Sądzieli nas 18 sierpnia 1945 roku, to się nazywało „wojenna trojka”. Byłam słaba, przed sądem zagonili nas do bani, polewali wodą i zdzierali strupy z kawałkami gliny. A w łaźni coś niezwykłego, na korytarzu stały kosze z jagodami, wiśniami... w powietrzu unosił się wszędzie zapach lata, owoców... i nikt nie spróbował sięgnąć po chociaż jedną jagódkę.

Skazali mnie na 10 lat ciężkiego obozu i dożywotnie zesłanie.

#### Wywózka, pierwszy etap.

NADIJA: Lipiec gorący, upalny, konwój ze wszystkich stron, każdy w czym go zabrali, prowadzili nas na dworzec kolejowy w Łucku. Odprowadzał mnie ojciec, „frontowik”, po trotuarze szedł w mundurze, na początku panowała straszna cisza, prosił żołnierzy z konwoju (pożegnać się z córką, pozwólcie, nie pozwolili), ktoś krzyknął pierwszy i naraz, jak na komendę, wszyscy: sam krzyk, nie było słów. Czekał na nas specjalny pociąg, wieźli nas „eszelonem”, specwagony, kraty zamiast drzwi, w środku kraty. Trafiłam do Charkowa na punkt „pieresielenia”, był sierpień, upał. Trzy pięciopiętrowe ogromne bloki pełne więźniów. Głód (strażnik: jeszcze karmić faszystowską swołocz), dwa razy na dzień rozgotowana dynia na wodzie, raz „kusoczok” chleba. Od rana wołanie wisiało w powietrzu nad miastem, jak modlitwa: chleba, chleba...

W październiku wsadzili nas w wagony, towarowe, zwykłe, po trzydzieści osób, odzież swoja, jaką kto na sobie miał, pomiędzy deskami szczeliny, od środka ściany pokrywały się lodem, raz na dzień „kpiatok” (wrzątek), chleba 400 gram i „bałanda”, zupa na wodzie z posiekanych chwastów i plew z ziarna, siedem tygodni jechaliśmy, wreszcie: Buchta Nachodka, koniec, japońska granica.

TEODOZIJA: Z sądu powieziono nas do jakiegoś innego więzienia, szykowano transport. Cella z podłogą, pryzmami, oknem, przez które wpadało do środka słońce. Ale ani sięgnąć, ani się położyć. Zaraz szczury: po rękach, na plecach, w nogach, wszędzie gryzły, tryskała krew. Boże, zmiłuj się nad nami... W sąsiedniej celi zagryzły wszystkich



więźniów, był wtedy dym, straszny smród, chcieli je wytruć gazem, bo nie pozwalały wejść za drzwi, rzucały się na strażników. Przyszło nam tam być 23 dni, zanim załadowali nas do więziennych ciężarówek, powieźli „woronami” do Lwowa. Wyszadzili nas na pustym placu przy kolejowej bocznicy. I wtedy wjechał „szykarny” pociąg, sama pierwsza klasa, eleganckie wagony. To wracali na łono ojczyzny przesiedleńcy z zachodu, zaagitowani przez Moskali, sowiecką propagandę. Otoczyli ich ze wszystkich stron, pociąg odjechał, a wtedy rzucili się na nich, odarli ze wszystkiego, do naga, wyglądało, jakby otworzyło się nagle piekło: krzyk, przekleństwa, ujadanie psów, płacz, krew, między sobą się bili o łańcuszki, zegarki. To nazywało się: ścierwa, praklata faszystowska swołocz. Połączyli nas w jeden konwój i zabrali do więzienia, upchnęli w drewnianych barakach. Z Lwowa dalej ruszyliśmy dopiero po Nowym Roku, 14 stycznia. Wróble nam to wywróżyły, była odwilż, wszystkie, jeden przez drugiego pod naszym barakiem baraszkują w kałużach i nagle alarm, formują kolumnę, na dworzec, do towarowego pociągu. Na końcu składu taka otwarta, pusta platforma do przewożenia drzewa. Pod wieczór pociąg ruszył, rano staje w szczerym polu, wynoszą na platformę trupy z wagonów, nie może nikogo zabraknąć, liczą żeby stan się zgadzał. Kiedy dojechalśmy pod koniec lutego do Nowosybirsk, góra ciał była taka, że ostatni wagon nie mieścił się pod wiaduktami.

### „Toczka pieresielenia” (punkt tranzytowy).

NADIJA: W baraku stoimy, dwieście ludzi, pod ścianami piętrowe pryce z żerdzi, kora na okrągłakach, nic, żadnego koca, poduszki pod głowę, przerażenie. Akurat „Rizdwo” – Boże Narodzenie. Straszna cisza. Nic. I ktoś zaczyna cicho płakać. Jedno pociągnięcie nosem, cichy płacz. I... dwieście osób na środku baraku szłocha, ryczy.

TEODOZIJA: Nowosybirsk otulała mgła, kapało z dachów, nie było mrozu. Zaprowadzili nas na punkt, do baraków. Piecyk był tylko w kącie u blokowej, nie było innego ogrzewania. Pracowaliśmy przy rozładunku węgla, ciągnęliśmy sanie, bo nie było koni, wywoziliśmy śnieg, oczyszczaliśmy lotnisko. Pod koniec marca, 23 albo 24, kiedy uderzyła wiosna i odmarzyły na dobre tory, przywieźli uciekinierów, Wiktora i Lidę. Z tej okazji spędzono „żeków” z okolicznych obozów na wiec, żeby pokazać ich ciała. Podobno schwytali ich Francuzi i wydali naszym, tak ogłosił naczelnik od skazanych, Szewczenko. Zakwitła lipa, zrobiło się ciepło, ogłoszono następny etap. Na północ. Naczelnik eszelonu, „chachoł”, zatrzymuje nagle pociąg w szczerym polu, gdzieś biegną konwojenci, ktoś krzyczy, że będą rozstrzeliwać, zaczynamy się obejmować, żegnać... i ani jednej łzy. Odsuwają się drzwi wagonu, a on daje nam kwiaty,

składa życzenia z okazji uroczystości Trójcy Świętej. Z tego wszystkiego miałam dziwny sen, sterta siana, w której się zgubiłam, wieża z zegarem, na wieży posąg Chrystusa z koroną cierniową, opuszczona głowa...

### Obóz przejściowy

TEODOZIJA: Dojechalśmy do Komsomolska na brzegu Amuru, nie było mostu, kończyły się tory. Na drugą stronę powieźli nas promem. A tam sami nasi, wywiezieni ze Wschodu w latach 20., częstują nas świeżym śledziem, pytają o Ukrainę. Powieźli rzeką, wysadzili z barki na piasek i odpłynęli. W nocy „błatni”, „żuliki” podeszli, zaczął się krzyk, kradli, gwałcili, zabijali. Statek wrócił rano, wysadzili dwu strażników, słońce, ciepło, drugiego brzegu nie widać, woda mętna, ale chce się pić. Znow wszyscy chorują, następni umierają, gorączka, wrzody. Obóz na bagnach, środek lata, sianokosy. Utworzono siedem brygad, każda po stu ludzi, całe siano zwozimy na jedno miejsce, można się zgubić, przypomniał mi się sen. Nad nami muszka, straszna kara, czepia się, w miejscu na brwi robią się rany. Dwa lata, może więcej tam byłam, w tej biedzie. I wtedy „padoch” Beria. Zlikwidowali obóz, powieźli nas promem, później samochodami na północ.

### Otwarcie sezonu żeglugowego.

NADIJA: Do maja morze było skute lodem. Kiedy podniosło się słońce, przyszedł lodołamacz (sezon żeglugi „otkryty”), wsadzili nas na parowiec. Wieźli morzem siedem dni. Wyszadzili za wodą, w Magadanie. Połowa maja, a tu wszędzie świeży śnieg po kolana. Znow punkt „pieresielenia”, bania i odwszawianie. Zostawić: buty, sukienki, ręczniki... co kto na sobie miał, jednymi drzwiami do środka i przez drugie drzwi. Buty uszyte z brezentu, na to kawałek gumy od spodu (mówią: bieri walonki), sukienka z brezentu, majtki, koszula z szarej bawełny, kufajka, czapka. Jak w tym chodzić, nie dali sznurowadła, żeby te brezentowe buty podwiązać pod kolanami. Kraj Rad, wart radzieckich ludzi, dobrze, że pod „narami” w baraku znalazłam onucę, zrobiłam sznurki, żeby uwiązać buty, z czapki wyprułam podszewkę i miałam mały ręczniczek. Wszadzili nas na „gruzawiki” (ciężarowe samochody), wiozą, wiozą i końca nie widać, w tajgę, trzysta kilometrów, tylko las albo obozy. Na punktach kontroli nie wierzą: dziewczata, szto wy, tu mordercy, bandytów trzymamy.

Wreszcie koniec drogi, wysiadać, niczego wokół, przed nami góry, tam wasz obóz, pod drugiej stronie, trzeba dalej na nogach.

TEODOZIJA: Zima zastała nas w przejściowym obozie Buchta Nachodka. W obozie bunt, rozruchy, „błatni” opanowali kuchnię, spalili stołówkę, palą baraki, trzy

dni bez jedzenia, ze sobą walczą. Rozpędzali ich wodą, strzelali, jak popadnie. Tak to, nad Ochockim Morzem w czterdziestym dziewiątym czekaliśmy na otwarcie sezonu żeglugowego. Statek daleko na morzu, wożą nas łódkami, zamknęli wszystkich w ładowni. Płyniemy, na dziesiąty dzień zabrakło chleba, Bunt, „błatni” zdobyli broń, noże, biją się między sobą, porobili dziury w burtach, sztorm. Statek tonie, tym, co byli przy drzwiach, pozwolili wyjść, potem poczekali, aż woda wszystko zaląła i dopiero uruchomili pompę. Wszyscy w środku się potopili, później wyrzucali zwłoki za burtę.

W obozie przejściowym zaprowadzili nas do „zony” faszystowskiej, stosi ciał (wygrażają im: trupy jedzą, „ot swołocz”), obok kuchni, niech widzą, wam też trzeba, abyście zobaczyły, jeść im nie dają, a nam mówią: połuczajcie chleb dziewczata. To nawet dla nas było straszne.

### Ech Kołyma, piękna rzeka...

NADIJA: Powiedziano nam, że będziemy pracować w kopalni w pobliżu Kołymy. W naszym obozie baraków 8, w każdym po 100 ludzi, „nary” piętrowe i gołe okrągłaki. Kopalnia ołowiu, zakład pod nadzorem, produkcja strategiczna. W sztolniach odpalali ładunki, to, co się w wybuchu zerwało – na wagoniki, na I zakład, tam rozdrabniali, i na II, gdzie mielili, wyplukiwali, czarna czysta ruda szła do huty. Dla tych na sztolniach „pajka” solidna: 1100 gram chleba, kasza dwa razy na dzień, „bałanda”: szczaw, kapusta. Dla tych na rozdrabnianiu i młynach mniejsza, jedynie 800 gram. Przez jedenaście lat ani razu nie miałam tyle chleba, żeby najeść się do syta. Na noc: na żerdziach kufajka, poduszka z kaloszy nakrytych czapką, w dole brezentowa spódnica, żeby się czymś nakryć, druga dawała swój waciak, spałyśmy po dwie.

TEODOZIJA: Trafiliśmy do kopalni, w brygadzie nad nami „Ruska”, Maryja Woronkowa, sprawiedliwa kobieta, „frontowik”, droga zrobiona ludzkimi rękami, ziemia nie rozmarza głębiej niż na łopatę, wieczny lód. A w innych miejscach z ziemi fontanna ciepłej wody tryska i szybko opadając marznie, dźwięczy jak szkło. W rzece nurt straszny, ale pod wodą lód. Kiedyś wieźli łódkami inną brygadę na drugi brzeg, burty obrosły lodem, nabrała wody, kto wpadł do wody, ubranie przymarzło, ruszył kilka razy rękoma, krzyknął i został, jak figura z wosku, zamarzył. Tam trafiłam do karnej brygady, znaleźli u mnie puszkę po konserwie. Ale też uratowałam od pożaru garaż, w którym było 12 ciężarowych samochodów. Przenieśli mnie do pracy w remontowej brygadzie. W składzie części zamiennych znalazłam dwa kawałki płótna. Zszyłam je w mały ręczniczek, wyhaftowałam na nim koronę cierniową, nitkę brązową i niebieską miałam z trykotażu,

z majtek, a czerwoną z gałgana do wycierania smarów. Zakładałam ten ręczniczek na głowę pod czapkę, do garażu dwa kilometry, człowiek marzył, wieczorem wieszałam na ścianie, bo szpary były zaklejone torfem i kiedy wysychał, sypał się na twarz, we włosy. W nocy podczas rewizji zobaczył to naczelnik. Numer każdy miał na kolanie spodni, kufajce, na czapce i na łóżku. U mnie numer 1318. Pozbawienie praw i dożywotnia zsyłka za propagandę, pod sąd (kiedy u Marijki Szeczenki znaleźli książkę, to już nigdy jej w baraku nie zobaczyliśmy). Nieżywa, sparaliżowana ze strachu nie mogłam nawet myśleć. Może dadzą tylko izolator. Nawet się nie rozbierałam, bo brali do izolatora, jak kto stał. A tam beton, ciasno, z góry dziurawe deski, trudno wytrzymać noc, inaczej trup. Wiktor Iwanowicz, naczelnik warsztatów remontowych, dwa lata u niego w brygadzie pracowałam, napisał wyjaśnienie, że to ściereczka, jaką znaleziono w skrzyni z częściami, dał w nagrodę za dobrą pracę. Ale nie bardzo chcieli wierzyć. Dobrze, że nikt nie wiedział, że ja to wysyłam. Cztery litery. S – „sytoj”, s – „serce”, n – na, cz – „czużynie”.

### W Magadanie

NADIJA: W 1954 obóz „zakryli”, wrócili nas w Magadan, w porcie na taczkach woziłam kamienie, sypali nadbrzeża, w cegielni – w piecu, przy glinie, gdzie kazali, jak widmo rewolucji, na czerwono, w pyłe i pocie, człowieka trudno było rozpoznać. Nazwiska się pozacierały, ale z całego świata tam byli: o „Polaczki”, Rosjanki, no Ukrainek większość: z Kowla, Stanisławowa, Poczajewa... Po czterech latach „posyłka z domu”, raz na rok: kasza, sól, cukier, „sało”, suchary, a mnie nawet przysłali chustkę z owczej wełny.

TEODOZIJA: Tam urodziłam się drugi raz, 20 czerwca 1954 roku.

### Przypadkowe tematy

NADIJA: Amerykanki w obozie. Widzę w obozie, na uboczu trzy kobiety. Pytam swoje „dziewczata”, skąd przywiezione, nikt nie wie. Bo „pribałtyka” tu była, one też się odróżniały, trzymały osobno: Finki, Litwinki, Łotyszki, wysokie, wiotkie, jasne włosy, Niemki i inne narodowości: Mołdawianki, Gruzinki... Wtedy nam było wszystko jedno, czort z nimi, kto by nie był, w obozie jednakowo. Ale te jakieś inne: podstrzyżone na dziwną modę, płaszczki na nich cienkie, nie nasze i dziwne ubrania, nawet buty. Amerykanki, między sobą mówili konwojenci. Zabrali je, wtedy władza nie lubiła się długo martwić, najlepiej zastrzelić, zatrzeć ślady, wtedy kłopot z głowy. Teraz pisali w gazetach, kto widział, wie, podobno w dokumentach szukają amerykańskich więźniów.



Cerkiew w Krzyworówni



TEODOZIJA: Wielkanoc. To było w obozie, w kopalni, ktoś powiedział, że to święto zmartwychwstania, Wielka Niedziela. Przerwaliśmy pracę, zaczęliśmy się modlić. Strażnik udawał, że tego nie widzi, został na górze, na powietrzu, nie chciał o tym wiedzieć. Wtedy nie zrobiliśmy normy. Wszyscy byli w strachu, w poniedziałek szychtë z niedzieli rozliczali. Idziemy w kolumnie, osiem kilometrów do kopalni, słonko pięknie świeci, wszystko się złoci, lśni. Jedni drugich witają. „Chrystus wskres”. A tam na miejscu zbiegowisko wokół sztolni, z ziemi sterczą poskręcane szyny. Wraca strażnik, blady, kto by matce napisał, gdzie zginąłem. Obwał, ziemia się zapadła. Zasypało całą brygadę i konwojentów. Nikt się nie uratował.

### Pierwszy dzień na wolności

NADIJA: Ubrana tak, jakbym szła do roboty, wyprowadzili mnie za bramę (dzień wcześniej: przychodzę do baraku, zmarznięta na kość, głodna, zmęczona, wszyscy na mnie patrzą, ciebie „oswobodzili”, nie dociera do mnie, głupi żart, myję ręce, wołają do naczelnika, źle, posadzą w izolator, za co, w głowie się kręci, mówi do mnie na wy – siadajcie, stoję, melduję: normę wypełniłam, proszę, „nie karajcie”, on: jesteście wolni, podaje papier, a ja płaczę, proszę: zostawcie mnie w obozie, gdzie pójdę). Zamknęli za mną bramę, boję się odejść, nie wiem, jak wolność wygląda (przez noc wywianowali mnie w baraku: podszyli, wyrzucili kufajkę, poreperowali walonki, rękawiczki pocerowali). Jadę przez miasto autobusem, konduktor nie bierze „ze mnie hrosza”, ktoś podsuwa mi bułkę (wciska do kieszeni: bieri dziewczka). Szukam stółki, samo południe, w niej przyjaciółka pracuje, jakiś czas, jak wyszła na wolność, ona mówi: poczekaj, odpocznij. Sadza mnie za stół, tam czterech ludzi, przyniosła zupę, przyniosła kurę, ziemniaki, przyniosła kompot. Dłubię widelcem, dłubię, wstyd. Zostawiłam kurę, nigdy później z takim skurczem w żołądku i żalem nie patrzyłam na mięso.

### Bez prawa powrotu

NADIJA: Mieszkałam u mojej przyjaciółki tydzień, w końcu znalazłam dla siebie miejsce. Trafiłam do rodziny żydowskiej na służbę, oboje byli naczelnikami, dostałam u nich spanie, jedzenie. Każdego miesiąca wzywają do biura meldunkowego (to się nazywało – robią „otmietku”), tych, co przyszli, o nic nie pytają, tylko na samochód i rozwożę, na Czukotkę, na Alaskę... po całej Syberii (mój gospodarz tak to tłumaczył: nam trzeba ludźmi tereny zasiedlać, wysiadaj i jak sobie chcesz tak żyj). Boję się iść na „otmietku”, ale jeszcze większy strach: nie iść. Gospodarz dzwoni po znajomych

naczelnikach, gospodyni odsyła wezwania. Zostałam, widać to było mi zapisane. Moi gospodarze posłali mnie na kursy, zostałam kucharzem. Żebyś całe życie nie spędziła z chochlą przy garnkach, posłali do szkoły, uczyłam się żywienia. Przyodziałam się, wyszłam za „czelowieka”, mąż mój ze Smoleńska, „zeka”, z tych, co skazani na 25 lat. Darowali mu część kary. Dziesięć lat tam żyliśmy bez prawa powrotu, w Magadanie urodziła się moja córka.

TEODOZIJA: Ludzie nie mieli litości, Bóg się zmiłował, wyszłam na wolność. Wysłali mnie na osiedlenie bez prawa powrotu. Dostałam taki dokument, „dowieřenność”, żeby się ruszyć, nawet do sąsiedniej wsi, trzeba się meldować. Trafiłam do dobrych ludzi, pracowałam w wiejskim kołchozie dwa lata, po 40 rubli wypłacali. W sąsiednim kołchozie był więzień taki jak my, wolny bez prawa powrotu, pop ze Lwowa, w tajemnicy, przy większych świętach odprawiał nabożeństwa, nocą. To było trzydzieści kilometrów w jedną stronę, ale każdy był spragniony Boga. Dzieliliśmy się chlebem i zaraz trzeba było wracać, być na miejscu przed świtem. Pop pracował jako traktorzysta w kołchozie tamtejszym. Pamiętam pierwszą Wielkanoc na wolności. Pojechaliśmy na dwa traktory kołchozową brygadą jak do pracy, w tajemnicy, nikt nie doniósł. Świętowałyśmy pod drzewem w polu.

### Powrót do domu

NADIJA: Wtedy, po urodzeniu córki, pierwszy raz zdobyliśmy się na odwagę, pojechaliśmy w Hołoby. A tam drzewa, kwiaty, nawet ziemia pachnie, wszystko takie swoje, jakby czekało. I już tylko jedna myśl waliła po głowie. I już nie było spokoju.

### Wróciliśmy

TEODOZIJA: Do Krzyworówni wróciłam 30 października 1956 roku. Mama też wróciła, była na zesłaniu w Karagandzie. Nasza chałupka przetrwała, pochyliła się, zapadł się dach, w środku maliny przerosły podłogę... Resztę chałup rozebrał kołchoz, gorsze na opał, lepsze na budulec. Katorgi nie zaliczyli mi do emerytury. Napisałam, żeby zrehabilitowali albo dali dokument, że nie zasługuję na to. To przysłali pieniądze, za te dziesięć lat zapłatę po 50 hrywien przysłali, to nie jest nawet 10 dolarów za rok pracy. Jeszcze w 1984 roku zrobili rewizję, najmniejszego papierka nie zostawili, wszystko, kalendarze, książki, listy, zdjęcia, nawet modlitewnik zabrali. Oddali tylko dwie rzeczy i książeczkę do nabożeństwa. Resztę zatrzymali.

Co mam robić?

Żyję sama, daleko od ludzi. Żyję. ■

WOJCIECH  
PESTKA

# Żywot Polaka poczciwego

## (w Krasławiu na Łotwie)

TRUDNO TAM DOTRZEĆ. To nie znaczy, że brakuje tu dróg (z wdziękiem licencjonowanych biur podróży wiodą nas na pokuszenie w nieznaną), że spiętrzone góry zatrzymają nas w biegu, przetną nasze szlaki gęste lasy i rzeki nie do przebycia: średnie wyniesienie terenu to zaledwie 87 metrów ponad poziom morza. Trudno tam dotrzeć, bo potrzeba szczególnych powodów, by zdecydować się na taką podróż. Inne miejsca są rozpoznawalne na pierwszy rzut oka, pozostawiają myślom duży margines swobody, nie wymuszają na nas takich uzasadnień. Czym zatem może sprowokować wyobraźnię, przyciągnąć uwagę zaledwie dziesięciotysięczne, prowincjonalne miasteczko, by wynagrodzić trud nieśpiesznej i nieco monotonnej podróży? Krasław zajmuje miejsce gdzieś na peryferiach przestrzeni opisanej słowem Kresy, bo przecież

polskie Inflanty (inaczej Łatgalia) po pierwszym rozbiore w 1772 roku stały się częścią Imperium Rosyjskiego i do Polski już nigdy nie wróciły. I chociaż dla części historyków w tym pojemnym, nieco nostalgicznym pojęciu mieszczą się także ziemie polskich Inflantów, to jednak zazwyczaj z Kresami kojarzone są te utracone terytoria, które w 1939 roku znajdowały się w granicach Polski.

Zapowiada się długa podróż przez Łotwę. W miarę jak oddalamy się od Rygi, coraz jaśniejsza staje się zieleń za oknem, na polach miejsce pszenicy zajmują żyto i ziemniaki, a murowane, wytyczone z pruską konsekwencją zabudowania gospodarcze ustępują placu postawionym z drewna, rozrzuconym niedbale ze swojskim wdziękiem wiejskim zagrodom (mam wrażenie, że zamknięci w kapsule samochodu w sposób niedostrzegalny przekraczamy



Stowarzyszenie Polaków w Krasławiu. Okres międzywojenny



Stowarzyszenie Polaków w Krasławiu. Okres międzywojenny

granicę światów). *W Łatgalii obowiązuje inna skala, Łatgalię trudno opisać z wykorzystaniem matematycznych miar* – ostrzega mnie w trakcie jazdy Sergiej Morejno, rosyjski poeta i tłumacz (między innymi także wierszy Czesława Miłosza), kiedy pytam go o polskie Inflanty. *Tę ziemię, zamieszkałą przez ludzi biednych, ale dumnych, przerośniętą tradycją, oddychającą miłością, użyźniając emocje: cywilizacja europejska ze swoją racjonalną ekonomią i relatywizmem jest jak cybernetyczny Conan barbarzyńca z karabinem maszynowym.*

Mam nadzieję, że zgodnie ze swoim zamysłem, to przydługie nieco wprowadzenie przypomina pozbawioną pośpiechu podróż taboru osadników, zmierzających na wschód po obiecane ziemie: niepewnych świata, który będzie dany na zawsze im, ich dzieciom, dzieciom ich dzieci... stanie się na dobre i złe ich domem.

### Arytmetyka obecności

*Krasław, po łotewsku Królowa, miasteczko i dobra w Inflantach polskich powiecie dyneburskim, uroczu położone nad Dźwiną (dziś po łot. Daugava – przypis autora) przy ujściu do niej rzeki Krasławki...* – tak zaczyna się opis miasta zamieszczony w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (t. IV 1883 str. 616). Polska szlachta osiedlała się tu od XVI wieku, jako że te ziemie były wówczas organiczną częścią

Rzeczypospolitej. Do tej mocno usadowionej i dość hermetycznej katolickiej społeczności dołączyli uczestnicy narodowych powstań, wreszcie, w okresie międzywojennym, trafiła tu fala emigrantów uciekających przed biedą – „w poszukiwaniu chleba”. Nawet w czasach sowieckich, o ile tylko mieli taką możliwość, na Łotwę ciągnęli Polacy z innych radzieckich republik, bo możliwości znalezienia lepszej pracy, zakres swobody wyznaniowej i językowej były tu w nieznacznym stopniu większe. *Naszych w „kraju krasławskim”, inaczej mówiąc mieście i okolicznych wsiach, jest około tysiąca sześciuset* – zaczyna swoje rachunki Józef Dobkiewicz, prezes działającego tu Oddziału Związku Polaków na Łotwie, tak jakby jednak jakieś arytmetyczne miary były konieczne – *to jest, że na jednego Polaka przypada tu dwu Rosjan, dwu Białorusinów i pięciu Łoty-szy i te cztery narodowości jakoś gorzej, lepiej, ale w pokoju żyją obok siebie. Inna sprawa, że tamci są jak u siebie, czują gorący oddech ojczyzny za plecami: granica białoruska, rosyjska jest na wyciągnięcie ręki, tylko nam do swoich daleko. Był czas, nie tak znowu odległy, że trzymała nas przy języku ojczystym wiara, zamiast z elementarza naszych liter uczyłem się z kościelnych książeczek do nabożeństwa i napisów na nagrobkach na cmentarzu... Trudno sięgać pamięcią w przeszłość, trzeba by brać głęboki oddech, żeby doszukać się korzeni, a i to nie wiadomo, czy starczy. Dobkiewiczze mieli tu swoją wieś, są z dziada, pradziada od*

*pięciuset lat tutaj, według metryki ślubu rodzice – Wiktor Dobkiewicz i Zofia z Kisielewskich – jeszcze w 1928 roku byli zapisani jako Polacy – obywatele Łotwy.*

### Suchy płomień

STRUMIŃ Krasław 2010–2011 – razem oglądamy prezentację komputerową w Microsoft Power Poincie, przygotowaną na walne zgromadzenie Krasławskiego Oddziału Związku Polaków na Łotwie. Na slajdach powtarzają się wciąż ci sami ludzie w podeszłym wieku: niemodne suknie, znoszone garnitury dla których kontrpunktem są twarze pełne wyrozumiałości i pogody. W tle zależnie od pory roku choinka, nakryty wigilijny stół, pomnik na cmentarzu, wieniec z biało-czerwoną szarfą, scena miejscowego domu kultury, fasada polskiej szkoły, wnętrze kościoła. *Nauczyliśmy się tu żyć, zabiegać o swoje sprawy, a że nie mamy dużych wymagań: trochę ziemniaków, własnych owoców z ogródka, jakieś niezbędne lekarstwa, opał na zimę, to i żyjemy. Cieszy nas każdy drobiazg, każdy dowód pamięci, jaki dociera tu z Polski–* słowa Józefa Dobkiewicza mają w sobie jakąś archaiczną śpiewną melodykę, jakby sięgały gdzieś do wnętrza pamięci – *kto przejmie to po nas, Bóg jeden wie, wsiąkamy w tę piaszczystą, ubogą ziemię jak woda po deszczu. Nie ma w tym żalu, emocji, oczekiwań, jest suche stwierdzenie faktu, zgoda na rzeczywistość, powaga przywodząca na myśl biblijne prorocтва. I nawet notebook z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem, na ekranie którego pojawiają się raz po raz dokumentujące działalność Związku Polaków na Łotwie zdjęcia, nie budzi zastrzeżeń, wydaje się oswojony, zaledwie przypomina o tej zmieniającej się relacji pomiędzy czasem i przestrzenią. „Śmiercią dla duszy stać się wodą, a dla wody śmiercią jest stanie się ziemią, ale z ziemi powstaje woda, a z wody dusza” – przypominają mi się słowa Heraklita – „sucha dusza jest najmądrzejsza i najlepsza”.*

### Sorok piał kilometrów po suchomu piasku

*Z tego, jak bardzo różni się ten język od poprawnej polszczyzny, zdałem sobie sprawę dopiero, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w Polsce. Mój ojciec (Wiktor Dobkiewicz, urodzony w 1909 roku we wsi Dobkiewiczze) przywiązywał wielką wagę do swojego polskiego, szlacheckiego pochodzenia. To stało się powodem, dla którego moja mama (Zofia z Kisielewskich, córka leśniczego, urodzona w 1904 roku we wsi Pawłowice), w czasach sowieckich, kiedy ojca zabrano do wojska, została przymuszona przez kołchozowych aktywistów do przyjęcia najbardziej upokarzającej pracy: wiejskiego pastucha. Urodziłem się w Wielkanoc 9 kwietnia 1950 roku. Ponieważ byłem ósmym dzieckiem, zgodnie z obowiązującym zwyczajem*

*moim opiekunem, kimś w rodzaju ojca chrzestnego został Stalin i od tego momentu co miesiąc mamie wypłacano niebagatelną kwotę 5 rubli. W wieku pięciu lat byłem bliski śmierci, zachorowałem na zapalenie opon mózgowych. Nie wiem, czy dziś byłoby to możliwe, ale wtedy wiejski felczer dla ratowania mojego życia – dziecka z rodziny kołchozowych pastuchów, wezwał samolot, którym przewieziono mnie do szpitala w Rydze, gdzie walczone o moje zdrowie dwa lata. Pamiętam, jaką zazdrość czułem w trzeciej klasie szkoły podstawowej słysząc, że mamy moich kolegów noszą imiona: Rewolucja, Stalina, Nimfa... Później była szkoła średnia, służba wojskowa, wydział reżyserii teatralnej Instytutu Kultury w Moskwie, skierowanie do pracy. Mama zmarła w 74 roku, dwa lata później dopatrzono się, że jej brat jest księdzem. Ponieważ pracowałem w pionie uznawanym za ideologicznie ważny, zostałem pozbawiony możliwości awansu, trafiłem na czarną listę. W tym czasie zdarzyła się rzecz zaskakująca i w jakimś sensie niedorzeczna, w 1975 roku otrzymałem list z Wrocławia od Lidii Dobkiewicz, adresowany na zmarłego przed kilkunastu laty ojca. Zaczynał się od słów: „od trzydziestu lat każdego dnia piszę do Was list...”, a kończył słowami: „w aktach szpitala dla umysłowo chorych w Stroniu Śląskim figuruję jako Alisa, przybrana córka Zygmunta Berlinga.”. Wydaje się, że bez wódki nie da się tego zrozumieć, a przy wódce tym bardziej. Zacząłem poszukiwania i tak trafiłem na ślad Lidii, siostry ojca, utalentowanej pianistki, absolwentki konserwatorium, której męża rozstrzelano bez sądu w 1938 roku w Saratowie i która przetrwała blokadę Leningradu, by później trafić do formującego się oddziału polskiego wojska. Co spowodowało, że trafiła do Tworek, a stamtąd do Stronia, do szpitala dla osób pozbawionych rodzin, trudno powiedzieć. I w końcu, po latach starań, udało mi się ściągnąć ciocię Lidię do Azerbejdżanu, ale nie zdążyła wrócić do siebie na Łotwę, taki los był jej dany, a nam... – opowieść Józefa Dobkiewicza o życiu wypełnionym pracą płynie leniwie jak ta wspomniana wcześniej przysłowio-wa rzeka, zatacza kręgi, występuje z brzegów, za każdym nawrotem uzupełniona o nowe sytuacje, postacie...*

### Życie poczciwe: SS „Cap Arcona“

Sienkiewicz, rzadziej Prus albo Kraszewski, ale najczęściej Sienkiewicz i albumowe wydania książek o pontyfikacie Jana Pawła II obok książeczek do nabożeństwa to tu „żelazny zestaw” pozycji w języku polskim, świadczący o pochodzeniu ich posiadacza: rozmawiamy o książkach klucząc pomiędzy czteropiętrowymi blokami, typowymi dla małomiasteczkowego polskiego pejzażu lat 70. Zanim stanęliśmy przed drzwiami klatki schodowej, Józef Dobkiewicz zdążył wyliczyć podstawowe →



Józef Dobkiewicz

daty i fakty dotyczące życiorysu Jana Kłyguły: urodził się 5 marca 1922 roku we wsi Juchniki, po łotewskiej stronie Dźwiny, jego przodkowie przybyli tu w czasach powstania kościuszkowskiego, uczył się w polskiej szkole, należał do Związku Młodzieży Polskiej, w czasie okupacji niemieckiej był w AK w oddziale „Wilka” – Aleksandra Krzyżanowskiego, w maju 1942 roku został wywieziony na roboty do Niemiec. *Nasze komando pracowało w porcie w Hamburgu, panował głód, dobrze jeśli udało się znaleźć w ładowni jakieś podgniłe resztki do zjedzenia. Kiedy alianci znaleźli się blisko, rozpoczęła się ewakuacja obozu, w porcie Neustadt załadowano nas na luksusowy niegdyś transatlantyk „Cap Arcona”. W ostatniej chwili przeniesiono mnie wraz z grupą więźniów na statek „Athen”. Dlaczego nas? – ze zdziwieniem, szukając na półkach wypatrując znajomych tytułów – książki po mojej śmierci mają być przekazane do polskiej*

*szkoły, do biblioteki.* (Szukam w Internecie liczby ofiar tego bombardowania w dniu 3 maja 1945 roku: z „Cap Arconą” zatonęło 4600 więźniów, „Thielbek” poszedł na dno zabierając 2800 więźniów, tylko 1998 osób ocalało na „Athenie” – ten ostatni ze statków jako „Ludwik Waryński” pływał po wojnie pod polską banderą). Powojenną część życiorysu Jana Kłyguły znam z relacji mojego przewodnika: pobyt w alianckim obozie w Neustadt, decyzja o powrocie na Łotwę i jeszcze tam, w Niemczech, przydział do sowieckiej armii w ramach mobilizacji więźniów, wojskowa służba zastępcza w szpitalu we Wrocławiu, Wałbrzychu, i wreszcie Łotwa, problemy ze znalezieniem zatrudnienia, czterdzieści pięć lat rzetelnej, żmudnej pracy w Rydze. I dopiero na emeryturze decyzja o powrocie w strony rodzinne, do Krasławia. Dwa odległe w sensie geograficznym i mentalnym miejsca: po jednej stronie „Cap Arcona”, a po drugiej Łatgalia i gdzieś w tym wszystkim w kącie, na marginesie codzienności, los pracowicie składający swoje niewiarygodne scenariusze.

#### Życie pocziwe: Sprawka Nr E 0025282

Wydaje mi się, że to dobry moment, zanim uwagę naszą od spraw powszednich odwróci wojna z 1920 roku, by przedstawić Henryka Gałązkę, drugiego z tych najstarszych krasławskich Polaków (urodzonego 15 lipca 1922 roku). Początek tej historii przypomina przedwojenne romanse: ojciec, legionista pochodzący z Warszawy, trafia tu z wojskiem, dostrzega piękną pannę i dla niej zostaje, biorą ślub i szczęśliwi zaczynają wspólne życie w odległej o dziewięć kilometrów od Krasławia wsi Użinowka. Tyle romantycznego wstępu, bo na nim kończy się krótka część radosna i zaczyna czas walki o przetrwanie, z każdym rokiem trudniejszej, coraz bardziej karkołomnej, czyli zwiastująca chude lata część druga bolesna. Pożar domu w 1925 roku, głód, głód i bieda: na okrągło praca ponad siły na ziemi, cztery klasy szkoły podstawowej zanim nie zlikwidowali jej wkraczający Sowietci, pierwsze aresztowania i wywózki, okupacja niemiecka i rozstrzeliwania Żydów (*to była jedna czwarta mieszkańców Krasławia, chyba z dziewięćset i różni maczali w tym palce – powie*), wreszcie triumfalny powrót komunistów.

*Nie miałem zdrowia, kilka razy próbowali mnie wciągnąć do wojska, w końcu jednak wojnę przesiedziałem na wsi. Sowietci aresztowali mnie dwa razy: w 1946, ale wypuścili po 17 dniach, w 1949, kiedy skazali na pięć lat łagru – wyciąga z szuflady Sprawkę (zaświadczenie) Nr E 0025282 z 29 kwietnia 1953, z której wynika, że został zwolniony przed terminem na mocy amnestii z 27 marca 1953 i otrzymał kolejowy bilet do Daugavpils wartości*





Jan Kłyguła

226,75 rubla oraz 15 rubli na wyżywienie w drodze. *Skazali mnie w grudniu 1949 roku po półrocznym śledztwie z paragrafu 58 – 12 za przestępstwa polityczne, ale tak naprawdę za nic, chodziło o imieniny Zofii, nauczycielki z sąsiedniej wsi. 15 maja 1934 roku Kārlis Ulman po zamachu stanu rozwiązał sejm i przejął władzę na Łotwie, więc uczepili się tego, że uprawiałem propagandę i świętowałem uroczyste burżuazyjne rocznice. Etapami przez Moskwę i Kujbyszew powieźli mnie do Kingiru w Kazachstanie. Miałem numer „Sju 133”. Tam spotkałem dużo Polaków, byli w łagrach od 1939 roku. Pamiętam, był kapitan Józef Legun, wrześnieowy żołnierz ze Lwowa i taki Stawryła z Litwy, po uniwersytecie wileńskim, po prawie i dla mnie najważniejszy – major Czyżewski. Ten uniknął śmierci w Katyniu, przez Smoleńsk trafił do łagru na Syberię, na własnej skórze poznał, czym pachną bolszewicy, a najdziwniejsze: do końca nie mógł uwierzyć, że wymordowanie oficerów to robota Stalina. Wolno było pisać do domu, dwa listy na rok, tylko” żyję zdrowo i wam życzę zdrowia”, wszystko inne wykreślali. Później „sobirajsja z wieszczami” i znalazłem się w Karabasie-Dolince. A po powrocie w 1953 – polityczny, wszędzie odpędzali jak psa, bo nie daj Bóg, jeśli coś się wydarzy – zaczyna się niecierpliwić, wyciąga kartę Polaka, podziękowania, medale, wiem, że pracował*

dorywczo na budowach, pełnił obowiązki przewodniczącego tutejszego Oddziału ZPŁ, chciałbym jeszcze o wiele rzeczy spytać ale na podwórku pojawia się traktor z przyczepą pełną drewna – *teraz to najważniejsze, przecież nastanie zima.*

### Dużo to, czy mało?

I znów nie można obejść się bez arytmetycznych miar. Polaków według oficjalnych, chociaż przybliżonych szacunków, mieszka na Łotwie jakieś sześćdziesiąt tysięcy. Według nieoficjalnych znacznie więcej, nawet trzy razy tyle, gdyby uwzględnić potomków mieszkańców Kresów, którzy z mocy ustawy z 17 września 1939 roku uzyskali automatycznie obywatelstwo radzieckie, a dzisiaj figurują w oficjalnych statystykach jako Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie. Można powiedzieć, że to dużo, ale te matematyczne oszacowania stają się względne, kiedy się słyszy, że w polskich szkołach uczy się zaledwie tysiąc dzieci. Na stronie ambasady znajduje się wykaz funkcjonujących na Łotwie placówek oświatowych. Listę otwiera Polska Ogólnokształcąca Szkoła Średnia im. Izy Kozakiewicz w Rydze, zamyka zaś przedszkole im. Jana Platera Gajewskiego w Daugavpils, pomiędzy znajdują się dwa gimnazja i dwie szkoły podstawowe [im. Stefana Batorego w Rezekne i im. Józefa Piłsudskiego w Daugavpils oraz szkoły podstawowe w Jēkabpils i Krasławiu]. Ta w Krasławiu mieści się na ulicy Rezeknes 39 naprzeciw polskiego, jak tu mówią, cmentarza i nosi imię Rodu hr. Platerów. Powstała w 1991 roku staraniem Eugenii Urbanowicz, pierwszej dyrektorki, a także przewodniczącej Krasławskiego Oddziału Związku Polaków na Łotwie i chociaż po rozbudowie w 2002 roku uważana jest za jedną z najnowocześniejszych szkół na Łotwie, to zagrożona jest likwidacją. Jeśli wciąż funkcjonuje, mimo że liczebność klas jest poniżej poziomu określonego łotewskimi przepisami, to jest to wyrazem życzliwości władz miasta, efektem zabiegów naszej ambasady i pomocy z Polski. W domu Józefa Dobkiewicza widziałem obok siebie zdjęcia: wiekowych członkiní Zespołu Polskiej Pieśni Ludowej i chóru parafialnego przy kościele św. Ludwika oraz grupy małych dziewczynek w pięknych, krakowskich strojach. Te sześćdziesiąt lat różnicy między nimi, prawie dwa pokolenia, to chyba zbyt dużo, by można było wypełnić powstającą pomiędzy nimi próżnię. Ta nieciągłość, przepaść, która wchłonęła mieszkających tu Polaków w wieku produkcyjnym, bierze się z konieczności walki o zaspokojenie podstawowych egzystencjalnych potrzeb. Jest w tym jakaś nieuchronna, prawie bolesna, biologiczna logika, budząca niepokój.

Ale na szczęście we własnej sprawie nikt nie jest prorokiem.



Henryk Gałązka

### Koń trojański... na lodzie.

Bohaterom Wojsk Polskich poległych w 1920 roku w bojach o wyzwolenie Łotwy [...]. Tu spoczywają żołnierze z 3 Dywizji Legionów Wojsk Polskich – zaraz za bramą cmentarza zwraca uwagę mogiła z prochami legionistów. Mosiężna tablica przeorana pociskami, w trzech rzędach po piętnaście nazwisk – trudne do odczytania wojskowe stopnie, na dole adnotacja o niezidentyfikowanych ciałach czterdziestu dwóch żołnierzy złożonych tu we wspólnym grobie, znów arytmetyka, razem osiemdziesięciu siedmiu poległych. Epizody tych walk, nazywanych czasem „Kampanią Łatgalską”, są stosunkowo mało znane, nie było tu olśniewających zwycięstw nad bolszewikami ani wielkich przegranych. Operacja nosiła kryptonim „Zima” i rozpoczęła się 3 stycznia przy 25-stopniowych mrozach i śnieżnej zamieci. Polsko-łotewską armię dowodził wówczas gen. podporucznik Edward Rydz-Śmigły.

To z tamtego okresu pochodzi pouczająca anegdota o kłaczy pędzonej na drugi brzeg po zamarznętej Dźwinie z kartką, że jest to racja mięsa dla głodujących rosyjskich rewolucjonistów. Oburzeni bolszewicy odesłali konia, dając w ten sposób naszym wojskom sygnał do rozpoczęcia ataku. Nie podejrzewali, że w istocie chodzi o sprawdzenie wytrzymałości lodu na rzece.

Dobrze, że nie znali historii Troi i nie słyszeli o koniu trojańskim...

Tego samego dnia miasto Dyneburg (dziś noszące nazwę łotewską Daugavpils) zostało wyzwolone.

### „Śmierć ili Pobjeda” i „Towariszcz Lenin”

To nie jest opis sceny z przygodowego filmu, dla którego tłem jest wojna. A przecież trudno czytającym te słowa, opatrzonym z telewizyjnymi relacjami z wszystkich możliwych frontów, wyobrazić sobie bitewne starcie, w którym rozstrzygający głos należy do przemierzających się po torach kolejowych żelaznych monstrów. Starcie sprzymierzonych wojsk polsko-łotewskich z pociągami pancernymi to inny epizod tej samej operacji, o którym przeczytałem w piśmie „Polak na Łotwie”, wydawanym przez polską mniejszość (numer 2 z 2010 roku). Rzecz miała miejsce 4 stycznia, następnego dnia po wypędzeniu bolszewików z Daugavpils. Oddziały 5 Pułku Piechoty Legionów, prowadzące działania pościgowe w okolicach stacji kolejowej Wyszki (wtedy Dubno), zostały ostrzelane przez idący na odsiecz sowieckim żołnierzom pociąg pancerny „Śmierć ili Pobjeda” (Śmierć albo Zwycięstwo). Po uszkodzeniu torów tak, by niemożliwy był odwrót, w pobliżu wsi Peipuni pociąg został prawie w całości opanowany przez polskie oddziały. Prawie, bo alarmowe sygnały lokomotywy poderwały przeciwnika i na pomoc braciom rewolucjonistom ruszyły jednocześnie dwie jednostki pancerne „Towariszcz Lenin” i „Imienia Towarzyszcza Trockiego” („Towarzysz Lenin” i „Imienia Towarzyszcza Trockiego”), zmuszając legionistów do odwrotu.

Nie wiem, czy to jest gra w odkryte karty. Przyznaję jednak, że przypomniałem ten może nieco hollywoodzki epizod z premedytacją, bo dzięki niemu mam powód, by przytoczyć proste jak żołnierska przyjaźń słowa, które, chociaż padły prawie sto lat temu, najlepiej charakteryzują polsko – łotewskie stosunki. Wypowiedział je łotewski generał Janis Balodis w dniu 27 stycznia 1920 roku w Daugavpils podczas spotkania z Naczelnikiem Państwa Polskiego Józefem Piłsudskim: *tak jak armie – polska i łotewska – tak zbliżą się do siebie w przyjacielskim stosunku naród polski i łotewski*. Te słowa nie wymagają komentarza. ■

# Wojna w realu

[Nota: „Mobilizacja na wschód. Jesteś potrzebny Ukrainie” – mają zasłonięte twarze, na przechodzących patrzą tylko ich oczy.]

## POZBAWIENI PAMIĘCI I NADZIEI...

JECHAŁEM DO LWOWA Z GŁOWĄ NABITĄ GAZETOWYMI komunikatami, relacjami z frontu tej niewypowiedzianej, niezrozumiałej wojny, dramatycznymi apelami o pokój. Dałem się zaskoczyć. Tak jak rok, dwa, pięć lat temu w centrum miasta trwał karnawał. W restauracyjnych ogródkach łało się strumieniami piwo, uliczni grajkowie zawzięcie wyśpiewywali swoje żale do świata, kręciła się karuzela przed operą, skrzyły w słońcu strumienie wody wyrzucane przez fontannę. Przez tłum przeciskały się grupy turystów, młode pary (to część ukraińskiego ślubnego rytuału) z upodobaniem pozowały do pamiątkowych zdjęć. Wieczorem strzelały w niebo sztuczne ognie, na tanecznych parkietach wokół rynku przytulali się zakochani. Była w tej pośpieszności, w tym nadmiarze zabawy, tej radosnej krzątaninie jakaś zła gorączka, ślepy upór. Jedynie ustawione na skraju deptaka na Prospeckie Swobody w pobliżu pomnika Szewczenki różnokolorowe namioty: Prawego Sektora, Samoobrony, Swobody, Ludowego Majdanu... z wezwaniami mobilizacyjnymi, przed nimi wolontariusze zbierający na noktowizory czy kamizelki kuloodporne dla wojska przypominali o powadze tamtej wojny, o której wiedzę przywozłem ze sobą z Polski. Przyszła mi na myśl *Dżuma* Camusa, ogarnięte epidemią miasto Oran, pogrążone w zabawie: „Pozbawieni pamięci i nadziei, ulokowali się w terażniejszości. Doprawdy, wszystko stało się dla nich terażniejszością”.

Z jakimś niedowierzaniem układałem się do snu. Zabawa za hotelowym oknem przeciągnęła się do rana. Dobrze, że szyby tłumili dźwięk, oddzielały mnie skutecznie od zaokiennej rzeczywistości. Następnego dnia, w niedzielę, podczas śniadania w restauracji hotelu Panska Gora, położonego na obwodnicy Lwowa, przypadkiem trafiam na grupę amerykańskich żołnierzy, młodych, dwudziestokilkuletnich chłopców w polowych mundurach. Przylecieli na Ukrainę na wspólne manewry na poligonie w Jaworiwie, które odbywają się pod hasłem „Partnerstwo. Bezpieczeństwo. Pokój”. Mają brać

w nich udział także polscy żołnierze. Amerykanie zachowują się powściągliwie, uśmiechają szeroko, ale nie chcą rozmawiać.

– Kiedy zabierze się tym chłopcom technikę, nie są nic warci. Nie przeżyją bez łóżka, ciepłej wody, śniadania. Jednego naszego żołnierza nie oddam za takich dziecięciu – przy sąsiednim stoliku, tłumaczy swoim kolegom dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony ukraiński cywil, wyglądający na emerytowanego oficera.

## CODZIENNIE JEDEN POGRZEB, CODZIENNIE JEDEN KONWÓJ

„WIECZNA PAMIĘĆ BOHATEROM! 21.11.2013–22.02.2014 – ponad 100 zabitych, 30 zaginionych bez wieści, niemal 3000 rannych” – przed ogromnym banerem w barwach ukraińskiej flagi wiszącym na ścianie obwodowej biblioteki w Łucku (centralny punkt miasta – plac Teatralny, od strony pomnika Łesi Ukrainki) zatrzymują się przechodnie. Pięć rzędów zdjęć. Każdy rząd – dziewiętnaście, dwadzieścia fotografii. Ujęcia portretowe, pełny kolor, profesjonalna robota. Czasami, kiedy brakuje zdjęcia, na czarnym tle godło Ukrainy z imieniem, nazwiskiem, datą urodzin i śmierci. Ten baner wisi już kilka tygodni, wrósł w skórę tego miejsca, zdążył się opatrzyć. Kwiaty nie zwiędły, bo sztuczne, za to znicze zdążyły się wypalić. Niebiańska Sotnia. Ich zna nie tylko Ukraina. Obok, bezpośrednio na tynku, na żółtej ścianie budynku kolejne zdjęcia. Wydrukowane w warunkach domowych na zwykłym papierze blakną na słońcu, tracą swoją wyrazistość. Nie wiem, co się z nimi stanie, kiedy przyjdzie deszcz. To moi. Sotnia Wołyńska. Zdjęcia chłopców, którzy polegli na wschodzie. Albo przepadli bez wieści. Dziewiętnaście lat. Dwadzieścia dwa. Dwadzieścia. Dzieci. Strach w oczach przechodniów, którzy zatrzymują się, by sprawdzić, czy wśród wywieszonych zdjęć nie pojawiły się znajome twarze, nie jest z tych, którzy może się wypalić. Przynajmniej do czasu, kiedy trwa wojna i ze wschodu wracają transporty z trumnami. Kilka kroków dalej na ogrodzeniu cerkwi katedralnej baner →



Baner na ulicy Łucka

mobilizacyjny: żołnierze w czarnych kuloodpornych kamizelkach i czarnych hełmach z kevlaru z bronią automatyczną w rękach. Mają zasłonięte twarze, na przechodzących patrzą tylko ich oczy. „Mobilizacja na wschód. Jesteś potrzebny Ukrainie”. Wołyn, dalej numer komórki, adres mailowy. W pobliżu namioty tak jak we Lwowie: Prawy Sektor, Samoobrona, Swoboda... Każdy zbiera na własną rękę, sam decyduje co i gdzie kupić za zebrane pieniądze, komu przekazać pomoc, sam przygotowuje transporty, nikt tych działań nie koordynuje. Codziennie z Łucka wyjeżdża jeden konwój z pomocą dla żołnierzy walczących na wschodzie. Każdy pomaga w pierwszej kolejności swoim. Jakby cała ta wojna prowadzona była chałupniczym sposobem i wspierała się jedynie na ofiarności zwykłych obywateli. Wolontariusze z plastikowymi, przezroczystymi puszkami. Wózki w sklepach spożywczych z napisami: „Dla ATO”. Spisy najpotrzebniejszych leków i środków opatrunkowych w aptekach. Prośba o pomoc z okrągłą pieczęcią administracji szpitala.

Brakuje nie tylko leków, pościeli, bielizny, materiałów kancelaryjnych, żywności... Brakuje łóżek. Dyrektor wojskowego szpitala, płk. Chomenko, weteran wojny w Afganistanie, nie zwraca sobie głowy prawnymi uregulowaniami. Przyjmuje wszystkich rannych powracających ze wschodniego frontu, także „dobrowolców” z ochotniczych batalionów. Z Ajdaru, Azowa, batalionu Świtez... Chociaż legislacyjnie status ochotników do dziś nie jest uregulowany, nie przysługują im prawa żołnierzy z regularnych oddziałów ukraińskiej armii, trudno powiedzieć, czy przysługują im jakiegokolwiek prawa.

#### SZPITAL WOJSKOWY W ŁUCKU

Długie korytarze zastawione łóżkami, drewniane, wyszlizgane schody, pomalowane farbą olejną (jasny mahoń). Na tyle szerokie, by można było zawrócić w miejscu z noszami. Nie ma windy. Nie wszędzie bieżąca woda. Można by pomyśleć, że to polowy lazaret z filmu

o pierwszej wojnie światowej. Szpital zajmuje stare budynki klasztoru trynitarzy w Łucku, w założeniu jest obliczony na sto łóżek.

– Pomagamy z lekami, pomagamy w wyjaśnianiu problemów prawnych. Pomagamy jeśli chodzi o odzież, jeśli chodzi o psychologów. Jeśli mówimy o bloku żywieniowym, stołówce – uśmiechnie się Natalia (w cywilu łucki notariusz), szefowa pracujących tu wolontariuszy – to oczywiście, kuchnia nie jest w stanie ugotować na taką ilość osób, bo mamy dwustu sześćdziesięciu czterech pacjentów, a jadalnia może pomieścić osiemdziesięciu, trzeba ich karmić w kilku turach: na śniadanie, obiad, kolację. Ale nasz główny problem teraz to nowa sala operacyjna, potrzebujemy trzech stołów operacyjnych i trzech lamp, nie mówiąc o innym wyposażeniu, tomografie... Dziś trzy autobusy wiozą do nas żołnierzy wziętych przez separatystów do niewoli pod Iłowajskiem.

– Zbyt wielu – dyrektor szpitala, mimo że jest realistą i stoi mocno na ziemi, pytany o liczbę rannych przebywających w szpitalu ucieka się do eufemizmu. – Pracujemy w reżimie wojennym, a to oznacza, że musimy podwoić ilość łóżek. Pierwsi ranni zaczęli przybywać poczynając od 23 maja: znana wszystkim Wołnowacha, później Donieck, Ługańsk, Szachtarsk, Iłowajsk. Wszędzie tam byli nasi z 51. brygady. Zasada jedna, by człowiek, który walczył w ATO, mógł leczyć się w miarę normalnych warunkach. To udaje się dzięki naszym wolontariuszkom. A co do rannych z niewoli? – wzrusza bezradnie ramionami, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, że znalazł się pod ścianą. – Muszą poczekać do poniedziałku we Włodzimierzu Wołyńskim.

#### CZARNY CZWARTEK. WOŁNOWACHA

MYŚLĘ SOBIE – TA WOJNA, OGLĄDANA W TELEWIZJI, MA więcej elegancji, jest czytelna, wygląda dostojnie. Nie tak, jak w realu. Nikt nie potrafi zważyć, co jest sprawą przypadku, ile zależy od szczęścia. Na kogo tym razem padnie wybór.

– Wszystko wydarzyło się 22 maja, dwa dni przed wyborami prezydenckimi i wstrząsnęło Ukrainą – Roman, mój rozmówca mimo wszystko wolałby pozostać anonimowy. – Ludziom otworzyły się szeroko oczy. Zarzykuję twierdzenie, że dzięki temu, co się stało, Petro Poroszenko przeszedł większością głosów już w pierwszej turze. Wołnowacha to małe miasteczko leżące mniej więcej w połowie drogi między Donieckiem a Mariupolem, trochę ponad 20 tys. mieszkańców. W poniedziałek 3. batalion 51. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej otrzymał rozkaz utworzenia punktów kontrolnych (pocznicie zwanych tu „blokpostami”) na drodze łączącej



Koncert pod gmachem Opery lwowskiej



Przybycie konwoju do punktu stacjonowania brygady



Punkt kontrolny



Vitalik, Oleh, Wiktor



Ajdar III



Ajdar

dowództwo brygady z miejscem stacjonowania batalionu. Ten ostatni „post” o numerze 5110 wypadł na przedmieściu Wołnowachy. Rozkaz był: „Boże broń nie strzelać, zająć pozycję, zamantestować, że jesteśmy, nie podejmować żadnych działań”. Przeszkadzali miejscowi, kobiety rzucały się pod gąsienice, mówiąc inaczej, nie pozwolili przygotować obrony. Niby nie byli nastawieni wrogo, przynieśli żywność, papierosy, alkohol, rozpalili ogniska, śpiewali. Wszystko, żeby uśpić czujność. Zniknęli nagle nad ranem w czwartek. Zabrali ze sobą nawet puste butelki, opakowania, puszki po konserwach, rzeczy na których mogły pozostać odciski palców, jakieś ślady. Pierwsi około 5 rano zginęli snajperzy, którzy z zakrytych punktów ubezpieczali oddział. Później nastąpił atak z granatników i broni automatycznej. Separatystów wspierał opancerzony bankowóz. Ci, którzy próbowali uciec przez pole, ginęli od kul. Żołnierzy na „blokpoście” było pięćdziesięciu jeden (w tym sześciu zwiadowców). Szesnastu zginęło na miejscu (między innymi dowódca 3. batalionu i dowódca plutonu odkomenderowanego do utworzenia posterunku), dwudziestu dziewięciu zostało rannych (w tym pierwszy zastępca dowódcy 51. brygady). Spłonął transporter opancerzony (BMP-2). Cała akcja trwała może 15 minut. Tragedia... Wtedy jeszcze takiej w tej wojnie nie było... Chce się kłąć, żeby to kurwa...

Dwie godziny później poderwali z ziemi samoloty, przyleciały szturmowe Mi-24. Gdyby nie te helikoptery

może straty byłyby mniejsze. Jak to się mówi „pozamiatali”. Trudno to zrozumieć, jeszcze trudniej w to uwierzyć. Akcja ratunkowa praktycznie już się kończyła, zbierano zabitych, odwożono rannych, dogaszano płonący transporter (cały czas eksplodowała amunicja). Zrobili dwa koła i otworzyli ogień. Rozwalili kolejny transporter, mikrobusy, ambulans sanitarny. Mało nie pozabijali chłopaków. Masz nowych rannych... Generał, jak przyjechał do brygady, to przedstawiał wszystko jako nieporozumienie, nie chciał wysłuchać żołnierzy, cały czas rozmawiał przez komórkę. Mało mu nie skopali dupy, tak ich wkurzył. Prawda jest taka, że żołnierze nie byli przygotowani: pięć dni pośpiesznej mobilizacji, kilka tygodni pośpiesznego szkolenia na poligonie w Równem, front. Nie mieli kamizelek kuloodpornych, bezpiecznych hełmów, nie mieli generatorów, nie mogli utrzymać łączności, otrzymywali sprzeczne rozkazy.

– Jeszcze raz, żeby było jasne – nie wytrzymuje nerwo, podnosi głos – to zbrodnicza nieudolność, kosztuje życie, cała odpowiedzialność spada na wyższe dowództwo wojskowe, na naszych generałów.

#### JESTEM TU, ŻEBY ZOSTAĆ ZABITY

Platformy internetowe zamieściły oficjalny komunikat Ukraińskiego Ministerstwa Obrony: „W pobliżu miasta Wołnowacha w regionie Doniecka terroryści z zasadzki

otworzyli zmasowany ogień z broni strzeleckiej, ręcznych granatników przeciwczołgowych i moździerzów w kierunku posterunku, na którym pełnili służbę żołnierze jednej z jednostek wojskowych Sił Zbrojnych Ukrainy. Podczas ostrzału jeden z pocisków trafił w pojazd wojskowy, który znajdował się na posterunku, co doprowadziło do jego wybuchu. [...]. Liczba zabitych i rannych nie jest określona”.

– Musisz na wszystko patrzeć inaczej – cierpliwie tłumaczy mi Roman, koordynator wołyńskich wolontariuszy, którzy wspomagają 51. Samodzielną Brygadę Zmechanizowaną, jedną z największych formacji wojsk lądowych Ukrainy. – Struktura organizacyjna Ukraińskich Sił Zbrojnych w istocie nie zmieniła się od czasów Związku Radzieckiego. Kadra generalska też wyrosła w tamtych czasach. Mimo ogólnej biedy pieniądze na kontakach armii są. Ale żeby je wydać, trzeba wypełnić określone procedury: ogłosić „tender”, powołać komisję przetargową, zebrać oferty, kolektywnie zadecydować. Średnio – najmniej pół roku. To jest dobre w czasie pokoju. Teraz jest wojna. Tragiczny paradoks – wojsko, by skutecznie bronić kraju, musi oglądać się na pieniądze ludzi, ukraińskiego społeczeństwa, fundacji dobroczynnych, organizacji samorządowych... Wrażenie jest takie, że władzy zupełnie nie zależy na Ukrainie, że na Ukrainie zależy tylko zwykłym Ukraińcom.



Rosyjski czołg



Rosyjski transporter opancerzony...

W mojej głowie rodzi się podejrzenie, że nic w myśleniu władz o powinnościach obywateli wobec ojczyzny, o wojsku od czasów sowieckich się nie zmieniło. Jest tak, jak pisał Wasyl Słapczuk w *Księdze zapomnienia* o wojnie w Afganistanie: „Nie byliśmy pokorni, byliśmy zobowiązani. Powinność była częścią naszego pojęcia honoru. Dla nas alternatywy nie było. Istota naszego udziału w wojnie prawdopodobnie nie została sformułowana tak otwarcie, jednak przezieriała przez całe to politruckie odurzanie dość wyraźnie: »Jestem tu, żeby zabijać, jestem tu, żeby zostać zabity«.”

#### KONWÓJ Z POMOCĄ

Stowarzyszenie Weteranów Afganistanu jest jedną z wielu organizacji pozarządowych, które organizują zbiórki pieniędzy na ATO. Przyległe do sekretariatu pomieszczenie wypełniają kartony z lekarstwami, środkami opatrunkowymi, ciepłą bielizną, mundurami, wojskowymi butami...

– A to od zwykłych ludzi. – Gryśza, przewodniczący oddziału wołyńskiego, pokazuje mi słoiki z miodem, pojemniki z zatopionym w smalcu mięsem, konserwy, woreczki z gryczaną kaszą, butelki oleju. – Czasami mi wstyd, sami nie mają, a przynoszą. W innym magazynie – mówi, zamykając drzwi – mamy kartofle, kapustę, warzywa, owoce. Jak się nabiera, wyprawiamy na wschód konwój z pomocą. Dla naszych – kładzie akcent na ostatnim

słowie. Domyślam się, że chodzi mu o 51. brygadę, batalion „Wołyn”, batalion „Świtez”...

Z Gryśzą niełatwo się dogadać, jest człowiekiem nieufnym, jadł chleb z niejednego pieca. Od 1984 roku służył w Afganistanie w prowincji Kunduz, wrócił do domu w 1986 jako inwalida II grupy. Wciąż o tamtej wojnie myśli w jedyny dopuszczalny w czasach radzieckich sposób: jako o honorowym, płaconym żołnierską krwią obowiązku niesienia pomocy i pokoju uciśnionym narodom świata. Nie chcę go prowokować, zadrażniać sytuacji, pytając o motywację, z jaką dzisiaj rosyjscy żołnierze walczą przeciw Ukrainie. Być może ci, których nazywa pogardliwie „rosyjskim agresorem” przyszli tu z podobnym przekonaniem i wiarą w swój „internacjonalistyczny” obowiązek, z jaką szedł przed laty do Afganistanu.

Moja powściągliwość przynosi efekty – dostają zgodę, pojedą z konwojem w okolice Doniecka. To prawie trzysta kilometrów w jedną stronę, jest czas, by porozmawiać o wielu sprawach. Używam słowa „konwój”, które samo w sobie zapowiada jakąś spójną organizacyjnie, zewnętrznie wyodrębnioną z potoku samochodów, transportową manifestację, ale tak naprawdę każdy samochód jedzie swoją trasą, ma swoją rolę do wypełnienia. Dwie godziny wcześniej wyjechał autobus z żołnierzami powracającymi z przepustek: na przedniej masce ukraińska flaga, duże litery ATO namalowane sprejem. Wpadł w ręce wolontariuszy przypadkowo, porzucili go separatyści pod Ługańskiem. Przypuszczam, świadczą



o tym napisy w naszym języku na desce rozdzielczej, że na wschód trafił jakimś pokrętnym sposobem z Polski. Bagażowo-osobowy Mercedes, który zamyka konwój, pełni rolę furgonu poczty polowej – wieziemy na front listy i paczki od rodzin. Z resztą mamy się spotkać za Dniepropietrowskiem na stacji benzynowej, kiedy załatwimy swoje sprawy w Kijowie.

### „BRONIEŻYLET”

Walery i Roman, koordynatorzy wołyńskich konwojów z pomocą na wschód jadą już po raz osiemnasty, każdy wyjazd zajmuje im od trzech dni do tygodnia, mają dobre rozeznanie, na czym polega ta niewypowiedziana wojna.

– Kiedy ktoś otrzymuje powołanie, to rodzina, znajomi, czasami cała wioska, jeśli chłopak jest ze wsi, składa się, żeby mu kupić dobry mundur (przydziałowy potrafi rozejść się w rękach po trzech tygodniach), kamizelkę kuloodporną, a jeśli starczy pieniędzy, to i hełm. Z demobilu można dostać różne mundury: wzięciem cieszą się niemieckie z Bundeswehry, ale są też amerykańskie czy angielskie. Najbardziej popularne są najtańsze kamizelki kuloodporne. Ich cena to około 2 200 hrywien. Po ukraińsku, według oficjalnej nomenklatury – bronieżylet „Korsar”, model z 1995 roku, dwa stalowo-ceramiczne wkłady z przodu i z tyłu, łączna waga 6,5 kg. Rynek w zasadzie już się nasycił kamizelkami. Są prymitywne, ale zapewniają skuteczną ochronę pod warunkiem, że przeciwnik nie celuje w głowę. Źle jest z hełmami z kevlaru, bo drogie a na dodatek – brakuje. Dobry hełm powinien przyjąć uderzenie, kiedy trafi w niego kula, zerwać się z mocowania na głowie żołnierza, inaczej energia kinetyczna pocisku łamie kręgi szyjne. Ale większość umiera z powodu upływu krwi i szoku, nie od bezpośredniego trafienia. Ważne są dwie rzeczy: zasyпка, która wchodzi w reakcję z krwią i komórkami ciała, tworzy skorupę tamującą upływ krwi, i zastrzyk łagodzący szok. Tego najbardziej brakuje – słucham z uwagą, ciekawość wydaje mi się tu złym słowem, dla mnie to rzeczy nieoczywiste.

### ROZMOWY W DRODZE

– Mam jeszcze dwóch braci, wszyscy trzej jesteśmy na wschodzie: młodszy służy w batalionie obrony terytorialnej, starszy dostał się do niewoli pod Iłowajskiem, separatyści niespecjalnie kwapią się do wymiany oficerów, wołą, gdy wykupuje się ich za pieniądze. Dzwonił, jest żywy, zdrowy. Czekamy, mamy nadzieję, ale jak szybko, kiedy... Jeśli nie będzie innej możliwości, zaczniemy zbierać pieniądze po rodzinie, sprzedam samochód... Ale i to nie wystarczy, za oficera chcą 30 tys. dolarów, ja zarabiam

średnio jakieś 4 tys. ale hrywien. Ile to dolarów, każdy może sobie policzyć... – to Wiktor (chorąży), kartograf, żona, dwoje dzieci (dziewczynki dziewięć i piętnaście lat), w wojsku od siedemnastu lat, od pierwszego dnia, 9 maja, razem z brygadą na froncie pod Donieckiem (dwa tygodnie później szok, Wołnowacha).

– Masakra – wypowiada słowo i milknie, muszę ciągnąć go za język. Witalik (kapitan), był pod Iłowajskiem, tam, gdzie brata Wiktora wzięli do niewoli – mało komu się udało. Z naszą grupą wyszło dwudziestu ośmiu ludzi, wśród nich dwu oficerów. Szliśmy nocami, pieszo, czołgaliśmy się, przechodziliśmy między wartownikami, słyszeliśmy ich rozmowy, widzieliśmy ogniska. Cztery i pół doby bez jedzenia, wody, z Kutejnykowa do Komsomolska. W prostej linii 30 kilometrów.

– Wzgórze o znaczeniu strategicznym pozwala kontrolować obszar w promieniu 30 kilometrów. Dobrze było – odpowie na moje pytanie, jak to wyglądało Ołeh (major), 36 lat, żona, dwoje dzieci (synek i córeczka), w wojsku od 19 lat, jego brat po rozpadzie Związku Radzieckiego został w Rosji, jest oficerem wojska rosyjskiego, można powiedzieć, że wrogiem. Ołeh walczył w najbardziej na wschód wysuniętym przyczółku, pod samą rosyjską granicą, brał udział w zdobyciu i obronie Saur-Mogily – walili w nas ze strony rosyjskiej ze wszystkiego: samobieżnych dział, Gradów, Uraganów, Smierczy. Z drugiej strony dokładali separatyści. Słowami nie da się opisać. Lepiej nie wspominać. Nawet chleba nie mogli dowieźć... Do nas nie przyjeżdżali dziennikarze, bali się – pozwala sobie nawet na złośliwość. – Był tylko wąski przesmyk, przez który można było się dostać, ale tam cały czas strzelali. Z każdym dniem było nas mniej i mniej. W ostatniej chwili zdążyliśmy wyjść z okrążenia. Z dwoma czołgami. Ci, co na ochotnika zgodzili się nas osłaniać, zostali tam na zawsze. A co się miało z nimi stać? Może stu ludzi. Jak ich nie nazwać bohaterami? – wzrusza ramionami, kiedy pytam, co się z tymi, co osłaniali tyły stało, czy ktoś z tamtych przeżył. Teraz po przepustce, spotkaniu z rodziną wracają na front. Nie zadają sobie pytań: co dalej będzie.

### 51. SAMODZIELNA BRYGADA ZMECHANIZOWANA

Po drodze odbieramy z zakładu „Temp 3000” osiemdziesiąt cztery kamizelki kuloodporne. W innym miejscu mamy do zabrania dwa wojskowe noktowizory i nawigator GPS, zakupione ze środków zgromadzonych przez dobroczynną fundację. I piętnaście sztuk zwijanych noszy, na które 6 tys. hrywien zebrały dzieci ze szkoły w Łucyku. Pierwszy punkt kontroli mijamy za Dniepropietrowskiem, ich liczba rośnie w miarę, jak zbliżamy się do linii frontu.



Mikrobus z tabliczką „GRUZ 200”. Terminologia wojskowa czasów sowieckich. „GRUZ 300” – oznacza rannych, „GRUZ 200” – ciała zabitych

– Nie wiadomo, co z nimi będzie, 51. brygada poniosła duże straty w ludziach, praktycznie została pozbawiona ciężkiego sprzętu – Roman stara się nie używać słów „rozbita”, tłumacząc nastrój przygnębienia wśród żołnierzy. – Po tragedii pod Wołnowaczą został odsunięty do

czasu ukończenia śledztwa kombryg [komendant brygady] płk Wołodymyr Jackiw. Całą odpowiedzialność próbowano zrzucić na niego. Jego następcą, płk. Pawło Pywowarenko, który wprowadził żołnierzy w kocioł pod Hłowajskiem, przepadł w czasie walk, mówi się, że zginął.



Szpital wojskowy w Łucku

Tam dopiero doszło do tragedii, nie miał kto dowodzić, zginęły setki żołnierzy. Teraz wojskowi prokuratorzy prowadzą przesłuchania, wdrożyli śledztwo.

## ŻARGON

Brygada stacjonuje na wzgórzu w niewielkim lesie, nazywanym zgodnie „zielonką”, w pobliżu wsi Nowopawliwka. Upał, tumany kurzu, strach pomyśleć, co się stanie, kiedy spadnie deszcz i wyschnięta glina zamieni się w grząską maź. Wydawanie paczek. Patrzą na ręce, wyciągające się ku każdej przesyłce, zanim wyczytywane zostanie nazwisko. Nawet ci, którzy niczego się nie spodziewają, przyszli: na wszelki wypadek, gdyby jednak, gdyby coś uległo zmianie w ostatniej chwili. Monotonnie pracuje generator, widzę ukryte wśród drzew transportery opancerzone, wozy dowodzenia, cysterny z paliwem. Uczę się wojskowego żargonu: „tabletki” – ambulans sanitarny starego typu na podwoziu UAZ-a, „kopiejka” – transporter opancerzony BMP-1, „kun” – samochód z pomieszczeniami dla oficerów, „babka” – połowy wóz dowodzenia (rozklada się jak zgrabna babeczka, śmieją się żołnierze, stąd nazwa)... I jeszcze Atosza – chuda świnka, która im towarzyszy od kilku tygodni, uratowali ją z rąk kucharza...

## „GRUZ 200”

Wracamy wieczorem z inną grupą żołnierzy-szczęśliwców, którzy otrzymali przepustkę. Na stacji benzynowej zatrzymujemy się na kolację. Do naszego stołu podchodzi kobieta z dzieckiem na ręku – jestem wolontariuszką – przedstawia się i wskazuje zielony mikrobus z tabliczkami na przedniej i tylnej szybie „GRUZ 200”. – Jedziecie z frontu, możemy pomóc, macie coś?

Rozmowy się urywają, chłopcy podnoszą plastikowe kubki z wódką, wstają, piją w milczeniu. Nie rozumiem.

– To terminologia wojskowa z czasów sowieckich – tłumaczy Roman, odciągając mnie na bok. – „Gruz 300” oznacza rannych. „Gruz 200” ciała zabitych.

## POSTSCRIPTUM:

W dniu naszego powrotu ze wschodu, 21 września 2014 Prezydent Petro Poroszenko podpisał rozkaz o rozformowaniu 51. Brygady Zmechanizowanej. Komentując to spiker dziennika telewizyjnego (kanał „1+1”) powiedział: „Brygadę, której miejscem stacjonowania był Włodzimierz Wołyński w społeczeństwie uznano za pozbawioną szczęścia”. ■

Ściana płaczu w Łucku



## muszę powiedzieć

to co widziałem musi mi wystarczyć  
chyba że w innym położeniu  
jakimś cudem

czego dotknąłem niech zostanie  
pamięcią skóry, paznokci i włosów

to co zrobiłem, czego nie zrobiłem  
prosty rachunek posłuży za bilans

czego rozum nie dociekł zgłębione nie będzie  
odebrano mi zdolność jasnego widzenia

czego nie powiedziałem już nie powiem  
co uległo zatarciu nie będzie wspomniane  
w ostateczności nie było konieczne

jestem, nie będę  
był czas, nie ma czasu

## od rzeczy

następnym razem  
pójdziemy na żywioł

następnym razem  
będą złote góry

następnym razem  
zakreśli się karuzela

następnym razem  
zgarne całą pulę

następnym razem  
będzie raj na ziemi

następnym razem  
będzie i nie będzie  
następnym razem  
nie napiszę wiersza

## asceza

ty i ja  
poza nami  
on, ona, ono  
wy, oni

chwila olśnienia

## promocja

razem z życiem dostałem w pakiecie:  
miejsce urodzenia  
żebym miał gdzie wracać  
przodków  
żebym nie czuł się samotny na ziemi  
język  
żebym mógł im o sobie opowiedzieć  
wiarę  
żebym miał swego Boga

promocja nie obejmowała  
innych Bogów  
prawa do szczęścia  
miejsca w niebie

## pejzaż z upadkiem Ikarą

statek chwyta wiatr w żagle, pnie się na otwarte morze  
mam wybór  
mogę się utożsamiać z orzącym pole chłopem  
wspartym na kijku pasterzem z zadartą głową  
rybakiem bez końca zarzucającym sieci  
prawo do nieśmiertelności ma jedynie Ikar  
jego chłopięce nogi dają ostatnie świadectwo  
reszta jest niewidoczna – metafora aż nadto wymowna

nikt nie zgadnie, jak długa była linia jego życia  
czy mieściła się w dłoni

*do obrazu Pietera Bruegla (starszego)*

## którzy

którzy mówią –  
nie mają nic do powiedzenia

którzy słuchają –  
nie mają nic do usłyszenia

którzy milczą i nie słuchają –  
mają siebie

## certifikat

rozumienie otoczenia  
wymaga wysiłku  
najwięcej trudności sprawiają proste sprawy  
rozumienie piasku  
rozumienie wody  
rozumienie trawy  
dla której piasek i woda są warunkiem koniecznym  
ale niewystarczającym

Wojciech Pestka

pada deszcz  
woda wsiąka w piasek  
trawa rośnie  
sekwencja oczywistych zdarzeń  
nie będzie mi objawiona tajemnica tajemnic

należę do wypędzonych z raju  
naznaczonych pierwotnym grzechem  
nie mam certyfikatu  
dostępu do tajnych informacji

## pokaż rogi

reguła monotonii została narzucona  
ruch odbywa się w jednym kierunku  
prawdopodobnie inne warianty trasy  
nie zostały wzięte pod uwagę  
z powodu roztargnienia, złej woli, pesymistycznych prognoz

poruszamy się od świateł do świateł  
zakaz zawracania, skrętu, zbaczania z trasy  
obowiązuje reguła:  
równe odcinki drogi w równych przedziałach czasu  
które dzielą się na krótkie dobowe cykle

stroma ścieżka: jeszcze jeden poniedziałek, wtorek, środa  
po nich za oknem miga kolejny prozaiczny czwartek  
czwarty – dla pokładających wiarę w normie ISO 8601  
piąty – dla pokładających nadzieję w Bogu  
z ręką na krzyżu i jarzmem postu piątek  
sobota – nie robota, dzień kota  
niedziela wesela (poniedziałek za plecami)

problem z istnieniem  
powtarzalność i monotonia  
jednostajny ruch ślimaka (pokaż rogi) po okręgu

## prawda – fałsz\*

tak/nie\*  
kiedy dorosnę będę tirem  
to hasło czterdzieści lat temu umieściłem  
na tylnej klapie  
żuka (model A-07)

tak/nie\*  
dziś wyprzedził mnie tir  
czerwony mercedes benz  
obwieszony migającymi lampkami  
jak z reklamy coca-coli  
przyjrzałem się kierowcy  
nie wyglądał na Świętego Mikołaja  
przypominał Frankensteina

napis na tylnym zderzaku  
nie był przywidzeniem  
kiedy się zestarzeję będę żukiem



\*niepotrzebne skreślić

## różnica

nasz głód  
jest innym głodem  
nie karmi się chlebem  
nasze pragnienie  
jest innym pragnieniem  
nie gasi go woda  
nasza wiara  
jest inną wiarą  
nie przenosi gór  
nasza miłość  
nie jest naszą miłością  
należy do innych  
nasze życie  
jest życiem po życiu  
nie teraz i tu  
nasza nadzieja –  
ostatnią z możliwych  
nie została nazwana  
w oficjalnym przekazie

## skojarzenie

każdy gra samego siebie  
(ani chwili dłużej)  
został obsadzony w głównej roli  
miejsce jest również autentyczne  
nie udaje innego miejsca  
akcja pozbawiona dynamizmu  
ma jeden wątek główny i kilka pobocznych  
cierpi na tym fabuła  
ciągłość zostaje mimo wszystko utrzymana

początek zbiega się ze świtem  
milczące wejście chóru ma moc dramatyczną  
obecny w każdym akcie  
mówi jednym głosem  
zbrodnie i wyrządzone krzywdy wołają o pomstę  
chór zachowuje dystans, nie przykłada ręki  
jest świadkiem – zapamiętuje  
ogranicza się do deklamacji

co z naszą karą, nagrodą, odpłatą  
błaganiem o sprawiedliwość –  
noc, księżyc w pełni, chór schodzi ze sceny



Sandomierz, styczeń 2023. Wojtek w kościele św. Józefa, gdzie pół wieku wcześniej zawarł ślub z Danutą Szegdą

## wyrachowanie

dwie czarne plastikowe beczki  
z wodą do podlewania kwiatów  
ostrożność każe mi przemilczeć  
Antystenesa  
(radził Ateńczykom by przegłosowali, żeby osły  
stały się końmi)  
i jego ucznia Diogenesa z Synopy  
dwóch cyników  
skojarzenie jest zbyt nachalne  
ma polityczny kontekst  
plastikowe beczki  
choć mają wiele zalet  
nie nadają się do zamieszkania  
świat nie stoi na beczkach  
(wspiera się o słonie)  
życie kołem się toczy

## nic nie mówię

milczę  
kiedy mówią  
że to sprawiedliwość

milczę  
kiedy mówią  
że tak chce Bóg

milczę  
kiedy mówią  
że to z miłości do człowieka

milczę  
kiedy mówią  
że to ze strachu przed grzechem

staję się śliski  
zamieniam się w rybę

## trójskok

z zapamiętaniem i uporem  
trenowałem w młodości trójskok  
skoki z teraźniejszości w płytką przeszłość  
niewartą wspomnienia  
skoki z teraźniejszości w odległą przyszłość  
pełną tajemniczych obietnic  
skoki z teraźniejszości w teraźniejszość  
gdy potrzebowałem lepszego punktu wybicia

dziś skaczę unosząc się w fotelu  
z teraźniejszości w przeszłość

grzęznę w trzęsawisku fotografii  
w rytmie ośmiomilimetrowego projektora  
dziarsko maszeruję tam i z powrotem  
od czasu do czasu wypadając z kadru  
przy skokach z teraźniejszości w przyszłość  
mam przed sobą biały nieczuły ekran

## I love you

miłość nazywana jest sekretem  
sennym koszmarem nocy letniej  
ostatnią deską ratunku  
magnetyczną burzą hormonów

wstrzymuję się z odpowiedzią  
za każdym razem  
jestem sobą zaskoczony/rozczarowany\*

\*niepotrzebne skreślić



## wielkie lub małe

Wasyłowi Stapczukowi

talenty człowieka  
ze swej natury  
są wielkie lub małe  
nie można się ich nauczyć  
można je roztrwonić

z pomocą krótkiej liny  
nie sięgnie się wody życia  
z głębokiej studni

czym są nasze uparte wysiłki  
marzenia, dreszcze przeczuć  
nikłym płomykiem nadziei, cieniem rzeczy  
sowa w dzień jasny nie dostrzeże góry  
człowiek rozumem nie osiągnie tajemnicy

## głuchy telefon

nie musi mieć formy pisanej  
może być przekazywana z ust do ust  
okrążyć świat nawet kilka razy  
byle była sprawdzona  
jak przepis na drożdżowe ciasto

recepta na zieleń trawy  
na pogodę nieba  
na szczęście w nieszczęściu  
wyzdrowienie chorych  
na dobrą śmierć, miłość za grób

na powrót  
na samego siebie

Wojciech Pestka



Jedlnia. Z córką Ewą i wnukiem Jerzym





Wilhelm Kotarbiński, *Gra wkości w dawnym Rzymie*, olej, płótno, 43×67 cm

# WILHELM KOTARBIŃSKI

MALARSTWO



Wilhelm Kotarbiński, *Serenada księżycowa/Syreny/Na brzegu*, olej, płótno, 89 × 193,5 cm, własność prywatna



Wilhelm Kotarbiński, *Wskrzeszenie syna wdowy z Nain*



Wilhelm Kotarbiński, *Trzy Marie u grobu Chrystusa, 1879, olej na płótnie*



Wilhelm Kotarbiński, *Ibisy*



Wilhelm Kotarbiński, *Nimfa wodna*



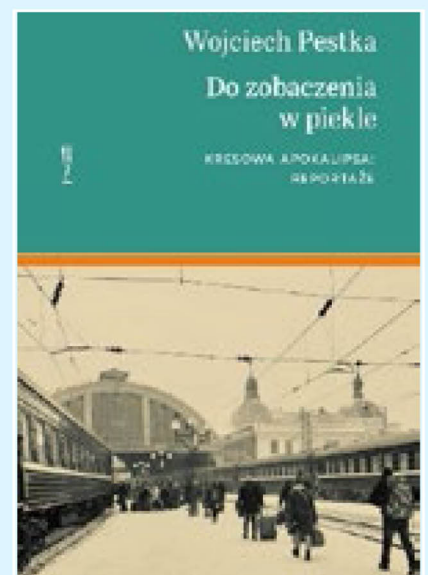
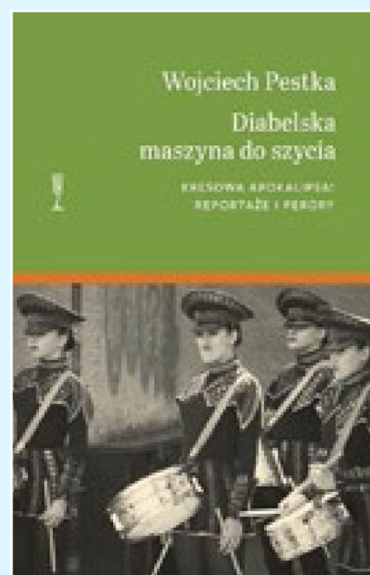
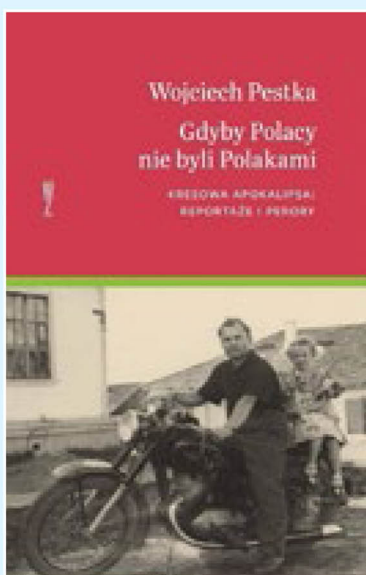
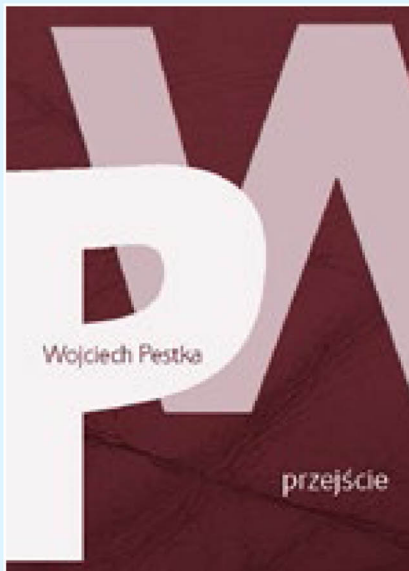
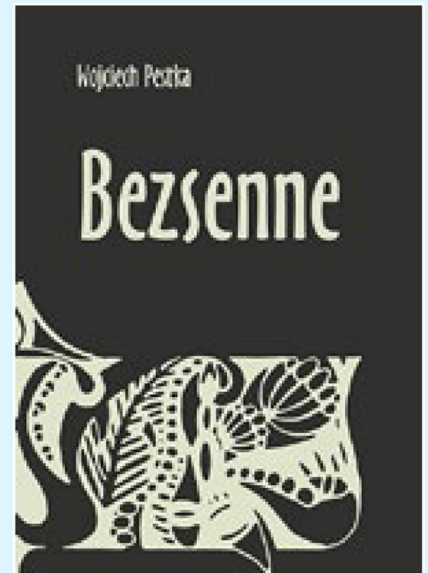
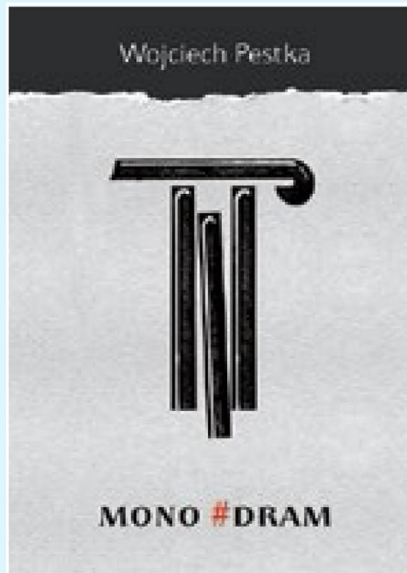
Wilhelm Kotarbiński, *Dziewczyna w malwach*



Wilhelm Kotarbiński, *Wiosna*



Wilhelm Kotarbiński, *Sfinks i zjawa kobiety*





Atomy – pestki

ISSN 1733-4330  
9 770173 343303 8.7